

**Joanna Trollope**

**Prowincjonalny romans**  
*Przełożyła Katarzyna Wrażeń*

*Dla Louise*

W dniu, w którym umowa kupna domu została podpisana, Alice Jordan zapakowała trójkę dzieci do samochodu i pojechała zwiedzić posiadłość.

Siedmioletnia Natasha jak zwykle nie chciała zapiąć pasa, a James płakał, ponieważ nie mógł znaleźć swojej zabawki – kaskadera na miniaturowym motocyklu. Najmłodsze dziecko leżało spokojnie w nosidełku kołysząc się lekko, a po jego uniesionej do góry twarzą przemykały cienie nagich gałęzi. Aby zagłuszyć wycie Jamesa, Natasha zaczęła śpiewać piosenkę pt. „Dziesięć zielonych butelek”. Alice włączyła radio, w którym jednostajny kobiecy głos z „Godziny dla kobiet” wyjaśniał ze spokojem, jak badać swoje ciało w celu wykrycia złowieszczych guzów.

Na przednią szybę samochodu prysnęło błoto oblepiając ją piaskiem. James przestał nagle płakać i włożył kciuk do buzi.

– Jesteś kompletne dziecko – powiedziała z pogardą Natasha.

Cały umazany, znowu zaczął beczeć. Alice widziała we wstecznym lusterku jego czerwoną, moką od łez twarz. Głos w radiu poinformował, że jeśli nie masz ochoty sam przeprowadzać badania, powinieneś znaleźć kogoś, kto zrobi to za ciebie. Rozmówca zapytał wtedy – całkiem rozsądnie, pomyślała Alice – jak można do tego stopnia utożsamić się z drugim człowiekiem, żeby odczuwać to, co on?

– Jeśli będziesz tak ryczał – stwierdziła Natasha – wszyscy pomyślą, że jesteś dziewczynką.

James zawył dziko i zamachnąwszy się pięścią uderzył siostrę w policzek. Natasha spojrzała na matkę rozszerzonymi z wściekłości oczami i zaczęła płakać. Leżący z tyłu Charlie wyczuł napięcie – jego delikatna okrągła twarzyczka zaczęła marszczyć się niespokojnie. Dziecko otworzyło buzię i mocno zacisnęło powieki.

Alice zatrzymała samochód.

– Węzły chłonne...

Wyłączyła radio, odpięła pas i obróciła się do tyłu.

– Będziecie cicho czy nie! – krzyknęła. – Wstrętne, wstrętne dzieci! Dostyc tego. Nie możecie się kłócić w samochodzie. Jak mam prowadzić w takich warunkach? Chcecie, żebym uderzyła w drzewo? Bo tak się za chwilę stanie.

Natasha przestała płakać i wyjrzała przez okno. Zobaczyła jedynie żywopłot i pagórkowate pola z kilkoma biało-czarnymi krowami.

– Przecież tu nie ma żadnych drzew – stwierdziła. Alice zignorowała ją.

– Zapomnieliście, gdzie jedziemy?

– Do... do domu – odpowiedział niepewnie James. Siostra rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Do naszego nowego domu.

– Właśnie. Nie chcecie go zobaczyć?

– Chcemy – odpowiedziała dziewczynka.

James nie odezwał się. Jedyne czego pragnął w tej chwili, to znów włożyć kciuk do buzi. Nie śmiał jednak tego zrobić.

– W takim razie – ciągnęła Alice – dopóki tam nie dojedziemy, nikt nie ma prawa odezwać się ani słowem. Inaczej zostaniecie w samochodzie, a ja pójdę obejrzeć wszystko sama. Jasne?

Zapięła pas i włączyła silnik. Natasha obserwowała ją z tylnego siedzenia. Ze wszystkich matek, jakie знаła, tylko Alice nosiła warkocz. Był bardzo długi i gruby. Zaczynał się prawie na czubku głowy i sięgał do połowy pleców. Zazwyczaj matka przerzucała go przez ramię. Natasha bardzo pragnęła mieć taki warkocz, jej przyjaciółka Sophie również. Matka Sophie, jak większość mam, miała raczej zwyczajne, niczym nie wyróżniające się uczesanie.

Dziewczynka patrzyła z dumą na warkocz Alice i nagle ogarnęła ją ogromna tkliwość.

– Przepraszam – powiedziała cichutko, pamiętając o zakazie. Alice uśmiechnęła się do niej szeroko, odwracając na chwilę głowę.

– Już prawie dojechaliśmy.

Alice zawsze chciała mieszkać w Pitcombe. Zresztą każdy o tym marzył, nawet ci z daleka. Jeśli więc w „Country Life” pojawiło się zdjęcie wystawionego na sprzedaż domu w Pitcombe, opatrzone było podpisem: „W najbardziej poszukiwanym zakątku świata”. Było to takie miejsce, o jakim marzą emigranci od lat przebywający poza rodzinnym krajem – kamienne miasteczko usytuowane na zboczu łagodnego wzgórza, z kościołem na jego szczycie i pubem na samym dole, małą rzeczką i spoglądającym na to wszystko z wielkopańską łaskawością wielkim barokowym pałacem. Sir Ralph Unwin, właściciel rezydencji, trzech tysięcy akrów ziemi oraz dwunastu domów w miasteczku, był wysokim siwowłosym mężczyzną i wyśmienitym strzelcem. Jeździł landrowerem i ze swojego podwyższonego fotela z powagą kiwał dłonią napotkanym mieszkańcom. Na terenie jego posiadłości, w Pitcombe Park, cały czas odbywały się różnego rodzaju imprezy charytatywne, podczas których zbierano pieniądze na przytułek, badania nad artretyzmem czy też nowy dach kościoła. Nie wpuszczał jedynie miejscowych członków Partii Konserwatywnej. Jestem od urodzenia apolityczny, mawiał, wiedząc, że jego słowa będą z podziwem cytowane. Alice spotkała go dotąd tylko raz, przedstawiona przez Johna Murraya-Frencha, od którego kupowali dom. Sir Ralph powiedział wtedy: „Serdecznie witamy w Pitcombe, pani Jordan, szczególnie jeśli ma pani dzieci”.

Zastanawiała się, czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest czarujący. Lady Unwin również była przemiła, w ten nie dopuszczający poufałości sposób, tak charakterystyczny dla kobiet od lat należących do różnego rodzaju zgromadzeń i komitetów. Lady Unwin przewodniczyła Brygadzie Pogotowia Ratunkowego im. Świętego Jana działającej w hrabstwie oraz komitetowi do spraw lokalnego przytułku. Uważała za swój obowiązek uczęszczanie na zebrania towarzystwa przyjaciół sztuki oraz brała udział w wycieczkach dla starszych mieszkańców miasteczka.

Chwyciła teraz rękę Alice w swoją dużą ruchliwą dłoń ozdobioną wspaniałymi pierścieniami. Paznokcie miała

pomalowane na różowo.

– Hura! Moja droga – powiedziała – właśnie tego nam trzeba. Młodej krwi, która by nas trochę ożywiła.

A sir Ralph, biorąc żonę pod rękę w jednej ze swoich publicznych demonstracji pełnego dumy przywiązania, za które ceniono go tak samo jak za niezależne poglądy na politykę – powiedział z ciepłym uśmiechem:

– Niech jej pani ani trochę nie ufa, pani Jordan. Nie minie kilka minut i będzie pani we wszystkich możliwych komisjach, obarczona górą obowiązków do wypełnienia.

Wszyscy się roześmiali. Alice również. Podobało jej się tu. Czowała, że powitanie jest szczere, że oto zostaje włączona w nurt życia, które – tego była całkiem pewna – chciała wieść w Pitcombe.

Kiedy usłyszeli na przyjęciu, że John Murray-French sprzedaje swój dom, oboje z Martinem nie mogli spać z przejęcia. To nie był zwykły dom, ale jeden z tych domów w Pitcombe. Znajdował się gdzieś w połowie drogi na szczyt wzgórza. Buki rozpościerały nad nim swe konary, a poniżej przepływała rzeka. Stał na końcu ślepej uliczki, która odchodziła od głównej drogi i zabudowana była w sposób dość chaotyczny rzędami niskich ładnych domków. Za domem był sad i potok, gdzie dzieci mogłyby trzymać kucyka, a nad garażem cudowny pokój z belkowanym sufitem i oknem wychodzącym na północ. W tym to pokoju John Murray-French rzeźbił w drewnie ozdobne wabiki na kaczki, co przysporzyło mu nieco sławy w okolicy. Tutaj też Alice mogłaby urządzić swoją pracownię. Od urodzenia Jamesa, ponad cztery lata temu, nie namalowała ani jednego obrazu. Teraz wiedziała, że tu mogłaby zacząć na nowo.

Skręciła z głównej ulicy i jechała ostrożnie pomiędzy domami. Ze względu na porę – wczesne popołudnie – ulica była całkiem pusta, nie licząc starej pomarszczonej twarzy widniejącej w oknie na parterze, pomiędzy storczykiem a porcelanowym pieskiem w wielkim zielonym kapeluszu. Alice pomachała ręką i uśmiechnęła się; nie zauważyła jednak żadnej reakcji. Czarny kot siedzący na

murze popatrzył na przejeżdżający samochód, lecz nawet na chwilę nie zaprzestał swej poobiedniej toalety.

Dwie stare smukłe kamienne kolumny przy końcu ulicy wyznaczały początek posiadłości. Każda z nich zwieńczona była rzeźbą pokrytą ochrą i zielonkawoczarnym nalotem. Za nimi dwa rzędy równo przyciętych ciemnozielonych grabów prowadziły pod sam dom.

Alice zatrzymała samochód; nagle ogarnęła ją radość. Wszystko będzie w porządku, na pewno, na pewno.

– Bardzo proszę – powiedział John Murray-French przez telefon tego ranka. – Mnie nie będzie, ale powinniście zastać Gwen pakującą książki albo – co bardziej prawdopodobne – złopiącą mój gin w schowku na szczotki. Ona wie, że przyjeżdżacie. – Przerwał na chwilę. Bardzo lubił Alice. Podobnie zresztą jak jego syn, który jednak odkrył to dopiero wtedy, gdy była już mężatką. – Tak się cieszę, że to wy kupujecie ten dom – dodał.

– Och, John...

– Mieszkałem tu przez trzydzieści pięć lat. Nie do wiary. Za nic nie chciałbym, aby poszedł w obce ręce.

– Obiecuję ci, że pokochamy ten dom. To znaczy, już go kochamy. Myślę, że to jest rozwiązanie pewnych...

– Rozwiązanie? Czego?

– Och – dokończyła już bardziej rzeczowo – troje dzieci, więcej przestrzeni, pracownia dla mnie. No wiesz.

Samochód toczył się wolno pomiędzy grabami. Dzieci, czując, że dzieje się coś bardzo ważnego, piszczały podniecone. Natasha z wielką dumą podpisała już wszystkie swoje książki, w ten sposób chroniąc je również przed Jamesem: Ta książka należy do Natashy Jordan

Grey House  
Pitcombe  
Wiltshire.

I oto był. Podłużny, niski, szary, z ładnymi osiemnastowiecznymi oknami sięgającymi prawie podłóg.

Ciężkie, wykładane boazerią drzwi ozdobione były frontonem i kołatką w kształcie głowy lwa. Dom wyposażony był w trzy ceglane kominy, a jego taras wychodził na piękną dolinę porośniętą bujną trawą, gdzieś ustępującą miejsca złotemu żwirowi. Wijące się szare pnącza wistarii obrastały fronton i całą fasadę, a po obu stronach drzwi wejściowych w stylowych pojemnikach rosły lśniące drzewa palmowe. Dom był doskonały w każdym calu.

Alice natychmiast wysiadła z samochodu i wypuściła dzieci. Wciąż piszcząc, popędziły co tchu do żelaznego ogrodzenia oddzielającego trawnik od padoku. Alice otworzyła tylne drzwi i wzięła Charliego na ręce. Był bardzo zadowolony, machał rączkami i popiskiwał z uciechy. Podeszła do drzwi wejściowych i zadzwoniła. John powiedział, że może wejść od razu, ale Alice nie chciała zrażać do siebie Gwen, mając nadzieję, że zgodzi się zostać i sprzątać dom, tak jak robiła to u Johna przez ostatnie dziesięć lat.

Gwen otworzyła drzwi po bardzo długiej chwili, chcąc w ten sposób pokazać Alice, kto tu jest ważniejszy. Zobaczywszy jednak Charliego w jego błękitnym zimowym ubranku, zmiękła natychmiast.

– Jaki on śliczny; proszę wejść, pani Jordan. Pan major uprzedził mnie o waszej wizycie.

Alice odwróciła się, by przywołać dzieci.

– Niech je pani zostawi. Nic im się nie stanie – powiedziała Gwen. – Śliczny mały.

Charlie przyglądał się jej spokojnie.

– Nie sprawia zbyt wiele kłopotu – zapewniła Alice, starając się, by jej głos brzmiał przyjaźnie. – Najmniej z całej trójki. Ale jest strasznie ciężki.

– Pójdiesz do Gwen na rączki?

Wyciągnęła ramiona. Charlie nie protestował. Przyjrzał się uważnie jej twarzy, potem różowej bluzce i brązowemu swetrowi. Wreszcie, zbadawszy wszystko dokładnie, położył swój mały paluszek na jej kryształowych koralach.



– Cudny jesteś. – Gwen była wyraźnie rozanielona. – Zobaczysz, jak będzie nam razem dobrze.

Alice poczuła dla małego ogromną wdzięczność.

– No właśnie, chciałam panią zapytać...

Gwen spojrzała na nią uśmiechając się szeroko.

– Spodziewałam się tego. Oczywiście, że pomogę.

– Zwróciła twarz ku Charliemu. – Gwen nie może przecież odmówić takiemu milusińskiemu jak ty, prawda? Zabiorę go do gabinetu, pani Jordan, a pani niech sobie obejrzy dom. Pan major pozwolił. Ja przypilnuję dzieci. No co? – spojrzała na małego – poszukamy jakiegoś ciasteczka?

– On ma tylko dwa zęby – zaprotestowała Alice słabo. – Ma dopiero osiem miesięcy. Może raczej...

– Ależ to duży chłopak – powiedziała Gwen oddalając się szybko. – No, no, no. Osem miesięcy...

Salon, długi na przeszło dwadzieścia jeden stóp, znajdował się po prawej stronie drzwi wejściowych. Po lewej stronie widać było nieco mniejszą jadalnię, za nią przyszyły gabinet Martina, pokój zabaw dla dzieci oraz kuchnię z drzwiami wychodzącymi na szeroką ścieżkę. Za nią był trawnik, a dalej rozciągał się widok na wschód. Podwójne drzwi, jakie widuje się w stajni, podziały niezwykle mocno na wyobraźnię Alice, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Wyobraziała sobie letni poranek, słońce wpadające do kuchni przez otwartą górną ich część, a siebie na drabinie, śpiewającą i malującą przez szablon desenie na górnych krawędziach ścian. Już teraz czuła, że będzie tu szczęśliwa.

Kuchnia była nieco zaniedbana, gdyż John korzystał z niej, tylko gdy otwierał kolejne puszkę. Alice wiedziała jednak, że po kilku przeróbkach zmieni się nie do poznania.

Patrzyła na ciemnokremowe ściany, wytarte linoleum i stary, stojący na środku stół, na którym pełno było słoików z marmoladą, korkociągów, gazet i rozciętych brązowych kopert, i wtedy poczuła gdzieś w środku nagły ból.

Nie był dotkliwy, ale nie ustawał. Przypominał słaby, lecz nagły i złośliwy powiew zimnego powietrza w piękny słoneczny

dzień lub fałszywą nutę w melodii, krótkotrwałą lecz bardzo deprymującą.

Alice otrząsnęła się szybko z tego dziwnego stanu, wzięła do ręki koniec warkocza, co zawsze ją uspokajało, i obrzuciła kuchnię zdecydowanym spojrzeniem. Postanowiła, że ściany będą bladożółte, a drzwi i ramy okien białe. Podłogę trzeba będzie doprowadzić do porządku. Na parapetach ustawi pachnące geranium, suszony chmiel powiesi pod sufitem, a w kredensie staną słoiki z kaszą, ryżem i przyprawami. Oczyma wyobraźni widziała już bujany fotel, pstrokate poduszki, kota... Ni z tego, ni z owego zaczęła płakać. Przeraziło ją to. Dlaczego płakała? Łkanie wstrząsało całym jej ciałem, łzy zalewały oczy i nic już nie widziała.

W panice zaczęła przeszukiwać kieszenie i torebkę. Znalazła pogniecioną chusteczkę i mocno wytarła nos. Przecież nigdy nie płakała. Silna Alice, która nie uroniła ani łzy od czasu depresji po urodzeniu Charliego. Usiadła na jednym ze starych kuchennych krzeseł Johna i spuściła głowę. Przerazała samą siebie. Prawdopodobnie była zmęczona.

Ostatnio żyli z mężem w ogromnym napięciu, nie mając pewności, czy rzeczywiście uda im się kupić Grey House. Martin nie bardzo sobie z tym wszystkim dawał radę, ciągle narzekał, że za drogo, za dużo itd. Powiedziała mu raz, starając się zachęcić go do kupna:

– No ale przecież to, co wydaje nam się dobre, musi być dobre, prawda? A ja czuję, że ten dom taki właśnie jest. Może znowu zacznę malować i zarobię wreszcie trochę pieniędzy. Może kupimy kucyka. Na dłuższą metę przecież pieniądze nie są ważne. Zawsze sobie jakoś damy radę. Tym razem też.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że to ja sobie dam radę – odpowiedział ze złością.

Opanowała rosnącą wściekłość. Próbowwała zapomnieć o prywatnych dochodach Martina, nawet jeśli nie były duże. Pieniądze nigdy nie stanowiły dla nich problemu. Nie byli bogaci, ale to, co mieli, pozwalało prowadzić im całkiem wygodne życie.

Martin nie lubił, gdy mówiła o jego prywatnym majątku; dla niego był to temat tabu. Wydawało jej się, że bardzo cierpi nad tym, iż nie zarobił dużo jako prawnik na prowincji i pewnie nigdy mu się to nie uda. By nie stracić więc szacunku dla samego siebie, Martin stwarzał pozory, że cały ich dochód pochodzi z jego zarobków.

Odczekała chwilę przyglądając się jego blond czuprynie pochylonej nad gazetą i powiedziała:

– Widzisz, wydaje mi się, że będziemy szczęśliwi w Grey House. A to jest dla mnie bardzo ważne.

Przeprowadzili wiele takich rozmów. Czasem Martin pytał: „Tu więc nie jesteś szczęśliwa?”, czasem zaś mówił: „Wiem, wiem, osioł ze mnie, ale wiesz, jak nie cierpię rozmyślać o pieniądzach”.

Raz powiedział: „Cholerne dzięki” i wyszedł. Zaczęła za nim iść, ale zatrzymała się. Tej nocy poszli spać prawie nie rozmawiając. To wszystko było o wiele bardziej męczące niż przekopanie całej grządki kapusty, malowanie sufitu czy też robienie bożonarodzeniowych zakupów w deszczowym Londynie.

Jeszcze raz wydmuchwała nos i podniosła się z krzesła. Postanowiła pójść do salonu. Nie zdarza się przecież, by ktoś płakał w salonie.

Ona jednak płakała. Stała przy kominku w ślicznym podłużnym pokoju o niskim suficie, pełnym regałów z książkami, z oknami wychodzącymi na taras, i wyobrażała sobie różne rzeczy. W tym rogu będzie ubierała choinkę, w tamtym układała bukiety z suszonych kwiatów, rozwiesi wspaniałe zasłony z mory w kolorze kości słoniowej, które podarowała jej matka Martina.

Czuła się jeszcze gorzej niż w kuchni. Była zrozpaczona. Przynajmniej tak jej się wydawało; nie doświadczyła nigdy podobnego uczucia i nie miała z czym porównać swego obecnego stanu. Uciekła więc prędko do jadalni. Tam jednak natychmiast wyobraziła sobie siebie uśmiechniętą, przy stole zastawionym wyśmienitymi potrawami i oświetlonym płomieniami świec.

Nie mogąc tego znieść, pobiegła na górę, do pierwszej sypialni, którą napotkała.

Był to pokój Johna. Już niedługo będzie sypialnią jej i Martina.

O tym pokoju marzyła najgoręcej. Chciała móc położyć się w łóżu, z którego przez ogromne okna widać było całą dolinę. Wiedziała już, gdzie postawi toaletkę i małą kanapę, którą dostała od teściowej. Zaplanowała też, gdzie powiesi swoją kolekcję rysunków siedzących kobiet, którą zaczęła mając czternaście lat.

Teraz patrzyła na sypialnię w panice. W jej wyglądzie nie było jednak niczego złowrogiego. Pokój wyglądał wdzięcznie i spokojnie. Panika była w niej samej.

Dotknęła rękami twarzy. Była rozpalona.

W łazience stary mops Johna leżał zwinięty w koszu stojącym na dole bieliźniarki. Drzwi były otwarte, żeby pies się nie bał. Na widok Alice warknął, ale się nie poruszył. Łazienka była ogromna, stał w niej fotel, regał z książkami i egzotyczna waga. Na drzwiach wisiało kilka starych, swojsko wyglądających szlafroków, a wszędzie walały się podniszczone czasopisma. Za oknem rozciągał się piękny widok. Alice zamknęła drzwi na klucz. Napełniła umywalkę wodą i obmyła sobie twarz. Wytarła ją ręcznikiem Johna, podniecająco pachnącym mężczyzną, i usiadła w fotelu.

Oddychać głęboko, wdech, wydech. Zamknąć oczy. Głupia Alice, szalona Alice, Alice szczęściara.

Wciąż trzymała w rękach ręcznik Johna. Zanurzyła w nim twarz. Jak miłe wydawały się rzeczy związane z mężczyznami, z którymi nic cię nie łączyło: pewny krok obcego przechadzającego się po drewnianej podłodze, mężczyzna stojący za tobą w kiosku, potrząsający kieszenią pełną drobnych, kontrast pomiędzy skórą nadgarstka, mankietem koszuli i rękawem sąsiada na przyjęciu; stary łysy ręcznik Johna. Poczwała się lepiej i wstała.

– Nikomu ani słowa – powiedziała do psa i zeszła na dół.

W przyszłym gabinecie Martina, dusznym i przytulnym pokoju, gdzie John spędzał zimowe wieczory, Charlie siedział na kolanach Gwen. Miał na szyi jej korale. W pokoju był też Henry Dunne.

Henry był przedstawicielem sir Ralpa i chociaż John Murray-French kupił Grey House długo przed pojawieniem się Henry'ego, posiadłość nadal traktowana była pośrednio jako własność

Unwina. Henry i syn Johna byli razem w Eton, i Henry bardzo często wpadał tu na chwilę podczas wizytowania posiadłości Unwinów. Opowiadał o tym i o tamtym, wspominał polowania, które były jego pasją. John, polerując powoli swoje drewniane kaczki, cierpliwie słuchał tych historii, które nie zmieniały się od lat. Właśnie cierpliwości Johna zawdzięczał Henry fakt, że nie musiał opowiadać tego wszystkiego swojej żonie, Juliet. Historie polowań męża nudziły ją tak bardzo, że miała ochotę krzyczeć.

Henry uważał, że Alice jest cudowna. Wydawała mu się bardzo piękna, z tymi podłużnymi ciemnoniebieskimi oczami i zdumiewającymi, wysoko związanymi włosami. Obawiał się jednak, iż może być trochę zbyt inteligentna. W zeszłym roku podczas zabawy sylwestrowej miał nadzieję, że on też jej się podoba, gdy udało mu się pocałować ją w raczej bezczelny sposób. Nie przypominało to zupełnie wariackiego obcałowywania się o północy, kiedy panuje taki bałagan, że równie dobrze można wycalować meble. Zdawało mu się, że sprawił jej przyjemność. Pod koniec przyjęcia powiedział szeptem:

– Dobranoc, moja piękna – a ona obrzuciła go długim, powłóczyстым spojrzeniem.

Następnym razem spotkał ją zupełnie przypadkowo w Salisbury. Pchała dziecinny wózek i uśmiechnęła się na jego widok, lecz była zupełnie spokojna.

– To przyjęcie na sylwestra było cudowne, prawda? – zauważyła.

– To ty uczyniłaś je cudownym. Dla mnie – odpowiedział.

Uśmiechnęła się do niego i potrząsnęła głową.

– To znaczy, Alice, że ty nie...

– To znaczy... Przerwała.

– No co? No co, Alice? Powiedz mi – nalegał.

Spojrzała na niego, a na jej twarzy malował się strach. Widział to wyraźnie, choć Juliet zawsze mówiła, że jest tak spostrzegawczy jak bawół z wadą wzroku.

– Proszę cię, nie – powiedziała. Pocałowała go szybko w

policzek i ruszyła w kierunku domu towarowego Marksa i Spencera.

Teraz wydawała się zachwycona widząc go w gabinecie.

Pocałowała go i zapytała o Juliet.

– No co, staruszkę – zagadała do Charliego i usiadła obok Gwen.

– Dom jest śliczny – skłamała, bo przecież prawie w ogóle mu się nie przyjrzała.

– Staram się jak mogę. Roboty tu niemało, psy nabrudzą, wszędzie fajki pana majora i wióry. Ale jakoś sobie dajemy radę, prawda, malutki?

Charlie zagaworzył coś do Alice. Zabrała go z kolan Gwen i oddała kobiecie naszyjnik.

– Gwen mówi, że zostaje – powiedział Henry.

– Wiem. Czy to nie cudownie z jej strony?

– Będę tu przychodziła rano cztery razy w tygodniu, dodatkowo piątego dnia, żeby posprzątać dom pana majora. Powinna pani zobaczyć, jak on teraz mieszka. Wszędzie wilgoć...

Alice wstała, trzymając Charliego na rękach.

– Dziękuję ci bardzo, Gwen. To dla mnie wielka ulga, że zgodziłaś się zostać z nami. A teraz pójdę i zawołam dzieci.

– Idę z tobą – powiedział Henry. – Przyszedłem tylko po to, żeby zostawić Johnowi raport geometry dotyczący jego nowego domu.

Gwen otworzyła im drzwi. Alice dotknęła ich dłonią. Jej drzwi. Zabrała szybko rękę i objęła mocniej Charliego.

– Do widzenia – pożegnała ich Gwen. – Jedźcie ostrożnie. Pa, pa, cukiereczku.

Kiedy drzwi się zamknęły, Alice zapytała:

– Czy ona ma zamiar doprowadzić mnie do szaleństwa? Henry wydawał się lekko zgorszony.

– Nie sądzę, by udało ci się znaleźć kogoś innego. Każdy teraz potrzebuje pomocy domowej i z tego co wiem, Elizabeth Pitt ma chętkę na Gwen. Podobnie zresztą jak Sarah Alleyne, tylko że z nią nikt nie wytrzyma dłużej niż miesiąc.

Otworzył tylne drzwi samochodu, żeby Alice mogła wstawić nosidełko Charliego.

– Strasznie się cieszymy, że to wy kupiliście ten dom. Wasz przyjazd odmieni życie naszego miasteczka.

Alice wyprostowała się.

– Mamy dużo szczęścia.

– Właśnie. Nawet nie wiesz, ile okropnych osób John odesłał stąd z kwitkiem. Mówił mi, że raz zjawił się facet w czarnym bmw i zaproponował mu czterysta tysięcy.

– A co ma do tego bmw? Henry poczuł lekką irytację.

– To pewnie jeden z tych z City. Wiadomo, skąd miał pieniądze.

Alice nic nie powiedziała. Stała nieruchomo i patrzyła na dom. Nadchodził zmrok i w niektórych oknach Gwen pozapalała już światła. Na tle szarej fasady wyglądały one jak pomarańczowożółte prostokąty. Po prostu sielanka.

– Strasznie wam zazdroszczę – powiedział Henry przyglądając się Alice – ja i połowa hrabstwa.

Powoli odwróciła ku niemu twarz. Dotknęła na moment jego dłoni.

– Chodzi o to – powiedziała całkiem spokojnie – że teraz, kiedy dom jest mój, wcale go nie chcę. – A potem wybuchnęła płaczem.

– Nie wiem, co jej jest – powiedział Martin do słuchawki, starając się mówić jak najciszej, chociaż Alice była w łazience na piętrze. – Ona sama nie potrafi mi tego wytłumaczyć. Mówi, że Grey House jest śliczny i nie chce tutaj zostawać, ale przeraża ją myśl o przeprowadzce.

– Czy chodzi o samą przeprowadzkę? – zapytała matka Martina z oddalonego o pięćdziesiąt mil domu w hrabstwie Dorset. – Ona nigdy nie przejmuje się takimi rzeczami.

– Niemożliwe – odpowiedział Martin. – Pierwszy raz widzę ją w takim stanie.

– Może ma to jakiś związek z jej depresją po urodzeniu Charliego?

– Nie, tamto już minęło. Cztery miesiące temu lekarz uznał, że

jest zupełnie zdrowa.

– Kłóciliście się ostatnio? – spytała matka.

– Nie – odpowiedział Martin trochę zbyt głośno. Po chwili dodał już normalnym głosem: – Czasem może trochę się posprzeczałyśmy na temat ceny Grey House, ale nigdy nie były to kłótnie.

– Czy mogę z nią porozmawiać?

– Teraz się kąpie. Nie wie, że do ciebie dzwonię. Matka, która bardzo kochała synową, odpowiedziała z oburzeniem:

– A więc za jej plecami, jakbyś coś przed nią ukrywał, tak? Nie dziwię się, że ciągle płacze.

Martin załamał się. Nic się nie zmieniło. Odkąd pamiętał, zawsze pragnął sprawiać matce przyjemność, odkrywać przed nią swoje sekrety. Nigdy mu się to jednak nie udawało. Wiedział, że go kocha, ale nie był pewien, czy go lubi. Wydawało mu się, że podobnie traktowała jego starszego brata Anthony’ego, tylko że ten był bardziej uparty i bezczelny, więc często sobie docinali. Przypomniawszy sobie teraz, z wciąż nie słabnącym zdziwieniem, słowa matki sprzed dziesięciu lat: „Cieszę się, Alice, że wychodzisz za Martina, a nie za Anthony’ego. Kocham Anthony’ego, ale wiem, że tak naprawdę to okropny chłopak”.

I to była prawda, a nie jeden z czułych żarcików mamusi. Martin często zastanawiał się z niepokojem, co też matka naopowiadała Alice o nim samym. Nigdy nie dowie się, jak wiele jej powiedziała.

– Jasne, możesz z nią porozmawiać – odezwał się sztywno – jeśli uważasz, że to coś pomoże.

– Niech do mnie zadzwoni, jak wyjdzie z wanny – odpowiedziała Cecily Jordan.

Westchnął i odłożył słuchawkę. Czuł się strasznie zmęczony. Wrócił do domu po długim dniu w biurze, wszystko wyglądało zwyczajnie, dzieci w łóżkach, gotowa kolacja, Alice haftująca w niskim fotelu przy kominku w ich maleńkiej bawialni. Uniosła twarz w oczekiwaniu na jego powitalny pocałunek i wtedy zobaczył, że płakała. Podczas kolacji płakała prawie bez przerwy.



Pomiędzy kolejnym szlochem a kęssem jedzenia powiedziała, że ma przeczucie, iż nic z tego nie będzie.

– Masz na myśli Grey House? – zapytał.

– Nie, nie chodzi mi o sam dom. Przeraza mnie raczej myśl o mieszkaniu tam, o naszym życiu w tym miejscu.

– No ale przecież tego właśnie chciałaś!

– Wiem – powiedziała odsuwając prawie pełny talerz. – Wiem. I tego się boję.

Próbował ją rozweselić.

– Ty się niczego nie boisz! Nigdy się nie bałaś! To ja zawsze umieram ze strachu patrząc na twoje wyczyny narciarskie.

– Och, rzeczy związane ze sprawnością fizyczną nigdy nie są trudne – powiedziała niedbale. – To, co czuję w tej chwili, jest o wiele bardziej przerażające. Jestem taka zagubiona. To tak, jakbym postawiła wszystko na kartę, której wcale nie mam.

Martin zaczął kończyć lasagne, które Alice zostawiła na talerzu.

– Nie rozumiem cię – powiedział.

Nadal nie wiedział, o co jej chodzi. Może matka miała rację i są to pozostałości po kryzysie, który przeszła po porodzie. Było mu jej żal, ale jednocześnie czuł się lekko urażony, że zachowywała się tak dziwnie w stosunku do rzeczy, której przecież bardzo pragnęła, a którą on z takim trudem zdobył. Był zmuszony sprzedać mnóstwo akcji, żeby kupić dom. Rozejrzał się po pokoju, małym, ale pełnym interesujących przedmiotów, śmiałych tkanin i niesamowitych obrazów, których sam w życiu by nie kupił, ale które bardzo lubił. Były takie jak Alice. Popatrzył przez chwilę na ogień w kominku. Czuł, że żona sprawia mu zawód.

Gdy zeszła na dół, w żółtym szlafroku, z warkoczem upiętym grzebieniem na czubku głowy, powiedział starając się, by jego ton nie brzmiał niegrzecznie:

– Mama prosiła o telefon.

Twarz Alice rozjaśniła się, pojawił się na niej wyraz ulgi i nadziei.

– Tak? Dzwoniła?



Zanim Cecily Jordan wyszła za mąż, była przez krótki czas śpiewaczką niemieckich pieśni. W 1937 roku, sprzeciwiając się woli rodziców, pojechała kształcić się do Wiednia. W wieku osiemnastu lat zapalała gwałtowną miłością do muzyki, Wiednia oraz młodego żydowskiego kompozytora i działacza politycznego. Dzięki niemu poznała czyste i cudowne pieśni Schuberta, zgodnie z wymogami stylu niemieckiego rozszerzyła swój repertuar, wprowadzając doń elementy liryczne i dramatyczne. Uczyła się tego wszystkiego, słuchając technicznych wskazówek młodego człowieka, jak również chodząc z nim do łóżka. Tam to właśnie odkryła ogrom swych możliwości, które później realizowała śpiewając.

W zimie 1938 roku przyrzekła mu, że jeśli coś się z nim stanie, natychmiast wróci do Anglii. Zagroził odejściem w razie odmowy. Kazał jej napisać słowa przysięgi i podpisać.

Pewnego słonecznego dnia w czerwcu 1939 roku został aresztowany na Ringstrasse. Stała ćwicząc głos w swoim słonecznym, zakurzonym i zagrożonym pokoju przy Praterze, kiedy przyniesiono jej kartkę od niego zawierającą jej własną obietnicę. „Jeśli jej nie dotrzymasz, wszystko tylko pogorszysz. Zamiast cię uwielbiać, będę tobą pogardzał – pisał jej ukochany. – Najlepsza rzecz, jaką mogłabyś teraz zrobić, to zawieźć ten piękny głos, który razem stworzyliśmy, do Anglii. Niechże będzie tam światłem w świecie pełnym ciemności”. Nie napisał, że ją kocha.

Podróżując przez Europę wieloma okropnymi pociągami, zdała sobie sprawę, że nigdy tego nie powiedział. A ona tak bardzo zajęta była kochaniem za nich oboje, że po prostu nie zauważyła braku tych słów.

Apatyczna i milcząca przybyła do szykującej się do obrony Anglii w sierpniu i natychmiast pojechała do rodzinnego domu w Suffolk. Matka, czyniąc przygotowania do zbliżającej się wojny,

sprzedała wszystkie jej dziecinne książki oraz zaznaczyła irytującą czerwoną linią poziom, do którego wolno było napełniać wannę.

Cecily nie mogła już śpiewać, choć wiele razy próbowała. Wojna została wypowiedziana we wrześniu, lecz jej wydawało się, iż wszystko dzieje się gdzieś bardzo daleko i nie ma z nią żadnego bezpośredniego związku. Źle sypiała, przez większą część nocy rozmyślając o Wiedniu. W dzień chodziła na długie wyczerpujące spacery i mówiła, że ma zamiar wstąpić do armii, czego zresztą nigdy nie uczyniła. Potem zupełnie niespodziewanie oświadczyła, że jedzie do Kanady, aby uczyć śpiewu w dużej żeńskiej szkole w Toronto.

Nie było jej przez sześć lat. Rodzice mieli nadzieję, że może wyjdzie w Kanadzie za mąż, lecz ona wróciła do Anglii sama. W domu pojawiła się podczas okropnej zimy 1946 roku, a w czerwcu poślubiła Richarda Jordana. Poznała go w pociągu z Southampton, do którego wsiadła po opuszczeniu statku. Richard Jordan był inżynierem. Przyjechał do Southampton, aby przyjrzeć się zbombardowanej parceli, którą mógłby wykorzystać na fabrykę. Był człowiekiem sukcesu. W przeciągu pięciu lat doczekali się dwóch synów i kupili rezydencję w lesistej dolinie niedaleko morza za Corfe w Dorset. Cecily, która z biegiem czasu odkryła, że nie bawi jej towarzystwo żadnego z trzech mężczyzn, znalazła pewnego rodzaju rekompensatę w pracy w ogrodzie. Uprawiała go z wyobraźnią i w niedługim czasie stała się znana. Pisała książki o ogrodach i w latach sześćdziesiątych jeździła z wykładami po całej Anglii. Jej sława dotarła nawet do wschodniej Ameryki, gdzie była częstym gościem w latach siedemdziesiątych.

A potem w 1976 roku jej młodszy syn Martin przyprowadził do domu Alice.

Był wrześniowy dzień, doskonały w swej dojrzałej urodzie, piękna pogoda zapewniła urodzaj w Dummeridge, w długiej trawie leżały popękane lepkie śliwki, a tłuste owady brzęczały i bzyczały wśród kwiatów. Cecily była w ogrodzie, niedaleko osiemnastowiecznego domku letniskowego, który odkryła opuszczony w Essex i przetransportowała do Dorset. Wiązała

właśnie ciężki biały powojnik, kwitnący dwa razy do roku, kiedy usłyszała za plecami swobodny kobiecy głos:

– Pani musi być mamą Martina.

Odwróciła się. Przed nią stała wysoka dziewczyna w dżinsach i niebieskiej koszuli. Bujne brązowe włosy związane były z tyłu hinduską chustą.

– Jestem Alice Meadows – przedstawiła się nieznajoma. – Martin poszedł oglądać krykieta, ja natomiast poczułam, że muszę przyjść tutaj. Mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe?

– Za złe? – odpowiedziała Cecily. – Ależ skąd. – Zdjęła ogrodową rękawicę i uścisnęła dłoń Alice. – Witam cię serdecznie, Alice.

Przygotowała dla niej małą południową sypialnię, do której sama planowała przenieść się po śmierci Richar – i da. W sypialni stało mosiężne łóżko, podłoga była pięknie wypolerowana i pokryta szorstkimi greckimi dywanikami w kolorze kremowym. W oknach o głębokich parapetach wisiały biało-niebieskie zasłony toile de Jouy, a w rogu stał ogromny porcelanowy wazon, z którego bujna roślina spadała w dół kaskadą gwieździstych bladoniebieskich kwiatków.

– Podoba ci się? – zapytała zupełnie niepotrzebnie Cecily.

– W każdym calu.

– To mój ulubiony pokój. Ma w sobie coś miłego. – Zerknęła na Alice. – Czy wasz związek to coś poważnego?

Alice spojrzała na nią bez zakłopotania. Patrząc na ten dom, pokój i na tę fascynującą, silną kobietę w drelichowej koszuli i spodniach, na jej pięknie uczesane włosy i sznury pereł na szyi – poczuła, że nie musi się niczego bać, o niczym decydować: wszystko zostanie za nią zrobione.

– Nie – odpowiedziała. – Znamy się dopiero dwa tygodnie. Mój brat poznał Martina grając w tenisa i przyprowadził go do domu. Byliśmy dwa razy w kinie i kilka razy w pubie. Wie pani. A potem Martin zaprosił mnie tutaj.

Przesunęła dłonią po mosiężnej gałce przy końcu łóżka.

– Czy myśli pani – spytała – że zrobiłam błąd przyjeżdżając tu

bez poważnych zamiarów wobec Martina?

– Nie. Cokolwiek zrobisz, miałaś rację odwiedzając nas. Poszły razem do ogrodu, gdzie Cecily zostawiła Alice pod wierzbą przy końcu trawnika i wróciła do domu, żeby zrobić herbatę.

Alice położyła się w starym, dobrze już podniszczonym fotelu z trzciny i spojrzała na ciemnoniebieskie niebo widoczne przez jasnozielone liście wierzby.

Próbowała znaleźć słowo najlepiej określające to, co w tej chwili czuła. Czy była szczęśliwa? Nie, to zbyt słabe. Zadowolona? Za mało dosadne. Może czuła się wspaniale? Zbyt poważne. Lecz każde z tych słów w jakiś sposób opisywało jej stan. Przychodziły jej do głowy inne określenia, równie trafne: czuła się syta, spokojna, było jej błogo...

Pomyślała nagle, czy powinna opowiedzieć matce Martina o swojej rodzinie? Wyznać, że przyjazd do tej starej pięknej posiadłości, drzemka w tym romantycznym, działającym na zmysły ogrodzie były spełnieniem jej modlitw, antidotum na sytuację w jej własnym domu, gdzie brzydkie ściany dzień w dzień wysłuchiwały narzekań matki? Dojrzałam do tego, pomyślała, zsuwając buty i wyciągając w słońcu nagie stopy. Oczarował mnie ten raj, zostałam zniewolona, zanim jeszcze matka Martina zdążyła się odezwać. Zamknęła oczy i poczuła na powiekach delikatny cień wierzby.

Wyobraziła sobie własny dom w Reading przy Lynford Road 4. Matka na pewno popija w tej chwili indyjską herbatę z brzydkiego kubka, który dostała za darmo na stacji benzynowej. Zamiast słuchać „Kalejdoskopu” lub końca „Teatru popołudniowego” w czwartym programie radia, roztrząsa doznane dzisiaj krzywdy, które tak naprawdę są żalami całego jej życia. Miała pretensje głównie do swojego sympatycznego, wiecznie flirtującego męża, ojca Alice, który pewnie prowadził teraz na uniwersytecie jakieś seminarium na temat poezji metafizycznej i rozmyślał o seksie.

Matka nie chciała go opuścić. Narzekała, że nie może tego zrobić, bo go kocha, i proszę, jak jej się odwdzieczył, jak nadużył jej lojalności. Według Alice przypominało to bardziej tyranie niż

wierność, chociaż prowadzenie się ojca uważała za dość obrzydliwe. Dorastając czuła, że nawet jej własne przyjaciółki nie były przy nim bezpieczne. Wszystkie uważały go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę i często flirtowały z nim, przychodząc po Alice przed wyjściem do kina czy na dyskotekę. Matka chciała, żeby córka stawała po jej stronie, żeby jej broniła, lecz Alice odmawiała. Uważała, że oboje są winni, i wiedziała, że po skończeniu szkoły plastycznej opuści Reading i ten okropny, brzydko umeblowany dom. Zostawi za sobą gorzko lamentującą matkę i zbyt pobłażliwego dla samego siebie ojca i podobnie jak jej bracia odjedzie, by nigdy już nie powrócić.

Jeden z braci wyjechał do Los Angeles i dobrze zarabiał jako taksówkarz. Drugi był w Londynie, gdzie mieszkał szczęśliwie z szóstką przyjaciół koło Lavender Hill, przygotowując się do egzaminów w Stowarzyszeniu Prawniczym. To on przyprowadził Martina do domu – no, może niedokładnie przyprowadził, raczej wpadł z nim tam na chwilę, nie mogąc znieść widoku tego miejsca. Jechali razem na turniej tenisowy do Oksfordu, a ponieważ malująca w swym pokoju Alice była wściekła, po tym jak najnowsza zdobycz ojca zadzwoniła pytając otwarcie o profesora Meadowsa – postanowili zabrać ją ze sobą. W Oksfordzie nie poszła z nimi na mecz, wolała odwiedzić muzeum Ashmole'a i obejrzeć marmury walijskie. Wyszła stamtąd w dużo lepszym nastroju.

W ciągu dwóch tygodni Martin Jordan przyjeżdżał cztery razy, by zabrać gdzieś Alice. Ostatnim razem przyniósł jej matce kwiaty, czego nikt nie uczynił przez ostatnie dwadzieścia lat, po czym zadzwonił, że będzie przejeżdżał przez Reading w drodze do Dummeridge i wstąpi po nią. Jeśli ma oczywiście ochotę z nim jechać.

Alice zauważyła, że Reading nie jest wcale po drodze z Londynu do hrabstwa Dorset.

– Oczywiście, że jest, jeśli jadę zabrać ciebie – odparł Martin.

Tak też zrobił, a odjeżdżając spod domu, Alice nie odwróciła się ani razu, by pomachać matce, bo wiedziała, że oto dostarczyła

jej nowy powód do żalu. Śmiała odjechać, by miło spędzić czas, podczas gdy matka zmuszona była zostać i cierpieć w samotności.

I oto Alice znalazła się tutaj, wygrzewając na słońcu, jak kot, swe długie prężne ciało. Leżała sobie w cudownym miejscu pod wierzbą, a ktoś uroczy nadchodził właśnie z herbatą, która – tego była pewna – będzie chińska, w ładnych porcelanowych filiżankach, z plasterkami cytryny i może kilkoma migdałowymi herbatnikami.

– Proszę – usłyszała głos Cecily – wyglądasz na bardzo zadowoloną. – Postawiła tacę na stole. – Mam nadzieję, że lubisz chińską herbatę. Dorothy, moja pomoc domowa, upiekła też trochę kruchych ciasteczek.

– Powiedziałam sobie, że będą na pewno migdałowe herbatniki – roześmiała się Alice.

– A chińska herbata?

– Oczywiście.

Cecily uśmiechnęła się szeroko i usiadła na krześle.

– Martin przykleił się do telewizora.

– Nie szkodzi. Oby tylko nie zechciał, bym mu towarzyszyła.

– Mówił mi, że malujesz.

– Tak.

– To co widzisz czy to co sobie wyobrażasz?

– Maluję to, co widzę w barwach zrodzonych w mojej wyobraźni.

– Cytryny?

– Bardzo proszę. – Usiadła gwałtownie i spuściła nagie stopy na suchą, ciepłą, jesienną już trawę.

– Nawet pani sobie nie wyobraża – powiedziała z ożywieniem do Cecily – jak tu jest cudownie.

– Och, wyobrażam sobie. Nie zapominaj, że to ja właściwie wszystko tu stworzyłam, więc lubię, gdy się mnie chwali.

Trzymała w dłoni płytką delikatną filiżankę, na której namalowane były rajskie ptaki.

– Tam, gdzie ja mieszkam – zaczęła Alice z namaszczeniem – wszystko jest tak brzydkie, że już gorzej być nie może. Myślę, że



to zemsta mojej matki za to, że jej życie nie było szczęśliwe.

– Mało kto jest szczęśliwy – powiedziała Cecily. – Trzeba raczej wymyślać sposoby, jak nie poddawać się nieszczęściu lub go unikać. Oczywiście są też tacy, którzy się w nim lubują.

– Moja matka je wprost uwielbia – powiedziała Alice i wybuchła niespodziewanie śmiechem. – Oj, jestem podła, podła.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Cecily, patrząc na nią z sympatią. – A teraz lepiej opowiedz o niej i o swoim mądrym ojcu. Obawiam się, że przyjechałaś do kompletnych ignorantów. Mój mąż uznaje tylko gazety i fachowe czasopisma, Martin zagląda jedynie do kolorowych dodatków, a jego brat Anthony w ogóle nie czyta. A ty?

Alice odstawiła filiżankę i wyciągnęła się wygodnie w fotelu.

– Ja czytam romanse. Jestem zwariowana na punkcie miłości. Myśli pani, że miłość jest najważniejsza w życiu?

– O tym musisz się już sama przekonać – odpowiedziała Cecily myśląc o Martinie.

Od urodzenia Martin zawsze wydawał się zaniepokojony. Był ładnym niemowlęciem, potem milutkim chłopczykiem, atrakcyjnym młodzieńcem, wreszcie wyrósł na dobrze zbudowanego przystojnego blondyna. Ale wciąż wyglądał, jakby czymś się martwił. Kiedy człowiek miał dobry humor, pomyślała Cecily, miało się ochotę odpędzić gdzieś to jego zmartwienie. Czasem jednak, gdy nie było się akurat w nastroju, twarz Martina przybierała wyraz żebrzącego psa, przez cały dzień błagającego o spacer, na który nie ma się czasu. Cecily bardzo kochała swego syna, ale nigdy nie chciała z nim długo przebywać. Był niezaprzeczalnie nudny, lecz to mogła jeszcze znieść. Zniechęcał ją jego brak śmiałości, ciekawości świata, chęci podejmowania ryzyka. Przeprowadzenie do domu tej niezwyklej dziewczyny było największym przedsięwzięciem w jego dotychczasowym dwudziestoczteroletnim życiu. Nie tylko przywiózł ją tu, ale zachowywał się w stosunku do niej idealnie. Spodziewałaby się raczej, że będzie zbyt natrętny, zbyt nadskakujący. Nic w tym stylu. Często prowokował Alice i choć Cecily podejrzewała, że

jest całkowicie dziewczyną oczarowany, nie dał tego po sobie poznać.

Alice traktowała go z równą śmiałością i swobodą; nie wymieniali między sobą żadnych tęsknych czy tajemniczych spojrzeń.

Wieczorem tego dnia przyjechał na obiad Anthony. Alice prawie nie zwróciła na niego uwagi, chociaż starał się, i to w dość niegrzeczny sposób, żeby go dostrzegła. Zachowywał się tak okropnie, że Richard, wyrwany ze swych rozmyślań, odezwał się niespodziewanie:

– Wyjdź z pokoju.

– Ojczy...

– Wyjdź z pokoju.

Anthony zwrócił się w stronę matki.

– No, dalej – powiedziała.

– To barbarzyństwo.

– Wyjdź z pokoju – powiedział Richard Jordan, a jego twarz przybrała groźny wyraz. Anthony wstał.

– Co sobie Alice... – Przerwał. Wszyscy na niego patrzyli.

Wyszedł z pokoju. Cecily wydawała się nieporuszona.

– Słyszałam, że jakaś Francuzka napisała książkę o tym, jak pozbyła się swoich pięciu synów. Muszę kupić egzemplarz.

Tej nocy Martin nie przyszedł do sypialni Alice. Sądziła, że będzie próbował i miała jednocześnie nadzieję, że tego nie zrobi. Do tej pory spała z mężczyzną dwa razy: w wieku siedemnastu lat, żeby sprawdzić, jak to jest i mieć pierwszy raz za sobą, i sześć miesięcy temu, kierowana zwykłym fizycznym pociąganiem. Drugi raz, co było raczej normalne, sprawił jej o wiele więcej przyjemności, ale nadal nie było to to, o czym marzyła. Tłumaczyła sobie, że nie może spodziewać się niczego więcej, nie będąc zakochana w żadnym z mężczyzn. Czuła wyraźnie, że Martina również nie kocha, nie chciała więc, by seks z nim stał się kolejnym sprawdzianem. Leżąc pod samym prześcieradłem w swojej czarującej sypialni, z bezwstydnym, wyglądającym jak teatralna dekoracja jesiennym księżycem za oknem, pomyślała

jednak, że przydałoby się jej trochę dobrego seksu. Chciała, żeby jakaś niespotykana fizyczna siła wewnątrz niej uniosła ją ze sobą, tak by każdy atom ciała był jakby oddzielnym istnieniem. Jeden z wykładowców w szkole plastycznej – człowiek dość obleśny, jeśli miała być szczerza – powiedział kiedyś, że dobry seks pomaga w malowaniu. Alice przemyślała to stwierdzenie i w końcu odrzuciła je, jako typowy produkt lat sześćdziesiątych. No bo weźmy na przykład Toulouse-Lautreca czy van Gogha.

Trzymając dłonie na brzuchu okrytym bawełnianą koszulą, zastanawiała się, jak to jest, gdy osiąga się orgazm, co się wtedy z człowiekiem dzieje. Gdyby mogła się tego jakoś dowiedzieć, problem przestałby ją nurtować.

Przekręciła się na bok i włożyła ręce między uda. Ten dom był najcudowniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek była. Gdyby jutro Martin poprosił ją o rękę, stojąc być może na obrośniętym bluszczem podwórzu stajennym, pod błękitnym niebem pełnym ruchliwych białych gołębi, zgodziłaby się bez wahania. Mogłaby wtedy często tu przyjeżdżać, a co najważniejsze, Cecily byłaby jej teściową. Zaczęła chichotać, przejęta i szczęśliwa, i bardzo mało brakowało, by stojący w korytarzu za jej drzwiami Martin wszedł do sypialni i zapytał, co też ona wyrabia.

Wiedział, że chce się z nią ożenić. Wiedział to od momentu, gdy jej brat, Josh, otworzył tylne drzwi sypialni w tym przygnębiająco smutnym domu i zobaczyli Alice malującą z jakąś dziką furją. Miała na sobie rajstopy w czarno-czerwone pasy i umazany farbą kitel. Włosy spięła wysoko na czubku głowy wetkniętym w nie pędzelkiem. Martin nie spojrzał nawet na obraz, , tak był zajęty patrzeniem na nią samą. Nigdy jeszcze nie spotkał nikogo, kto byłby tak pełen życia. Rzuciła się na Josha, który wydawał się równie uradowany jej widokiem.

A później zabrali ją ze sobą do Oksfordu i w trakcie jazdy Martin miał wrażenie, że emanująca z niej energia wypełnia wnętrze samochodu, chociaż Alice nie mówiła zbyt wiele. Po prostu siedziała z tyłu i była. Zerkając na nią od czasu do czasu we wstecznym lusterku czuł rosnące podniecenie. To było naprawdę

coś.

Zauważył, że dodawała mu odwagi. Mógł ją prowokować, rozmowa z nią była pewnego rodzaju grą. Wychodząc z Alice z pubu dziesięć dni później zdał sobie sprawę, że nie wydawał się już sobie nudny i nijaki, ale całkiem inteligentny i pełen polotu. Zaczął się bać, że jeśli nie zatrzyma jej przy sobie, stanie się znowu kochanym, zwyczajnym Martinem, który narzekał na rozkład pociągów i warunki jazdy, i sprawi, że jego własna matka będzie wzdychała obserwując go i nie potrafiąc wcale tego ukryć.

Zaproszenie Alice do Dummeridge było cudownym, genialnym pomysłem. Oto znalazła się tutaj, podziwiając dom i nawiązując znakomity kontakt z matką. Nawet ojciec...

Anthony powiedział kiedyś z wściekłością, że życie z ich ojcem przypomina przebywanie w domu, w którym największy i najlepszy pokój jest zawsze zamknięty. I choć lojalnego Martina, który zawsze myślał nieco stereotypowo, bolała ta metafora, nie mógł nie przyznać bratu racji.

Ojciec nie był właściwie nudny, ale całkowicie zamknięty w swoim własnym świecie. Martin zwrócił jednak uwagę, że przyglądał się Alice i co więcej, wydawał się ją lubić. Alice zaś w typowy dla siebie sposób – Martin poczuł, jak cały mięknie na samą myśl o tym – zdawała się nie zauważać, iż Richard nie jest osobą towarzyską. Zagadywała go, więc jej odpowiadał. Uśmiechał się do niej. Anthony był jedyną osobą, którą Alice zdecydowanie ignorowała. Sam do tego doprowadził, próbując zwrócić na siebie jej uwagę głupimi żartami i popisami. Dokuczał rodzicom w nadziei, że wzbudzi w dziewczynie zachwyt.

Po raz pierwszy w życiu udało się Martinowi pokonać Anthony'ego, zdobyć coś, czego brat pragnął, lecz mieć nie mógł. Znalazł coś zdumiewającego i wiedział, że rodzice są z niego dumni. Czuł, że rozpiera go wewnętrzna siła. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Gdyby udało mu się zatrzymać Alice, wszystko byłoby od tej pory na swoim miejscu. Miałby cel w życiu, a przyszłość przed sobą. Pracowałby dla niej.

Wykazując się zdumiewającym opanowaniem, Martin nie

oświadczył się Alice przez następne trzy miesiące. Zaufał całkowicie subtelnemu instynktowi, który był dla niego zupełną nowością.

Widywali się raz w tygodniu, a co drugi weekend Martin przyjeżdżał do Reading z rdzawymi lub fiołkowo-różowymi chryzantemami dla pani Meadows (kupuj tylko ohydne kwiaty, powiedziała mu Alice, ona pogardza ładnymi) i zabierał jej córkę do Dummeridge. Często brał udział w tamtejszych polowaniach i czasem Alice była wśród naganiaczy. Czasem zaś zostawała w Dummeridge, malowała i rozmawiała z Cecily. Ta podziwiała jej malarstwo, namawiała do używania akwareli i poprosiła, by Alice namalowała obrazy przedstawiające różne fragmenty domu.

Przy schodach prowadzących do piwnicy dziewczyna namalowała więc pokryte pajęczynami okno, a na podwyższeniu dla jeźdźców rysunek przedstawiający pierzchające kury. Narysowała również fragment salonu, gdzie na stole pokrytym hinduskim szalem, przy wypłowiałej ścianie obwieszanej miniaturami, stało nieduże poobijane popiersie z alabastru.

Na lunch jadały jajka, sałatki i ciemny chleb domowego wypieku. Cecily zawsze podawała wino, którego nie pijało się w domu rodzinnym Alice. Ojciec miał swoje piwo i whisky, matka sherry, którego oczywiście nigdy nie tykała, bojąc się, że poprawi jej humor.

Alice odkryła, że nigdy do tej pory z nikim się jej tak dobrze nie rozmawiało jak z Cecily. Cecily wspominała nawet Wiedeń, choć minęło już trzydzieści lat, odkąd ostatni raz o nim mówiła. Dzieje nieszczęśliwej miłości wzbudziły w Alice pełne tęsknoty uczucie. Była poruszona również pewną odmiennością opowieści, dramatyczną historią zmarnowanych zdolności, głosu, który zamilkł na zawsze.

Alice nigdy nie podróżowała, z wyjątkiem szkolnej wycieczki do Paryża, którą zapamiętała jako nie kończące się, przyprawiające ją o mdłości godziny spędzone w autobusie.

Jordanowie podróżowali bardzo dużo, traktując to jako rzecz oczywistą. Richard nieustannie wyjeżdżał w sprawach

zawodowych, chłopcy – na narty, a raz na safari w Kenii. Cecily wielokrotnie jeździła z wykładami lub prywatnie do Francji i Włoch, by oglądać, jeść i pić – dosłownie i w przenośni, jak mówiła.

– Powinnaś wyjechać – powiedziała do Alice – to po prostu zbrodnia, że nie byłaś jeszcze we Włoszech.

Zastanowiwszy się, Alice przyznała jej rację. Z upływem jesieni coraz bardziej gniewały ją niedzielne wieczory, kiedy to zmuszona była opuszczać Dummeridge, którego wnętrze ze swym bogactwem starych sprzętów i książek migotało w świetle ognia na kominku. Po każdym powrocie dom przy Lynford Road wyglądał coraz gorzej – zniszczony dywan w przedpokoju, zbyt ostre, rażące światło lamp, ciemnozielona glazura w łazience. Wszystko wydawało się nieproporcjonalne, za wysokie, za wąskie. Alice zaczęła tęsknić za poniedziałkowym telefonem od Martina, który dzwoni! regularnie jak w zegarku i mówił, kiedy po nią przyjedzie.

Zjawiał się zawsze punktualnie i te wizyty stały się podniecającymi wydarzeniami w życiu Alice. Za każdym razem gdy widziała go stojącego na progu jej domu w tweedowej marynarce, którą miał na sobie w Dummeridge, i butach, których uderzenia o kuchenną podłogę wciąż słyszała, uczucie, że oto nadchodzi ratunek, stawało się coraz mocniejsze i coraz bardziej fascynujące.

W pierwszym tygodniu grudnia zabrał ją na kolację do Marlow. Miał na sobie garnitur. Alice przeczuwając, że powie jej tego wieczora coś ważnego, ubrała się w czarną, uszytą przez siebie, dżersejową sukienkę, upięła wysoko włosy i założyła ogromne miedziane kolczyki, dzieło jej koleżanki przygotowane na wystawę sztuki egipskiej.

W restauracji w Marlow serwetki były różowe, a czerwone światło przyćmione. Martin zrobił minę.

– Przepraszam – powiedział do Alice.

Nie do końca wiedziała, za co ją przeprosza. Według niej restauracja wyglądała tak, jak powinna. W każdym razie tak

niecierpliwie oczekiwała na to, co się zdarzy, że nie zwracała uwagi na imitację boazerii czy też zbyt cicho granego Mantovaniego.

Martin zamówił kolację ze znajomością rzeczy, opowiedział, jak spędził tydzień – Alice prawie w ogóle go nie słuchała – a potem stwierdził, że musi jej coś powiedzieć i o coś poprosić.

Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Najpierw powiedz – rzekła.

– Moja matka ma dla ciebie dwa zlecenia. Dwoje jej przyjaciół obejrzało twoje obrazy Dummeridge i chcą, żebyś malowała w ich domach. Matka poprosiła o sto pięćdziesiąt funtów. Za każdy obraz.

– Za każdy! – wykrzyknęła Alice rumieniąc się.

– No i co? – Martin uśmiechnął się szeroko. Alice zacisnęła kurczowo ręce.

– To wspaniale. Twoja matka jest cudowna. Boże! Prawdziwe pieniądze.

Coś ścisnęło ją za gardło. Na pewno radość i zdumienie.

– Dzwoniłem do niej wczoraj wieczorem. Chciała ci to powiedzieć sama, ale zmusiłem ją, by pozwoliła mi to zrobić. I to jest właśnie ta druga rzecz, o którą muszę cię spytać.

Tym razem Alice nie dała rady spojrzeć mu prosto w oczy, wydawało się, że nie może na nic patrzeć. Wbiła wzrok w stojącą przed nią polędwicę z melonem, a Martin powiedział do jej spuszczonej głowy:

– Czy chciałabyś spędzić Boże Narodzenie w Dummeridge?

Zapadła cisza. Ty mała okrutnico, myślał Martin, nie każ mi czekać, proszę cię. Powiedz tak, powiedz tak, powiedz...

– Bardzo – odpowiedziała Alice. Jej głos był ciepły, ale nie słychać w nim było entuzjazmu.

Udało jej się ukryć nagłą złość na Martina. Poproś mnie, krzyczała do niego cały czas w myślach, poproś, poproś. A co on zrobił? Zaprosił ją na gwiazdkę.

– Świetnie – powiedział. – Wszyscy bardzo się ucieszą.

Ale co z twoimi...

– Rodzicami?

– No właśnie...

– Spędziłam z nimi święta dwadzieścia razy – powiedziała ze złością, której powodem nie była chyba sytuacja w jej domu rodzinnym – i uważam, że należy mi się przerwa. I tak przyjedzie babcia.

W Dummeridge pojawili się w Wigilię. Dom przystrojony był girlandami zieleni, pełen piramid błyszczących jabłek, świec i zapachu palącego się drewna.

– Jak cudownie – powiedziała Cecily – mieć kobietę, dla której można to wszystko robić.

Od momentu przyjazdu Alice stała się najważniejszą osobą w czasie tych świąt. Czuła, że atmosfera poprawia się za każdym razem, gdy wchodzi do pokoju. Wiedziała, że wszystko robione jest z myślą o niej, że cały czas jest obserwowana.

W sypialni rozpalono dla niej ogień, a świąteczna pończocha zrobiona była z purpurowego filcu. Gdziekolwiek się ruszyła, czuła na sobie spojrzenia domowników, których serca były tylko dla niej. Zauważyła, że nawet Anthony stara się być miły.

Przechadzając się po uroczych pokojach, zabierając psy na wietrzne spacerunki nad szare zimowe morze, czuła, że została do tego wszystkiego stworzona, że w jakiś sposób odnalazła dom.

Była tak pewna siebie, tak spokojna, że gdy Martin oświadczył się w końcu, nie odczuła żadnego podniecenia, żadnej radości czy ulgi. Przyjęła po prostu do wiadomości to, co było nieuniknione.

Stało się to w drugi dzień świąt. Ścigali się wzdłuż Seacombe Cliff, krzycząc na wietrze, gdy nagle Martin złapał ją mocno i śmiejąc się spytał:

– Wyjdiesz za mnie, prawda? A ona śmiejąc się odpowiedziała:

– Oczywiście, że nie.

Wyrwała się z jego objęć i zaczęła uciekać.

Martin wiedział, że żartowała. Dogonił ją, przewrócił na ziemię i przygwoździwszy do podniecająco chłodnej darni, pod niebem pełnym pędzących dziko chmur, zmusił do zgody.



Później zaniósł Alice na rękach do Dummeridge, a ojciec otworzył szampana. Spoglądając na Cecily, Alice wiedziała, że nie mogła inaczej postąpić. Czuła, że jest tu kochana.

Tej nocy, zrelaksowana, rozgrzana, silna i pewna siebie, osiągnęła orgazm w ramionach Martina. Jemu udało się to trochę później. Alice była trochę zdziwiona – pewnie z powodu szampana – dlaczego tym razem się powiodło i jaki miało to związek z tym, co robił z nią Martin. Po prawdzie robił akurat niewiele, lecz Alice była szczęśliwa, że nareszcie własne ciało zdecydowało za nią. Tak bardzo na to czekała. Odkryła jednak, że wyzwolenie, którego doświadczyła, nie ogarnęło jednocześnie jej umysłu. Nie zastanawiała się jednak nad tym, sądząc, że skoro udało jej się osiągnąć zadowolenie, musi być bardziej zakochana w Martinie, niż jej się wydawało. A to oznaczało, że uczucie do niego stanie się z czasem silniejsze.

Przepełniona wdzięcznością spała w jego ramionach do piątej nad ranem, kiedy to uwolnił się z jej objęć i wrócił dyskretnie do swojej sypialni.

Spotkali się na śniadaniu, oboje triumfujący, a Cecily przyglądając się im z niewypowiedzianą ulgą poczuła, że trzydzieści zmarnowanych lat jej życia dobiegło końca.

Pobrali się w 1977 w Dummeridge. Wszyscy jednomyślnie uznali, że będzie to najodpowiedniejsze miejsce. Matka Alice, całkowicie przytłoczona osobowością Cecily, pozwoliła, by tamta o wszystkim decydowała. Cecily zabrała więc Elizabeth do Bournemouth i wybrała dla niej strój, w którym miała wystąpić na ślubie. Po powrocie matka Alice stwierdziła nieco poirytowana, że nigdy nie lubiła koloru zielonego, była jednak wyraźnie ożywiona. Nie chciała zdradzić szczegółów wyprawy, tak by mąż i córka widzieli, że ona też może mieć swoje własne sekrety. Alice niewiele to wszystko obchodziło. Co weekend jeździła do Dummeridge i snuła plany na przyszłość – gdzie Martin powinien szukać pracy, jaki dom powinni kupić, gdzie najlepiej byłoby spędzić miodowy miesiąc, z jakiego materiału powinna być uszyta jej suknia ślubna, co jeszcze należałoby wpisać na listę ślubnych prezentów.

– To znaczy, że naprawdę mogę poprosić od razu o sześć kremowych ręczników kąpielowych, naczynie do sufletów z włoskiej porcelany, tuzin kieliszków do wina i otwieracz do puszek?

– Oczywiście. To zupełnie normalne.

– Bomba! – wykrzyknęła Alice. – Dobra. Pomyślmy, co by tu jeszcze...

Martin otrzymał ofertę pracy w Salisbury, którą skwapliwie przyjął. Niedługo potem Alice i Cecily znalazły dom na przedmieściu Wilton. Miał trzy sypialnie, czarujący kominek przerobiony ze starego pieca na chleb, a w ogrodzie jabłoń. Był maj i drzewo obsypane kwieciami wyglądało przecudnie. W czerwcu Alice opuściła szkołę, opróżniła całkowicie swą sypialnię w Reading i przeniosła się do Dorset. Matka, tym razem naprawdę zraniona, nie próbowała jej nawet zatrzymać, wiedząc doskonale, dlaczego córka opuszcza dom.

Jednak ojciec usiłował powstrzymać Alice.

– Czy przypadkiem – zapytał, opierając się o kuchenny kredens i przyciskając do szerokiej piersi szklanę whisky – nie przewróciło ci się w głowie?

– O, na to pytanie z pewnością sam znasz odpowiedź – odparła Alice ze złością.

Roześmiał się. Zawsze drażniło ją, że ojca po prostu nie dało się zirytować.

– Daj spokój, Alice. Mogłabyś wytrzymać z nami jeszcze te dwa miesiące. Trochę to niegrzecznie z twojej strony tak otwarcie nas porzucać dla olśniewającego bogactwa Jordanów. I to jeszcze przed ślubem. Zdaje się, że cię rozpieścili. I wygląda na to, że my tam nie pasujemy.

– Nieważne, jaka ci się wydaję – odpowiedziała Alice.

– I nie mogę nic poradzić na to, jak wy się w tym wszystkim czujecie. Chłopcy wyjechali, a ja spędziłam tu sama trzy lata. W Dummeridge ciągle coś się dzieje i tam mogę malować.

– Przerwała na chwilę, by po chwili dodać z dumą: – Mam trzy nowe zamówienia.

– Mogłabyś jednak pomyśleć o mnie – zauważył niezbyt mądrze Sam Meadows, przerażony nagle wizją domu, w którym nie ma nikogo prócz jego żony.

Alice parsknęła.

– Rozumiem. Chciałbyś, żebym tu została i stanowiła bufor pomiędzy tobą i mamą. No to masz pecha. To właśnie jeden z powodów, dla których wyjeżdżam już teraz...

Sam wypił trochę whisky.

– Szczerze mówiąc, Al, sam chyba nie dam sobie rady.

– Powinieneś więc doskonale zrozumieć, jak ja się czuję. Przestań nudzić – rzuciła Alice ze złością. – I nie próbuj zmuszać mnie, bym czuła się winna. Wyjeżdżam i koniec.

Ojciec wyprostował się, podszedł do niej i objąwszy ją ramieniem, złożył na jej głowie stosowny, pachnący whisky pocałunek.

– Nie obarczam cię za nic odpowiedzialnością – stwierdził – a

ty nie powinnaś winić mnie, że próbuję cię zatrzymać.

– Odpowiedzialność – powiedziała Alice opierając się o niego i przyznając z niechęcią, jak umiejętnie potrafi dotykać kobiety. – Nie mów o odpowiedzialności. To słowo nie istnieje w Dummeridge, podobnie jak wina, lojalność, zdrada czy wszystkie inne dotyczące uczuć puste słowa, których ty i matka używacie przez cały czas.

Ojciec wyszedł z kuchni, a Alice wróciła do swojego pokoju, by skończyć pakowanie. Kiedy zeszła na dół, matka siedziała w bawialni na miękkiej, obszytej brązowym rypsem sofie. Dłonie miała zaciśnięte, a wzrok skierowany gdzieś w przestrzeń. Alice przykucnęła przy niej.

– Martin przyjeżdża po mnie o piątej.

– Wiem – odpowiedziała matka.

– Niewiele to zmieni – zaczęła Alice – czy wyjadę teraz czy dopiero po ślubie. Naprawdę.

Milczenie.

– To nie dlatego... nie dlatego, że ja nie... – że nie kocham ciebie i taty. To atmosfera tego domu.

– Rozumiem.

– Tam nikt nie prosi mnie, żebym stawała po czyjejś stronie – mówiła Alice błagalnym tonem. – Kiedy otwieram usta, nie muszę zastanawiać się, kogo tym razem zdenerwuję.

Elizabeth Meadows nadal wpatrywała się w przestrzeń.

– Rozumiem – powtórzyła, a po krótkiej przerwie dodała: – Czy Jordanowie są szczęśliwym małżeństwem?

Alice poczuła się zaskoczona. Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym, lecz teraz pomyślała, że nie było to może najlepiej dobrane małżeństwo, ale w sumie bez zarzutu. Poza tym każde z Jordanów miało swoje własne życie i na tym właśnie polegała cała różnica.

– Oni nie pragną tak jak ty, by małżeństwo stanowiło najważniejszą rzecz w ich życiu – odpowiedziała po chwili, pogarszając i tak trudną już sytuację. – Cecily ma swoją karierę, Richardowi powodzi się...

– Cóż za idealna para – wycedziła matka.

Alice westchnęła. Podniosła się i podeszła do drzwi balkonowych, wychodzących na skrawek ogrodu, który pieczołowicie pielęgnowany przez Elizabeth, wypełniony był równoległymi rzędami szaławii i afrykańskiego nagietka.

– Słuchaj – zwróciła się do matki – cokolwiek zrobię, i tak będzie źle. Albo ty się denerwujesz, albo tata. Wyjeżdżam więc na tyle wcześnie przed ślubem, na ile pozwala przyzwoitość. Jadę tam, gdzie wiem, że cokolwiek powiem czy zrobię, nie będzie z tego od razu problemu.

– Za bardzo się bronisz – odpowiedziała Elizabeth. – Nie mam zamiaru cię powstrzymać.

Na szczęście w tym momencie Martin zadzwonił do drzwi.

Alice nigdy już nie spała w swym rodzinnym domu przy Lynford Road. Dwa miesiące w Dummeridge minęły jak piękny sen. Richarda prawie cały czas nie było w domu, Cecily pojechała na trzy tygodnie do Ameryki, a Martin, przygotowując się do końcowych egzaminów, przyjeżdżał tylko na weekendy. Gospodarstwem zajmowała się Dorothy, Alice miała więc cały dom dla siebie i czuła się wolna jak ptak.

W południe spała w hamaku w ogrodzie, a blade letnie noce spędzała wałęsając się po domu i robiąc sobie ogromne kanapki z serkiem śmietankowym, suszonymi morelami i kruszonymi orzechami. Jadła je siedząc często prawie naga na skąpanym w świetle księżyca trawniku albo w ciemnym salonie. O północy szła na plażę w towarzystwie zdziwionych, lecz posłusznych i nie protestujących psów, by popływać w czarnym, oświetlonym blaskiem księżyca morzu. Potem wracała boso do domu i siadała owinięta w koc na piecu, czując jak jej wilgotne od słonej wody włosy schną na plecach.

Miała zamiar malować, ale nie chciało jej się. Wiedziała, że będzie musiała zabrać się do pracy po powrocie Cecily, wykorzystywała więc zachłannie swój wolny czas, spacerując za domem po gorących skoszonych łąkach pełnych siana, przykładając policzek do ścian i drzew. Leżąc nad stawem na

trawie z ręką w wodzie, obserwowała refleksy światła i przyglądała się, jak wiatr delikatnie porusza włoski na jej ramieniu.

W niedzielne wieczory żegnała się z Martinem bez żalu. Gdy słyszała cichnący odgłos silnika, czuła wręcz rosnące podniecenie, tak jakby znowu była wolna. To uczucie sprawiało, że zaraz szła do kuchni, siadała przy starym wyszorowanym stole i pisała do Martina pełne miłości listy, o tym jak bardzo tęskni do następnego piątku, i przypominając mu, żeby ostrożnie prowadził. Pisała ze szczerego serca. Potem szła nad morze i pływała, pływała, pływała.

Dorothy, znajdując rankami mokre ręczniki rozwieszzone przy piecu, zastanawiała się często, czy nie powinna przypadkiem zwrócić Alice uwagi, że nierozsądnie jest pływać samotnie w środku nocy. Patrząc na dziewczynę zdecydowała jednak, że lepiej będzie nic nie mówić. Po ślubie Alice straci wolność i nigdy już jej nie odzyska. Nawet więc jeśli teraz ryzykowała, było to tego warte. Bo tak naprawdę wszystko warte posiadania tak czy inaczej wiąże się z ryzykiem.

Podczas nieobecności Cecily Alice odwiedziły tylko dwie osoby, nie licząc Martina. Jedną z nich był Anthony, który przyjechał pewnego wieczoru bez zapowiedzi, wypił sporo przy obiedzie, po czym z dużą wprawą próbował pocałować Alice. Stojąc sztywno w jego ramionach powiedziała:

– Ale ty mi się wcale nie podobasz. W ogóle nie uważam, żebyś był atrakcyjny.

– Wypróbuj mnie – odpowiedział, przybliżając twarz do jej twarzy.

Odchyliła głowę.

– I tak robisz to tylko po to, by zdobyć punkt nad Martinem.

Anthony zmuszony był więc ją puścić i pójść spać. Gdy obudziła się następnego ranka, jego już nie było.

Drugim gościem był jej przyszły teść, który zatrzymał się w Dummeridge na dwie noce przed kolejną podróżą. Uprzedził ją telefonicznie o swoim przyjeździe.

– Czy powinnam coś zrobić? Przygotować coś, czego potrzebujesz? – zapytała go w czasie rozmowy, jak przystało na obowiązkową przyszłą synową.

Odpowiedział, że nie. Miała w ogóle nie zwracać na niego uwagi; Dorothy robi wszystko, co należy. On przyjedzie na obiad.

Alice wybrała się więc radośnie na długi bezcelowy spacer i spędziła sporo czasu budując tamę w poprzek przypadkowo odkrytego strumyka.

Wróciła do domu i usłyszała, że ktoś gra na pianinie. To na pewno Cecily, pomyślała i pełna radosnego podniecenia wbiegła do salonu, krzycząc:

– Och, nie spodziewałam się...

W pokoju zastała Richarda. Przestał grać i odwrócił się do niej.

– Ale przecież – zdziwiła się Alice – ty nie grasz na pianinie.

Uśmiechnął się.

– Gram.

– Ale Cecily...

– Zawsze gratem. Jestem niezłym pianistą, ale zupełnie, jak zapewne możesz sobie wyobrazić, pozbawionym wyobraźni. Nigdy nie gram, jeśli wiem, że ktoś jest w domu.

Alice przeszła wolno przez pokój i stanęła obok Richarda. I w dodatku grał Schuberta.

– Chyba naprawdę cię zaskoczyłem, prawda? Poczula, że się czerwieni.

– Tak. Myślałam... – przerwała.

– Wiem – odpowiedział. – Wszyscy tak myślą. Podniósł się i zatarł energicznie dłonie, jakby przyłgnęło do nich coś, czego chciał się pozbyć. Spojrzał na Alice z góry, a ona zastanawiała się przez chwilę, czy troszkę się z niej nie naśmiewa.

Ale powiedział tylko:

– Dobrze wyglądasz. Co robiłaś przez cały ten czas?

– Kompletnie nic – odpowiedziała, spoglądając na niego.

Spodobała mu się ta odpowiedź.

Później chciał usłyszeć, co dokładnie znaczyło „kompletnie

nic”. Opowiedziała mu częściowo, choć nie mogła przecież wyznać mężczyźnie, który ma wkrótce zostać jej teściem, że leżała zupełnie naga na jego sofie, jedząc kanapki w środku nocy. Ku własnemu zdziwieniu było jej przykro, gdy wyjechał – najpierw na lotnisko Heathrow, a później nad Zatokę Meksykańską. Podczas pobytu w Dummeridge nie sprawiał wrażenia zirytowanego jej swobodnym zachowaniem w domu – bo przecież to był jego dom – ani nie chciał ograniczać jej wolności. Wręcz przeciwnie, zdawało się, że cieszy się swoją własną swobodą, co ją trochę drażniło i sprawiało, że chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Gdy wyjechał, odkryła z irytacją, że czuje się nieco samotna. Kiedy więc trzy dni później przyjechała Cecily, Alice powitała ją z taką samą radością i przejęciem, z jaką psy Jordanów cieszyły się z powrotu swej pani.

– Nie powinnam była zostawiać cię samej na tak długo, ale to nieszczęsne tournée zostało zaplanowane już prawie rok temu. Nigdy, przenigdy nie chcę już tłumaczyć, że nie da się stworzyć angielskiego ogrodu wiosennego w Selmie w Alabamie.

Kiedy tylko przyjechała Cecily, wszystko wróciło na swoje miejsce. Dnie i noce stały się normalnymi dniami i nocami, ułożono spis zakupów, napisano listy, suknia ślubna Alice – z szyfonu koloru kości słoniowej na brzoskwiniowym jedwabiu – została dopasowana.

Prezenty nadchodziły codziennie – od osób, których Alice w ogóle nie знаła, i ze sklepów, o których przedtem nie mogła nawet marzyć: General Trading Company na Sloane Street, Harrods, Peter Jones, Thomas Goode, White House.

Jadalnia w Dummeridge powoli wypełniała się pościelą, porcelaną, garnkami i chińskimi lampami – rzeczami, które Alice sama wybrała, o które poprosiła i które teraz otrzymała.

Góra prezentów rosła, a Alice odkryła, że wcale nie jest zadowolona, choć wszystkie rzeczy wydawały jej się prześliczne. Nie chodziło o to, że rozpieszczano ją, ale te sterty ręczników, nożyc ogrodowych i pudła kieliszków do brandy sprawiały, że to ona czuła się kupowana. Starła się powiedzieć o tym Cecily, ale



ta sądząc, że uprzedzenia Alice są wynikiem skromnych warunków, w jakich dorastała, kazała jej się rozluźnić i cieszyć każdą chwilą.

– Uwierz mi, ludzie naprawdę chcą to dla ciebie zrobić. Uważaliby cię za dziwaczkę, gdybyś nie przygotowała spisu prezentów, a Bóg mi świadkiem, że nie byłaś zachłanna.

Tak więc Alice napisała posłusznie wszystkie listy i próbowała podjąć jakąś konstruktywną decyzję co do kwiatów, bułek ze szparagami i koloru podszewki markizy, która miała być ogromna i wyposażona w przeszklone drzwi na wypadek, gdyby dzień był chłodny. Nocami, zamiast wyciągnąć się z rozkoszą pod swą lnianą pościelą, martwiła się szczegółami i drobiazgami. Czuła się przygnieciona jakimś ciężarem, który przeszkadzał jej widzieć i oddychać.

Gdy nadszedł dzień ślubu, nie była wcale w odpowiednim nastroju. Wszystko potoczyło się normalnym trybem, jak w ogromnej sprawnie działającej maszynie, i Alice podeszła do ołtarza wsparta wdzięcznie na ramieniu wyraźnie zadowolonego ojca. Przez cały jednak dzień czuła się samotna, a wieczorem była wyczerpana i rozstrojona stwarzaniem pozorów, że jest tak szczęśliwa, jak chciałaby być.

– Jest zmęczona – powiedziała Cecily do Martina, pakując ich do samochodu. Goście weselni, nienaturalnie weseli po zbyt wczesnie wypitym szampanie, stali na żwirze i wiwatowali. – Opiekuj się nią.

Martin starał się, jak mógł. Większą część następnego dnia spędzonego w drodze do Aten Alice przespała, a on czuwał nad nią, okrywał kocami i zabronił stewardesie niepokoić ją lunchem, napojami i bezcłowymi zegarkami. Przyjaciółka Cecily wypożyczyła im swoją willę na Patmos, gdzie oprócz nich mieszkało tylko małżeństwo opiekujące się domem. Trudno było od nich uciec, jako że przejawiali wyjątkową troskę o dom i o ogród. Alice i Martin pływali, spali, leżeli w słońcu, a Alice od czasu do czasu rysowała. Nocami Martin kochał się z nią i chociaż nie miała nic przeciwko temu, nie była również w stanie

oczekiwać tych chwil z radością. Nie wiedziała, co on czuje, ponieważ o tym nie rozmawiali. Było im ze sobą zupełnie dobrze, a wiele lat później, gdy próbowali każde z osobna odtworzyć w pamięci swój miodowy miesiąc, nie byli w stanie przypomnieć sobie niczego.

– Myślę – opowiadała później Alice swemu teściowi, chcąc być szczerą i uczciwą – że po prostu przespałam cały ten czas.

Kiedy wrócili opaleni i zadowoleni z siebie jak przystało na młodą parę tuż po miesiącu miodowym, rodzice Alice uczynili ostatni krok, by dom przy Lynford Road na dobre zniknął z jej życia.

Dwa tygodnie po powrocie z Grecji, gdy Alice urządziła się jeszcze na nowym gospodarstwie w tym radosnym nastroju, kiedy decyzja gdzie rozwiesić sznur do bielizny sprawia ogromną przyjemność, przyjechał nagle jej ojciec. Zachowywał się naturalnie, to Alice wydawała się kompletnie zaskoczona. Zaprowadziła go dumnie do swej malutkiej bawialni, posadziła w jedynym przyzwoitym fotelu, jaki posiadali, i zwróciła mu uwagę na przedmioty, które powinien podziwiać, kiedy ona będzie przygotowywała kawę.

Odpowiedział, że wolałby kieliszek brandy.

– Brandy? – spytała Alice.

– Tak, brandy.

– Ale my nie mamy brandy.

Sam Meadows zamknął oczy.

– A co macie?

– Wino.

– No to poproszę kieliszek wina.

Alice poszła do kuchni, wyjęła ze świeżo pomalowanego kredensu jeden ze swych nowych kieliszków i napełniła go winem.

Wyglądało na to, zauważyła ni w pięć, ni w dziewięć, że wino sprzedawane było przez firmę produkującą musztardę.

Zaniosła kieliszek do pokoju, a Sam, zanim jeszcze wziął go do ręki, powiedział:

– Widzisz, przyszedłem ci powiedzieć, że opuściłem twoją matkę.

Alice, którą nowe mieszkanie w Domku pod Jabłonią, Grecja i Dummeridge oddaliły od odwiecznych problemów rodziców, zapytała tylko:

– Dla kogo?

– Dla nikogo – odpowiedział Sam Meadows. – Dla ratowania samego siebie.

Alice podała mu kieliszek.

– Zaplanowałeś to? – spytała.

– O, tak. Planowałem to od lat. Wiedziałem, że nie mogę z nią zostać, kiedy was już nie będzie, z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że jeśli wyjadę wcześniej, może ty nie będziesz miała już nigdy szansy tego zrobić. – Napił się trochę wina. – Wyjechałem w dniu twego ślubu.

– Co?!

– Wracaliśmy tego dnia do domu w kompletnej ciszy. Jedyne słowo, które wtedy padło ze strony twojej matki, było „Uważaj” podczas wymijania jakiegoś rowerzysty niedaleko Andover. Kiedy dotarliśmy do domu, zaczęło się. Nic nowego, to samo co zwykle. Poszedłem więc na górę i spakowałem się – trochę to głupie, jak w jakimś sentymentalnym serialu telewizyjnym – a potem pojechałem do hotelu uniwersyteckiego. Wiedziałem, że znajdę tam wolny pokój przeznaczony dla jakiegoś amerykańskiego doktoranta, który nigdy się nie pojawił. Mieszkam tam do tej pory.

– Ale przecież rozmawiałam z tobą – powiedziała Alice. – Iz mamą. I żadne z was ani słowem nie wspomniało...

– Ona myśli, że wrócę. Wydaje jej się, że po trzydziestu latach małżeństwa jest to nieuniknione.

Alice spojrzała na swój ładny kominek, który sama ozdobiła kwiatami i liśćmi.

– Byłeś okropnym mężem.

– Byłem niewiernym mężem.

– To okropne. Nie mogłabym z kimś takim żyć. Sam skończył

pić wino.

– Nie zdradzałem twojej matki po to, by ją ranić.

– Wiem. Chodzi o to, że oprócz ciebie ona nic nie ma.

– Z tego właśnie powodu o mało nie umarłem.

Alice spojrzała na ojca. Ogarnęło ją lekkie obrzydzenie i równocześnie łagodna czułość, ale tak naprawdę miała wrażenie, że to wszystko nie ma z nią nic wspólnego.

– Co się teraz stanie z mamą?

– Nie wiem. Oczywiście oddam jej połowę wszystkiego, co mam. W tej chwili nie jest jednak w stanie rozmawiać na ten temat, ponieważ myśli, że muszę wrócić. Tak więc...

– Spojrzał na Alice.

– Więc chcesz, żebym poszła do niej i powiedziała, że nie wrócisz i że powinna zastanowić się, co w związku z tym chce zrobić.

– Tak.

– W porządku – odpowiedziała Alice. Ojciec podniósł się z fotela.

– Nie wydajesz się tym wszystkim zbyt przejęta.

– Zawsze oczekujesz ode mnie emocjonalnej reakcji – odpowiedziała z irytacją. – No cóż, tym razem się nie doczekasz. A nawet jeśli mnie to poruszyło, to może po prostu nie chcę tego okazać. Może uważam, że masz rację opuszczając mamę, a może jednocześnie wydaje mi się, że jej przyszłość przedstawia się okropnie. Ale nie będę z tobą o tym rozmawiać. Nie będę tego wszystkiego na nowo r o zgrzebywać.

Sam podszedł do córki i położył obie dłonie na jej ramionach.

– Pewnego dnia – zaczął – pewnego dnia, gdy odkryjesz prawdziwe uczucie i prawdziwy ból, gdy nie będziesz mogła mieć tego, czego pragniesz lub stwierdzisz zbyt późno, że straciłaś na zawsze coś, czego naprawdę potrzebujesz – wtedy dopiero zrozumiesz, jak ważny jest kontakt między ludźmi. A w życiu tylko to ma jakiś sens.

– Co masz na myśli mówiąc, kiedy odkryję prawdziwe uczucie? – spytała Alice obrażonym tonem.

Sam opuścił ręce.

– Tylko tyle.

Po jego wyjściu Alice poszła do kuchni umyć kieliszek. Płakała przez chwilę, tak bardzo czuła się zażenowana. Martin miał wrócić późno i poczuła, że musi do niego zadzwonić.

Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili i spędziła całe popołudnie kręcąc się bez celu po domu.

Kiedy przyjechał, natychmiast mu wszystko w pośpiechu opowiedziała.

Podszedł do niej, objął ją i stwierdził:

– Allie, tak mi przykro, musisz się strasznie teraz czuć. Ale to było raczej nie do uniknięcia, prawda?

Alice poczuła nagłą cudowną ulgę. Oczywiście, że nie dało się tego uniknąć. Czego innego można się było spodziewać po tej źle dobranej parze, skutej kajdanami prawa i żyjącej na cmentarzysku nie spełnionych nadziei i złamanych obietnic?

Przytuliła się do Martina. Powiedział z twarzą ukrytą w jej włosach:

– Teraz i tak masz już swoje własne życie. Oni sami będą musieli sobie z tym wszystkim poradzić. Bo widzisz, jesteś teraz moja, prawda?

I wydawało jej się wtedy, gdy tak stali oboje, że Martin był dla niej zarówno odpowiedzią na rodzinne problemy, jak i ucieczką. Przytuliła się do niego mocniej, wdzięczna i przepełniona miłością.

Oczywiście pojechała odwiedzić matkę. Ledwo usiadły naprzeciwko siebie przy kuchennym stole opierając łokcie na wytartym blacie z forniru, Elizabeth powiedziała:

– Ja wiem, że on nie wróci. Muszę stawić czoło faktowi, że poświęciłam się dla mężczyzny, który był w stanie tak po prostu wynieść się i zostawić mnie na gruzach naszego małżeństwa. Żyłam jego życiem. Teraz nie zostało mi już nic.

– Może – odezwała się Alice – on wcale nie chciał twojego poświęcenia.

Było jej żal matki. Oczy Elizabeth wydawały się martwe jak

kamienie i była chorobliwie chuda.

– Nie można go było zadowolić. Nie dało się go zatrzymać przy sobie. Tylko tego zawsze pragnęłam i nigdy nie udało mi się tego osiągnąć. – Zaczęła cicho płakać. – Nie chcę już dłużej żyć.

Alice wyciągnęła rękę i złapała matkę za nadgarstek.

– Przestań.

– Nawet nie masz pojęcia, o czym teraz mówię – ciągnęła Elizabeth. – Nigdy w życiu nie darzyłaś nikogo gorącym uczuciem. Jesteś taka niedojrzała.

Alice puściła rękę matki. Z ogromnym wysiłkiem powiedziała:

– Chciałabym ci pomóc. Jeśli mi powiesz jak.

– Nie możesz mi pomóc – odpowiedziała Elizabeth.

– To miłe z twojej strony, ale nie możesz. Nikt nie może tego zrobić oprócz jednej osoby, a ta ostatecznie odmówiła.

Alice podniosła się i oparła dłonie na stole tak, by matka musiała na nią spojrzeć.

– W porządku, niech ci będzie. Pograżaj się w tym twoim uzalaniu się nad sobą, jeśli chcesz. Odrzucaj pomoc. Graj dalej ten głupi melodramat. Ale pamiętaj, że chciałam ci pomóc, a ty odmówiłaś.

Elizabeth odwróciła twarz.

– A co ciebie to może obchodzić? – zapytała z goryczą tonem, którym mówiła od momentu przyjścia Alice. – Oto cała ty, wyszłaś za mąż dla pieniędzy i pozycji, zanim skończyłaś dwadzieścia jeden lat. Jesteś zepsuta. Jordanowie omamili cię, ale jeszcze tego pożałujesz, bo nikt, nikt nie może mieć aż t a k łatwego życia.

Po tych słowach Alice opuściła dom i poszła wściekła na długi spacer wzdłuż ulic, gdzie kiedyś jej brat rozwoził gazety. Gdy wróciła na Lynford Road, matka czekała z herbatą i oświadczyła, że jedzie do Colchester, by zamieszkać z siostrą.

– Więc całą tę scenę – spytała z niedowierzaniem Alice, powstrzymując łzy – urządziłaś ot tak sobie? Przez cały czas wiedziałaś, że jedziesz do ciotki Anny?

– Tylko tam mogę zamieszkać – odpowiedziała matka – kto

inny by mnie zechciał?

– No właśnie. Kto? – opowiadała później Alice Martinowi podczas kolacji, polewając pieczone ziemniaki ogromną ilością śmietany. – Nie wiem, co mam o niej myśleć. Nie ulega wątpliwości, że wie, jak wywołać sensację, tego jestem pewna.

Martin próbował ją uspokoić. Zgodnie z jego zasadami rodziców nie powinno się krytykować i poddawać ocenom. Prawie w ogóle nie znał swej teściowej i po prostu nie chciał pamiętać o jej neurotycznym, trudnym charakterze. Bez problemu potrafił przyjąć do wiadomości, że skończyła prawo na uniwersytecie, jeśli zaś chodzi o resztę, uważał, że lepiej by było dla wszystkich, gdyby przestali się nad tym zastanawiać. I choć Alice z pewnością miała ku temu powód, nie lubił, gdy mówiła o swej matce sarkastycznym tonem. Energicznie ukroił kawałek zimnej szynki i ziemniaka i zaczął opowiadać Alice o swoim koledze, który wynajmował przyjacielom mieszkanie w Verbier po niższej cenie i właśnie zaproponował Martinowi, by przyjechał tam z Alice w lutym.

Dwa tygodnie później Elizabeth Meadows wyjechała do Colchester, by zamieszkać z owdowiałą siostrą w jej schludnej willi. Zabrała ze sobą tylko ubrania, a na spodeczku w kuchni zostawiła swoją obrączkę i zaręczynowy pierścionek. Dom przy Lynford Road został sprzedany, a Sam kupił mieszkanie niedaleko uniwersytetu, gdzie mógł prowadzić życie odpowiadające jego namiętnej, acz łagodnej naturze. Kilka razy do roku odwiedzał Domek pod Jabłonią, gdzie jego miły i nieco ekscentryczny sposób bycia uczynił go niezwykle popularnym wśród nowych przyjaciół Alice. Był przez nich traktowany z takim samym pobłażaniem, z jakim traktowano by starszego, przywiązanego labradora, który nagle przemówił. Elizabeth nigdy nie przyjeżdżała.

Raz w roku z prawdziwym bólem serca Alice odwiedzała obie siostry w Colchester i siadała przygnębiona w ich idealnie czystej bawialni, gdzie poczucie krzywdy obu samotnych kobiet było niemal tak namacalne, jak czyjaś obecność w fotelu.

Następne trzy lata były szczęśliwe. Martin czuł się tak nie tylko z powodu Alice, ale także dlatego, że wiedział – i ta wiedza cieszyła go niezmiernie – iż podjął już wszystkie ważniejsze decyzje życiowe. A na dodatek był z nich zadowolony. Praca, gdzie prędzej czy później zostanie wspólnikiem, w pełni zaspokajała jego mało ambitne pragnienia, miał wystarczająco dużo pieniędzy, no i oczywiście Alice. Posiadanie jej było niezaprzeczalnym zyskiem, nie tylko ze względu na to, co mu dała, ale także dlatego, że ludzie zaczęli patrzeć na niego – męża Alice – inaczej. Podczas miodowego miesiąca zaczęła nosić warkocz zapleciony wysoko na czubku głowy i teraz zawsze już się tak czesała, co zwracało uwagę wielu osób. Nosiła kozaki, szale i ubrania z Indii i Peru, podczas gdy wszystkie żony kolegów Martina wyglądały tak samo – granatowe mokasyny, spódnice i perłowe kolczyki. Alice sama pomalowała ściany w ich domu, a drzwi kredensu pokryła malowidłami. Stopniowo ludzie zaczęli prosić ją, by ozdobiła ich kredensy i ściany i namalowała akwarele tych fragmentów domów, które najlepiej oddawały osobowość swych właścicieli. Obrazy te dawali sobie potem nawzajem na Boże Narodzenie i różnego rodzaju rocznice.

Sama uszyła zasłony do domu, wielkie, robiące wrażenie fałdy materiału, które zawiesiła na karniszach. Jej przyjaciele, którzy zmienili swe domy w pstrokate cukierkowe pudełka, czuli zawsze po powrocie z kolacji u Jordanów, że powinni byli urządzić swe mieszkania z większą śmiałością. Alice nauczyła się też gotować i uprawiać ogród i udowodniła wszem wobec, że ma do tego wyjątkowy dar. Większość mieszkańców wokół Salisbury zgadzała się, że Alice Jordan ma styl.

A kiedy prezentowanie swego stylu ją męczyło, wyjeżdżała oczywiście do Dummeridge. Przez pierwsze trzy lata po ślubie jeździła tam dwa, trzy razy w miesiącu, podróżując wygodnymi drogami południowej Anglii przez Cranborne, Wimborne i Warcham po to, by spędzić noc w domu Cecily. Zazwyczaj były zupełnie same, ale nawet gdy Richard przebywał akurat w Dummeridge, jego obecność niewiele zmieniała ten stan rzeczy.



Anthony ze swymi wymaganiami i trudnym charakterem wyjechał do Japonii, by pracować dla spółki inwestycyjnej. Cecily była w trakcie pisania nowej książki na temat ogrodów warzywnych, w której próbowała upowszechniać modę na dawno zapomniane warzywniki. Prototyp takiego ogrodu powstał w Dummeridge. Alice wyrysowała precyzyjnie jego model, nanosząc nań oddzielnie każdą czerwoną kapustę, każdy krzak agrestu, przypominający kształtem ogromny lizak, i każdą ścieżkę. Cecily pokazała jej przedmowę do swojej książki:

„Książka ta powstała przy nieocenionej pomocy wielu osób. Niektóre z nich już nie żyją, jak na przykład bohaterowie ogrodnictwa Richard Gardiner i William Lawson. Inne cieszą się doskonałym zdrowiem, a wśród nich przede wszystkim moja synowa, Alice Jordan, której znakomity plan mojego warzywnika tu w Dummeridge znajdują Państwo na początku tej książki”.

– Zabrałabym cię ze sobą do Ameryki następnym razem – powiedziała do Alice – ale nie byłoby to chyba w porządku wobec Martina.

Obie kobiety nie miały jednak żadnych zastrzeżeń co do wycieczki do Wenecji. Poza tym Martin i tak nie chciał z nimi jechać.

– Naprawdę – powiedział. – Nie jestem najlepszy w zwiedzaniu niezliczonej ilości kościołów i przyglądaniu się obrazom świętych. Znasz mnie.

Alice nie miała nic przeciwko temu, by podróżować bez niego, ale jednocześnie czuła się lekko zaniepokojona; że on nie chciał jechać. Na dodatek wydawał się wyraźnie zadowolony, iż jego żona i matka wyjeżdżają razem zwiedzać zabytki Włoch. Mówił o tym wszystkim naokoło tak często i z taką satysfakcją, że w końcu Alice straciła panowanie nad sobą i odsunęła na bok wszelkie skrupuły. Byli małżeństwem od prawie dwóch lat.

Wenecja wywołała w Alice uczucie silnego podniecenia. Przez długi czas po powrocie – a we Włoszech spędziły raptem pięć dni – Alice karmiła się zmysłowymi marzeniami zamieszkania w Wenecji. Widziała siebie w mieszkaniu na poddaszu obserwującą

słońce przesuwające się powoli za dzwonniami i kopułami, w pokoju z balkonem wypełnionym doniczkami bazylii i z ciepłym parapetem, na którym można by się oprzeć i przyglądać nieruchomym oliwkowozielonym wodom kanału. Widziała siebie idącą na zakupy z koszykiem i kupującą oberżyny i słodkie pomidory na łodzi z warzywami przy moście San Barnaba. Na bazarze kupowała fantastyczne nie znane jej ryby, a w malutkich zapchanych towarami sklepach w zaułkach San Polo – makaron i parmezan. Nie mogła zaprzeczyć, że gdzieś wśród tych marzeń krył się mężczyzna. Nie wiedziała dokładnie jak wygląda, ale na pewno podobał jej się i nie był Martinem.

Potem zaszła w ciążę. Czuła się bardzo dobrze. Była pełna energii i wzbudzała powszechne uznanie. Niektóre zaprzyjaźnione pary miały już dzieci – a prawie wszystkie psy – i pierwsze dziecko Alice i Martina stawiało ich w równym rzędzie z pozostałymi małżeństwami.

Alice na nic się nie skarżyła i urodziła Natashę bez większych problemów. Wydawało się, że matka i dziecko instynktownie wiedzą, jak ze sobą postępować i Martin, od którego Alice nie wymagała pomocy przy zmianie pieluch czy nocnym karmieniu, wzbudzał powszechną zazdrość wśród kolegów, których żony nie omieszkały zauważyć, że dziecko i związane z nim problemy są również sprawą tatusiów.

Po urodzeniu Natashy nie mogła oczywiście tak często jeździć do Dummeridge. Dzwoniła więc co kilka dni, a raz w miesiącu do Wilton przyjeżdżała Cecily obładowana prezentami z ogrodu. Teściowa nocowała w ich trzeciej malutkiej sypialni i wydawała się wszystkim zachwycona, w szczególności zaś wnuczką. Zdarzało się, że czasem jej nawet śpiewała, a Alice i Martin wymieniali między sobą nieco konspiracyjne uśmiechy, pełne dumy i radości. Przyjaciółki Alice uwielbiały Cecily. Kiedy wiedziały, że ją tam zastaną, wpadały często do Domku pod Jabłonią na kawę czy lunch przy kuchennym stole, przyciskając do piersi swe niemowlęta i starsze dzieci. Na gwiazdkę dawały swoim matkom egzemplarze książki Cecily, dumne z

własnoręcznego podpisu autorki.

To właśnie wtedy Alice poznała Alexa Murraya-Frencha. Ojciec Alexa, John, mieszkał w Grey House w Pitcombe, miejscowości wzbudzającej ogólny zachwyt. O zamieszkaniu tam marzyli, bez większej jednak nadziei, wszyscy przyjaciele Alice.

Rodzice Alexa rozwiedli się, gdy chłopiec miał osiem lat, ale Grey House był wciąż domem jego dzieciństwa i wołał zawsze wracać tutaj, niż wyjechać do Australii z matką i ojczymem. W czasie jednej z wizyt u ojca Alex zobaczył obraz Alice, który namalowała dla ich wspólnego przyjaciela – kondygnację kamiennych schodów prowadzącą do sklepionego przejścia i płataninę pnączy. Pomyślał, że chciałby wysłać podobny obraz matce, zaryzykował więc i wybrał się któregoś popołudnia do Domku pod Jabłonią.

Zastał Alice przed domem, zrywającą porzeczeki. Obok w koszyku spało dziecko przykryte pstrokatą kołderką.

Zakochał się w Alice tak samo nagle, jak cztery lata wcześniej zrobił to Martin. Ona nie odwzajemniała jego uczucia, czuła jednak, iż bardzo by tego pragnęła.

Alexa przepęłniała chęć widywania jej, był miły i kulturalny. Przychodził bardzo często tamtej jesieni pod pretekstem nadzorowania postępów w pracy nad obrazem dla matki, a Alice pławiła się w jego zachwycie i pragnieniu, jak kot w słońcu. Nigdy z nim nie flirtowała, a on nawet nie próbował jej pocałować. Wyznał otwarcie swe uczucia i chociaż słuchanie tego sprawiało Alice przyjemność, jego słowa nie odbiły się żadnym echem w jej sercu. W końcu Martin nabrał podejrzeń, zaczął się złościć i Alex zniknął razem z obrazem. Pozostawił po sobie pustkę większą, niżby się spodziewała.

Przez dłuższy czas po tym incydencie Martin uważnie ją obserwował.

– Nic między nami nie było – mawiała. – Ja mu się spodobałam, ale on mi nie. Lubiłam po prostu z nim rozmawiać, to wszystko.

Martin wierzył, ale wciąż się dąsał. Czuł, że jakaś część Alice,

ta odmienność, która kiedyś sprawiła, iż pragnął ją mieć przy sobie, oddalała się od niego bezpowrotnie i nie był już w stanie jej odnaleźć. Życie z Alice przestało być cudowną gonitwą dwojga zakochanych, miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. Ale nie umiał o tym rozmawiać, zamiast tego obserwował ją, co doprowadzało Alice do wściekłości.

Druga ciąża w niczym nie przypominała pierwszej. Alice ciągle miała mdłości, wymiotowała, często czuła się tak zmęczona, że ledwo rano udało jej się wstać z łóżka, już obsesyjnie marzyła o powrocie do niego. Poród był trudny i wydawało się, że małemu Jamesowi niezbyt podoba się na świecie. Cecily natomiast przysłała przez londyńską agencję dziewczynę z Nowej Zelandii, żeby pomagała Alice, i Domek pod Jabłonią zaczął trzeszczeć w szwach pod naporem jej inicjatywy i aktywności. Pracowała ciężko, a Alice mogła odpoczywać popołudniami i wysyłać codziennie Nataszę do przedszkola w czystych, wypranych ogrodniczkach. Życie ich straciło jednak całą swoją intymność. Jennie była z nimi tylko cztery miesiące, lecz gdy z entuzjazmem przeniosła się do rodziny na Pelham Crescent, Martin i Alice nadal odczuwali jakieś skrępowanie. Przystosowali się do Jennie, chcąc, by dobrze czuła się w ich domu.

Życzliwi i uprzejmi w stosunku do siebie, żyli pracą Martina, odwożeniem i przywożeniem Nataszy ze szkoły, wymaganiami Jamesa, wieczornymi przyjęciami (małymi) i zabawami dla dzieci (dużymi), nie czuli jednak, żeby się przez to do siebie zbliżyli ani też posuwali naprzód.

Alice wołała nie zwracać uwagi na to, że nie chce już malować. Jej przyjaciółka, Juliet Dunne, której mąż reprezentował Pitcombe Park i którą Bóg obdarzył ostrym językiem i bystrym okiem, nie omieszkała tego zauważyć.

– Nie ma co ukrywać, Alice – powiedziała. – Jeszcze trochę i mały stanie się mniej uciążliwy. I jeśli nie będziesz uważać, skończysz jak moja matka dziwiąca się, dlaczego dni tak się wloką. Nieważne, czy chcesz malować. Po prostu musisz.

– Ale ja naprawdę chcę...

– Nie, ty nie chcesz. Ty chcesz chcieć. Nie poczujesz tej potrzeby, dopóki do czegoś się nie weźmiesz. Popatrz tylko na naszych bezużytecznych mężów. Oni nic nie osiągną, bo nawet gdyby im zapłacono, nie potrafiliby się do niczego zmusić.

– Dlaczego wyszłaś za Henry’ego?

– Och – odpowiedziała Juliet, zdrapując morelowy budyń z brody najmłodszego dziecka – nadawał się, był napalony, a poza tym wszystkie dziewczyny z mojego mieszkania właśnie wychodziły za mąż. Ale ja go całkiem lubię.

– To znaczy, kochasz go.

– Fu – powiedziała Juliet.

Po tej rozmowie Alice próbowała malować, ale nudziło ją to do tego stopnia, że aż się przeraziła. Wyjęła kilka obrazów, które powstały przed urodzeniem Jamesa, i wydały jej się one godnymi pozazdroszczenia osiągnięciami zupełnie obcej osoby. Schowała je więc w pośpiechu, by nie wpaść w zachwyt nad sobą. Wmówiła w siebie, że i bez tego ma mnóstwo roboty i z niemałą dumą wykonywała wszystkie prace domowe bez niczyjej pomocy.

Żadna z jej przyjaciółek nie radziła sobie z gospodarstwem sama. Cecily wielokrotnie proponowała że jej pomoże, ale Alice zawsze odpowiadała, że dom jest na to za mały, a poza tym zbyt cenila sobie własną prywatność.

W ich życiu nastąpiły zmiany na lepsze. Martin został młodszym współnikiem. Natasha rozpoczęła naukę w małej prywatnej szkole w Salisbury, gdzie dzieci nosiły fartuszki w kratę i codziennie rano musiały uśmiechnięte uścisnąć rękę nauczyciela. Powiększyli dom, dobudowując bawialnię dla dzieci i jeszcze jedną sypialnię. Późną zimą jeździli we dwoje na narty (Alice odkryła ku swej satysfakcji, że lubi przerażać samą siebie), a latem Cecily wynajmowała dla nich domek na północnym wybrzeżu Kornwalii, gdzie dzieci mogły bawić się do woli na cichych plażach przy ujściu rzeki Camel. Alice zaczęła zachłannie czytać powieść za powieścią, nosząc listę tytułów w torebce obok portmonetki, kart bankowych, papierowych chusteczek, tubek opakowań Smarties, czystych dzieciennych majtek i plastrów, które

stanowiły jej codzienny oręż. Tytuły takie jak „Cichy Don” przyczepiły się do niej na dobre. Nuciała je w samochodzie, podczas gdy z tyłu dzieci znęcały się nad najśłabszym, ssały kciuki i ukradkiem zdejmowały majtki, by zadziwić innych swą bezczelną śmiałością.

Kiedy Alice odkryła, że jest znowu w ciąży, poczuła ulgę. Była wdzięczna temu nieoczekiwanemu dziecku za to, że ostatecznie wytyczyło drogę jej życia i zmusiło do myślenia o jego potrzebach. Martin wydawał się niezmiernie zadowolony, mimo że musiał ubezpieczyć się na rzecz opłat szkolnych, co zrobił z pełną ostentacją. Alice czuła, że w swoim mniemaniu postępuje w stosunku do niej bardzo szlachetnie.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziła jej Juliet. – Po prostu go ignoruj. To jedyna szansa przetrwania, kiedy żyje się z mężczyzną.

– Ale mały nie jest tylko mój!

– Spróbuj to powiedzieć któremukolwiek z ojców. Mój Henry uzna Williama i Simona dopiero wtedy, gdy obaj zostaną kapitanami najlepszych drużyn piłkarskich w szkole. Jeśli oczekiwałaś czegoś innego, nie powinnaś była wychodzić za mąż za Anglika.

– Nikt inny mi się nie oświadczył.

– Allie – powiedziała Juliet – radź sobie sama z dzieckiem, dobra? I tak robisz to lepiej niż Martin. Rozpaczam nad samą sobą, ale myślę, że ci zazdroszczę.

Charlie urodził się niespodziewanie miesiąc przed planowanym terminem. Alice bardzo podupadła na zdrowiu. W stanie głębokiej depresji została przewieziona do Dummeridge razem z małym. Przebywała tam miesiąc, próbując z trudem cal po calu wydobyć się z psychicznego dołka, w którym się znalazła. Jako kurację przepisano jej mnóstwo proszków, częste i lekkie posiłki, dużo snu, miłe towarzystwo i trochę ruchu. Martin, wdzięczny matce za zajęcie się tą przygnębiającą dziwną sprawą, dzwonił co wieczór, by dowiedzieć się o zdrowie żony. Przyjaciółki Alice rozpieszczały go z czułością, szczerze współczując mu problemów

w kuchni.

Alice wróciła do domu blada i trochę smutna, ale w znacznie lepszej kondycji. Martin był dla niej bardzo czuły, lecz pragnął jednocześnie, by dowiedziała się, że i on swoje wycierpiał, sam w nocy z dwojgiem starszych dzieci, rzucający każdego poranka w wir walki o zjedzenie jajek i znalezienie kaloszy.

Tego tygodnia gdy Alice wróciła do domu, Cecily wysłała do Martina, do jego biura w Salisbury, list, w którym pisała, że jej zdaniem Alice potrzebuje zarówno zmiany, jak i więcej wsparcia. Zasugerowała przeprowadzkę i zaproponowała, że zapłaci za kogoś do pomocy i za ich wspólne wakacje tylko we dwoje, gdy Alice skończy karmić małego piersią.

A potem nagle podczas zupełnie przypadkowej rozmowy na przyjęciu dobrzy bogowie zesłali Jordanom Grey House i podali niemalże na talerzu. Nie chodziło tylko o dom, ale o zupełnie inny, wiejski tryb życia, szansę i konieczność stania się członkami pewnej społeczności, gdzie jak myślała z podnieceniem Alice, nie można nawet kupić znaczka na pocztę bez spotkania znajomych. Wyobrażała sobie wszystko to, co ją tam czeka: imprezy dobroczynne i obowiązek układania kwiatów w kościele, wożenie starszych mieszkańców do Salisbury lub do szpitala. Zimą mężczyźni z Pitcombe Park będą przynosili do domu drewno na opał, a latem Alice będzie obserwowowała ze współczuciem schludnych turystów wysiadających ze swych toyot i spoglądających z próżną nadzieją na ładne, biegnące pod górę uliczki w poszukiwaniu herbaciarni. Wiedziała, że gdyby mogła tam zamieszkać, nie zazdrościłaby już nikomu, niczego więcej by nie pragnęła. W Pitcombe odnalazłaby uczucie, którego doznała dziesięć lat wcześniej w Dummeridge, gdy miała dwadzieścia jeden lat – poczułaby, że oto znowu jest w domu.

– Nasza lokalna biblioteka objazdowa – powiedziała panna Pimm, wymawiając jak Glenda Jackson każde słowo z przesadną dokładnością – to prawdziwe błogosławieństwo dla wszystkich.

– Wtorki, tak? – upewniła się Alice, posłusznie wpisując bibliotekę na listę swych nowych obowiązków.

– Wtorki po południu. Od piętnastej trzydzieści. Bibliotekarz jest doskonałym ogrodnikiem i polecam go, jeśli chodzi o krzyżówki roślin.

– Krzyżówki – zapisała Alice.

James, opierając się o matkę i dłubiąc jednocześnie w nosie, pomyślał ze zdumieniem, że obie kobiety rozmawiają o bieliźnie. Wyjął palec z nosa i pokazał go panie Pimm.

– Bludny – powiedział. Panna Pimm odwróciła wzrok.

– Pani LeighBrent – ciągnęła – prowadzi listę chętnych do sprzątania kościoła, a panna Payne odpowiada za kwiaty. Wiem, że pani Macaulay byłaby bardzo wdzięczna za pomoc w społecznym sklepiku w poniedziałki, a państwo Fanshawe z przyjemnością zapiszą panią do miejscowego oddziału Partii Konserwatywnej.

Alice tak mocno wytarła Jamesowi nos kawałkiem kuchennego papierowego ręcznika, że chłopiec prawie wrzasnął.

– Przestań zachowywać się jak obrzydliwy mały chłopczyk – powiedziała. – Ja raczej nie jestem konserwatystką, ale mój mąż...

– Nie? – panna Pimm zwróciła na nią swój wzrok.

– Nie – odpowiedziała lojalnie Alice, przypominając sobie sir Ralpa. – Uważam, że Pitcombe Park...

– To – przerwała jej panna Pimm – zupełnie coś innego.

Rozejrzała się po kuchni. Wydała jej się nieco krzykliwa, choć o niebo czystsza niż za czasów majora Murraya-Frencha. Panna Pimm nie lubiła jednak, gdy przyjmowano ją w kuchni, nawet jeśli była to kuchnia ludzi, którzy dopiero co się wprowadzili i być



może nie dysponowali jeszcze innym miejscem dla gości. Kiedy panna Pimm sprowadziła swą matkę do Domu pod Jaworem piętnaście lat temu, pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było przygotowanie bawialni dla gości. Przypomniało jej się, jak stojąc na krześle wbijała gwoździe w ścianę nad kominkiem, by powiesić tam obrazy, które we wszystkich domach, w jakich kiedykolwiek przyszło jej mieszkać, wisiały zawsze w tym samym miejscu.

Do kuchni weszła Natasha trzymając w ręku lalkę mającą wygląd młodej kobiety i ubraną jak wróżka. Na twarzy dziewczynki malował się wyraz lekkiego obrzydzenia.

– Charlie płacze i brzydko pachnie – powiedziała. Alice podniosła się z krzesła.

– Proszę mi wybaczyć, panno Pimm – powiedziała. – Muszę zajrzeć do małego.

Panna Pimm nie poruszyła się. Miała jeszcze do przekazania wiele informacji. Skinęła głową.

– Nie spieszy mi się.

Alice wyszła z kuchni. Natasha podeszła do stołu i położyła na nim swą wystrojoną lalkę. Spojrzała na pannę Pimm i stwierdziła, że nic jej się w niej nie podoba. Dzianina, z jakiej zrobione były jej pończochy, przypominała Natashy czekoladę w proszku.

– Ładna lalka – zauważyła panna Pimm, wymawiając każde słowo jeszcze wyraźniej, jak gdyby Natasha była niedorozwinięta.

– Nazywa się Księżniczka Elegancja – odpowiedziała Natasha z dumą w głosie. – Ma koronkowe nylonowe halki w kolorze różowym.

Postawiła lalkę do góry nogami, by pokazać to pannie Pimm, która szybko odwróciła wzrok.

– Ale – powiedział poważnie James z drugiego końca stołu – nie ma siusiaka.

Na szyi panny Pimm pojawiły się szkarłatne plamy.

– A pani ma? – spytał James.

– Zamknij się – uciszyła go Natasha.

– Siusiak Charliego – ciągnął chłopiec ze szczerym

współczuciem – jest taki malutki. Ale pewnie urośnie.

– Obawiam się – zwróciła się Natasha do panny Pimm – że w klasie Jamesa cały czas rozmawia się o siusiakach. Niech pani na niego nie zwraca uwagi. Tak jak mamusia.

– Szkoła! – wykrzyknęła z ogromną ulgą panna Pimm.

– Podoba wam się w szkole?

– Nie – odpowiedział James. – Nie cierpię być poza domem.

– On płacze każdego ranka – powiedziała Natasha.

– Co za wstyd. Moja najlepsza przyjaciółka ma na imię Sophie i też ma Księżniczkę Elegancję, ale jej halki są żółte. Ja najbardziej lubię różowy.

– Tak! – wykrzyknęła panna Pimm. – Tak! Różowy!

Alice wróciła do kuchni, trzymając na rękach duże niemowlę. Panna Pimm bała się małych dzieci. Alice usiadła przy stole z Charliem na kolanach i wzięła do ręki ołówek.

– Bardzo przepraszam za to – powiedziała. – Dobrze, co nam jeszcze zostało?

Panna Pimm chciała powiedzieć, że na przykład zaproponowanie herbaty. Było pięć po czwartej. Z ogromną przyjemnością wypiłaby filiżankę i zjadła herbatnika. Odkaszlęła znacząco i powiedziała:

– No cóż, mamy jeszcze naszą małą grupę niedzielną.

Charlie złapał ołówek Alice i przekreślił całą jej listę grubą zygzakowaną linią. Panna Pimm instynktownie wyciągnęła rękę i próbowała przeszkodzić w tym akcie zniszczenia, ale Alice wydawała się tego nie zauważać.

– Grupę czego?

– Jak to czego, oczywiście dzieci. – Spojrzała na Natashę i rozciągnęła usta w czymś, co miało być uśmiechem. – Spotykamy się w sali katechetycznej, by śpiewać i słuchać historii o Jezusie.

– Słyszałam o nim – powiedziała Natasha. – Przygotował okropny piknik dla jakichś ludzi i dał im do jedzenia tylko chleb i ryby, które nie były nawet ugotowane. A potem chodził po jeziorze i ożywił jakąś martwą dziewczynkę. Jeśli o mnie chodzi – ciągnęła ponuro – nie wierzę w tę ostatnią historię.

– Tashie...

– Mamy jedenastu małych członków – odezwała się pospiesznie panna Pimm. – A ja... – przerwała i dokończyła po chwili z nutką dumy w głosie: – Ja gram na ukulele.

Wszyscy na nią spojrzeli. Alice odkryła ze smutkiem, że nawet nie chce jej się śmiać. Panna Pimm potraktowała ich milczenie jako pełną zachwyty pochwałę jej umiejętności i otworzyła swój czarny notes gestem człowieka interesu, aby pokazać, że przywykła do takiego podziwu.

– Dobrze. Czy mogę powiedzieć pani Payne, żeby wpisała panią na listę chętnych do układania kwiatów? Wydaje mi się, że pani Kenda11 potrzebuje pomocy. A co z poniedziałkami? Nasz lokalny sklepik jest prawdziwym błogosławieństwem dla starszych mieszkańców...

Idź stąd, pomyślała Alice w nagłym przypiływie szaleństwa. Idź, idź, wynoś się. Nie chcę cię tu widzieć, ty pruderyjna stara panno. Nie zniosę cię dłużej w mojej kuchni. Wynoś się.

– Nasz pastor praktykuje niestety również w King's Harcourt i w Barleston, co oznacza, że nabożeństwa poranne odbywają się tylko raz w miesiącu. Ale to cudowny człowiek i musimy być wdzięczni...

– Mogę sobie wziąć trochę chipsów? – zapytał James.

– Nie. Nie przeszkadzaj. Przepraszam, panno Pimm, ale zwykle o tej porze daję im...

Panna Pimm głośno zamknęła swój notes i wstała.

– Oczywiście. Przepraszam, jeśli zakłócam domowy spokój.

– Och, nie – zmieszła się Alice, z trudem usiłując podnieść się z krzesła z Charliem w ramionach. – Nie o to mi chodziło, chciałam tylko powiedzieć...

– Przyszłam tutaj – odezwała się panna Pimm tonem sugerującym, że przynajmniej niektórzy nie zapomnieli jeszcze dobrych manier – tylko po to, by powitać panią w Pitcombe. Uważam, że to niezmiernie ważne, jeśli chodzi o nowych mieszkańców.

– Tak – odpowiedziała Alice słabo. – To bardzo uprzejmie z

pani strony i jestem pewna, że kiedy już trochę uporządkuję dom...

– Powinna pani zobaczyć, jak wygląda piętro – powiedziała Natasha. – Totalny chaos.

Panna Pimm podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Odwróciła się sztywno i gwałtownie skinęła głową.

– Dom pod Jaworem. Numer telefonu: 204.

– Dziękuję...

– Dowidzenia.

– Do widzenia, do widzenia – odpowiedziała Alice. Drzwi zamknęły się z trzaskiem za panną Pimm, a Alice wolno osunęła się na krzesło.

– Nie płacz – powiedział James z niepokojem.

– Nie płaczę – odpowiedziała Alice zalewając się łzami.

– A właśnie że tak...

Natasha podniosła swą Księżniczkę Elegancję.

– Pewnie jesteś zmęczona.

– Tak – odpowiedziała Alice. – Tak, chyba tak, na pewno zmęczenie...

Twarzyczka Charliego zaczęła się marszczyć. James z oczami pełnymi łez podszedł do matki i przytulił się do niej.

– Nie rób tego – powiedział proszącym głosem. – Nie rób tego.

Ale Alice nie mogła się powstrzymać.

Sklep społeczny, jak odkryła niedługo potem Alice, znajdował się w dużej i poobijanej furgonetce, której właścicielem i kierowcą był pan Finch. Kiedyś gospodarz pensjonatu i niedoszły poeta, teraz prowadził w Pitcombe pocztę i sklep. Dwa razy w tygodniu furgonetka wytaczała się z miasteczka wioząc swój ładunek emerytur, puszek z groszkiem i opakowań herbatników po to, by obsłużyć domy na przedmieściach i mniejsze osady Barleston i King's Harcourt. W ciągu trzech godzin zatrzymywała się trzynastę razy przed domami najbardziej niedołączonych mieszkańców albo w wyznaczonych miejscach, gdzie stały grupki ludzi przyciskających do piersi portmonetki i reklamówki. Pan Finch był bardzo poruszony obecnością Alice w sklepiku w każdy poniedziałek. Pani Macaulay, która od dawna pomagała Finchowi

w poniedziałki, pogardzała jego artystycznymi ciągotami, wierząc jedynie w zdrowy rozsądek i jamniki ostrowłose, które hodowała z ogromnym poświęceniem. „Moje dziewczynki”, mówiła o swoich sukach. W ciągu pierwszych trzydziestu minut spędzonych w furgonetce Alice dowiedziała się, że pan Finch nie znajdował zrozumienia u żony, która wciąż tęskniła za pensjonatem w Kidderminster obsługującym aktorów z Teatru Królewskiego. Usłyszała również, iż pan Macaulay został powołany dziesięć lat temu do wielkiego psiego legowiska w niebie, co gorąco opłakiwała zarówno wdowa, jak i jej dziewczynki.

– To był cudowny człowiek – opowiadała Alice pani Macaulay, gdy furgonetka podskakując wytaczała się z wioski, a puszki chwiały się na półkach. – Mógł robić, co chciał ze zwierzętami. Wzbudzał pełne zaufanie.

Podczas częstych postojów pan Finch wychodził z kabiny kierowcy i siadał w drzwiach furgonetki, by przyjmować pieniądze. Za każdym razem, gdy się pojawiał, trzymał w ręku nie tylko kasetkę z pieniędzmi i księgę wierzycieli, ale także zniszczony, oprawiony w imitację skóry notes, który zostawiał nonszalancko na brzegu swej małej lady, rzucając niby to przypadkowo znaczące spojrzenia w kierunku Alice.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – syknęła w jej stronę pani Macaulay, podając jej górę pudełek z płatkami śniadaniowymi. – To te jego okropne rymowanki. Niech mu pani nie da okazji, by zaczął o nich mówić.

Na każdym przystanku furgonetka natychmiast wypełniała się ludźmi popychającymi się nawzajem do środka i tłoczącymi niecierpliwie. Wszyscy przyglądali się Alice.

– A to kto? – odezwał się głos gdzieś z dołu.

– Cicho, babciu. To ta nowa pani...

– Ale kto to?

– To jest pani Jordan – powiedziała wreszcie pani Macaulay. – Właśnie wprowadziła się do domu pana majora w Pitcombe.

Ktoś cmoknął niezadowolony.

– Nie spodoba jej się tam. To taki nieszczęśliwy dom.

– Mnie się bardzo podoba.

– To bardzo mile ze strony pani Jordan, że zgodziła się nam pomagać – powiedziała pani Macaulay. – Ma troje małych dzieci na głowie.

– No, gdzie są moje kluski?

– Chwileczkę, babciu, już ci je dam – powiedziała pani Macaulay, a po chwili zwracając się po cichu do Alice dodała: – Ona je uwielbia. Nie musi ich gryźć, rozumie pani.

Pod koniec trzeciego postoj u pana Finch położył wolno dłoń na swym tomiku poezji i spojrział szelmowsko na Alice.

– Chce pani może coś poczytać przed Barleston, pani Jordan?

Pani Macaulay była na to przygotowana.

– Przykro mi, panie Finch, ale muszę objaśnić panią Jordan co do działu płatków śniadaniowych, zanim tam dotrzemy.

Pan Finch przycisnął książkę do piersi.

– Lubi pani czytać, pani Jordan? Czuję, że tak.

– Powieści – pospiesznie odpowiedziała Alice. – Czytam, ile się da. Ale rozumie pan, z dziećmi...

– Czas na nas, panie Finch – pani Macaulay znacząco postukała w zegarek.

Pod koniec drugiej godziny Alice miała ogromną ochotę położyć się na linoleum furgonetki i płakać ze zmęczenia. Choć była wiosna, dzień wydawał się zimny i nieprzyjemny, a przygnębiająca zawartość pólek, puszek z fasolą strączkową i opakowania budyniu w proszku tylko potęgowały ponury nastrój.

W poprzednim tygodniu Alice poprosiła pana Fincha o awokado, a on wyjaśnił bardzo szczegółowo, że gdyby to od niego zależało, jego sklep wypełniony byłby tymi owocami po same brzegi, lecz niestety jego bezmyślna, nie czytająca poezji klientela nie wymagała od niego niczego bardziej ekscentrycznego niż kapusta.

– Byłbym zachwycony – powiedział bezwstydnie szukając na gwałt w pamięci fragmentów poezji Tennysona, którymi mógłby pochlebić i zaimponować tej cudownej nowej sąsiadce – gdybym mógł przywieźć pani, cokolwiek pani sobie zażyczy, od mojego

hurtownika w Salisbury.

– Dziękuję – odpowiedziała Alice – ale sama często jeżdżę do Salisbury, odwożąc córkę do szkoły. Pomyślałam po prostu, że skorzystam raczej z pana sklepu. To znaczy, wydaje mi się, że powinnam... – Przerwała. Nie chciała, żeby Finch pomyślał, iż traktuje go protekcjonalnie. Ale pan Finch nie usłyszał, co mówiła.

„Dlaczego w mozole żyjemy – wykrzyknął nagle. – My co zwieńczeniem rzeczy jesteśmy”.

Alice spojrzała na niego z przestraszeniem.

Pochylił się nad ladą, kładąc dłonie pełnym szacunku gestem na pokazowym pudełku opakowanych w folię czekoladowych herbatników.

„Zjadacze lotosu”.

– Tak – powiedziała Alice.

„My, którzyśmy pierwsi wśród rzeczy Trudzymy się jeno i w wiecznym lamencie Z jednej żalości w drugą wpadamy... „

Drzwi sklepu otworzyły się i do środka weszła panna Pimm, by kupić mały bochenek chleba i puszkę sardynek.

Alice skorzystała z okazji i szybko wymknęła się na ulicę. Kupiła awokado tego samego dnia w Salisbury, gdy odbierała Natasję ze szkoły.

Furgonetka posuwała się turkoczając naprzód, a Alice, siedząc niepewnie na stołeczku, przypominała sobie awokado.

– Czy myśli pani, że gdybyśmy wystawili na półkach troszkę bardziej interesujące towary, udałoby się kogoś namówić na ich kupno?

– Nie ma mowy – odpowiedziała pani Macaulay. – Oni mają swoje zwyczaje. Te same produkty co tydzień, te same ilości. Widzi pani ten słoik miętówek? Sprzedajemy wszystkie w ciągu tygodnia, regularnie jak w zegarku. To samo z krakersami śmietankowymi. – Zerknęła na Alice. – Wygląda pani na zmęczoną, moja droga. Pewnie z powodu przeprowadzki. To naprawdę miło z pani strony, że włączyła się pani w nasze życie tak szybko.

– Ale ja zawsze tego pragnęłam – stwierdziła Alice starając się nie myśleć o wizycie panny Pimm.

– Wspomniałam o tym jej lordowskiej mości – ciągnęła pani Macaulay. – Powiedziałam jej, że mamy tu młodą kobietę, gotową do ciężkiej pracy. Czy odwiedziła już panią?

– Nie – odpowiedziała z lekką paniką w głosie Alice myśląc o bałaganie w pokojach, na posprzątanie których nie miała jakoś energii. – Nie, jeszcze nie. Szczerze mówiąc, dom wygląda w tej chwili tak okropnie...

– To jej nie będzie przeszkadzało – stwierdziła pani Macaulay z aprobatą. – Jej lordowska mość nie zwraca uwagi na formalności. Moje dziewczynki zawsze wiedzą, kiedy jedzie jej samochód i bardzo gorąco ją witają.

Kiedy Alice wróciła do domu, Gwen, która zgodziła się pilnować dzieci w poniedziałkowe popołudnia, przygotowała im podwieczorek, jaki jej zdaniem powinny zawsze jadać. James przyglądał się z nieszczęśliwą miną grubej kromce chleba i dżemowi na talerzu. Dżem był czerwony, a on panicznie bał się jedzenia w tym kolorze. Charlie z kolei wpychał całą dłońią lepkie kawałki chleba do i tak już pełnej buzi. Natasha zdecydowała, że poczeka po prostu na powrót Alice, i odmówiła zjedzenia czegokolwiek. Siedziała przy stole, schludna w swym szkolnym mundurku, i opowiadała Gwen o lekcji tańca, podczas której została uznana za najbardziej ruchliwego motylka.

Alice opadła na krzesło.

– Ten sklep może człowieka zabić – powiedziała Gwen z satysfakcją, stawiając przed Alice kubek z mocną herbatą.

– Masło orzechowe – wyszeptał błagalnie James.

– Zaraz – odpowiedziała Alice. – Daj mi chwilę odpocząć. Tashie, dlaczego nie jesz?

– Miałam nadzieję – odpowiedziała z teatralnym spokojem Natasha – na tost z nutellą.

– Przyniosłam im trochę dżemu – powiedziała z dumą Gwen. – Moje dzieciaki zawsze uwielbiały dżem truskawkowy .

– To bardzo miłe z pani strony.



– Proszę tylko spojrzeć, jak nasze cudeńko wcina! Buzia Charliego przypominała twarz postaci z końcowej sceny szekspirowskiej tragedii. Czując, że wszyscy mu się przyglądają, wsadził z zapalem swe „skrwawione” rączki we włosy.

– Czy nie jest komiczny? – zapytała Gwen z czułością.

– Gwen – przypomniała sobie Alice – pani Macaulay mówiła mi dzisiaj, że lady Unwin może do nas wpaść. A w tym domu nie ma przecież ani jednego porządnego kąta oprócz kuchni...

Gwen zacisnęła usta dając do zrozumienia, że taka myśl przyszła już nawet niektórym osobom do głowy.

– Na pewno przyjdzie, pani Jordan. Nie ma co do tego wątpliwości.

Alice spojrzała na nią.

– Czy pomogłaby mi pani zrobić generalne porządki w salonie?

Wyglądała rzeczywiście na potwornie zmęczoną. Nawet Gwen, która rzadko komu współczuła, poczuła dla niej litość. Według jej własnego określenia, Alice była po prostu oklapnięta.

– Jasne, że pomogę, moja droga. Byłoby łatwiej sprzątać, gdyby można było przenieść gdzieś te wszystkie pudła. Jej lordowska mość potrafi wpaść znienacka.

– Masło orzechowe – odezwał się błagalnym tonem James.

– No już dobrze – odpowiedziała Alice wstając i podchodząc powoli do odpowiedniego kredensu.

– Oczywiście – ciągnęła Gwen – teraz wszyscy w Pitcombe Park są niezwykle poruszeni powrotem pani Clodagh.

Alice zaczęła smarować kromkę chleba masłem orzechowym.

– Cienie, cienie.

– Cicho bądź. Pani Clodagh?

– Najmłodsza córka. Przez trzy lata mieszkała w Ameryce. Rodzice zawsze kochali ją najbardziej, chociaż jako dziecko była diabolicą, mówię pani. Jak możesz – zwróciła się do Jamesa – jeść to ohydztwo?

Żując, James spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– Jestem bardzo cierpliwa – zauważyła Natasha.

– Wielkie nieba – zawołała Alice – jeszcze mi się tu zjawi cała

delegacja z Pitcombe Park...

Zadzwoił telefon. Idąc do holu, by go odebrać, Alice spytała:

– Gwen, czy mogłabyś zrobić Natashy tosta? Nie lubię, gdy sama dotyka opiekacza.

Dzwoniła Cecily. Postanowiła solennie dzwonić do Domku pod Jabłonią tylko raz w tygodniu wczesnym wieczorem, gdy dzieci były już w łóżku. Czowała bowiem, że Alice nie odzyskała jeszcze całkowitej równowagi i choć wszyscy bardzo się martwili, nie należało jej tym niepokoić. Lecz dzisiaj z jakiegoś powodu myśli Cecily krążyły bez przerwy wokół Alice, w końcu nie mogła się już powstrzymać i zadzwoniła.

– Halo – powiedziała Alice do słuchawki zmęczonym głosem.

– Kochanie – odezwała się Cecily. – Wydajesz mi się potwornie wyczerpana.

Głos Alice stał się cieplejszy, ale nie bardziej energiczny.

– To ten lokalny sklepik. W jakiś sposób dałam się w to wciągnąć i spędziłam trzy godziny w nie ogrzewanej furgonetce, sprzedając słoiki buraków ludziom, którzy mówili mi, że nie będę tu szczęśliwa.

– Strasznie śmieszne – roześmiała się Cecily.

– Wcale nie – odpowiedziała Alice. – Powinno być śmieszne. Ale nie było.

– No to dobrze, że zadzwoniłam. Kochanie, nie mam zamiaru ustępować. Nalegam, żebyś wzięła kogoś do pomocy – mnie albo nawet dziewczynę do dzieci. W ogóle jesteś przemęczona, a tu jeszcze bierzesz na siebie takie rzeczy jak ten sklep.

– Nie potrzeba mi pomocy – odpowiedziała Alice. – Bardzo to miłe z twojej strony, ale jest przecież Gwen. Nikt mi nigdy nie pomógł tyle, co ona...

Przerwała. Była to prawda. Nikt jej nigdy przedtem tyle nie pomógł i nigdy jeszcze w jej życiu nie było tyle zamętu.

Coś ścisnęło ją za gardło.

Czasami czuła się jak sparaliżowana i nie mogła się ze sobą uporać. Jakiś czas temu była bardzo przygnębiona, gdy za namową Martina i Cecily poszła do lekarza, a potem spędziła dwa

dni na oddziale ginekologicznym szpitala w Salisbury. Robiono jej różnego rodzaju testy i okazało się, że jest zupełnie zdrowa. Martin tak się wtedy cieszył. Ona była wściekła. Jeśli wszystko było z nią w porządku, dlaczego tak się czuła?

– Potrzebujesz kogoś na stałe – stwierdziła Cecily.

– Potrzebujesz młodszej Dorothy. Zamierzam znaleźć ci taką osobę.

– Proszę – powiedziała błagalnym tonem Alice – proszę, nie...

– Ależ, kochanie, dlaczego na miłość boską nie?

– Bo nic mi nie jest. Wiesz o tym. Pan Hobbs tak powiedział. Muszę się po prostu pozbierać.

– Ale dlaczego nie chcesz, by ktoś ci w tym pomógł?

– Bo nie chcę – odpowiedziała Alice prawie płacząc.

– To naprawdę uprzejme z twojej strony, ale muszę dać sobie radę sama. Czuję się dobrze, uwierz mi. Gwen pomoże mi uporządkować salon i kiedy to będzie już zrobione, jestem pewna, że poczuję się zupełnie inaczej. Wiem to.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym Alice usłyszała jak Cecily wzdycha.

– A może poszłabyś na kompromis?

– Jaki kompromis? – zapytała ostrożnie.

– Radź sobie sama jeszcze przez miesiąc, a jeśli nie będziesz czuła się lepiej, wrócimy do tego tematu, dobrze?

– No dobrze – odpowiedziała niechętnie Alice.

– Słuchaj, kochanie, to, że ktoś nie daje sobie rady, nie jest powodem do wstydu. Masz tyle rzeczy na głowie...

– Dla mnie to wstyd.

– Zbyt wiele od siebie wymagasz. Czy Martin ci pomaga?

– Bardzo. Ma strasznie dużo pracy, ale pomaga mi w weekendy.

– On jest z ciebie taki dumny. Alice mimowolnie wzdrygnęła się.

– Naprawdę świetnie sobie radzi...

– A jak dzieci?

– Całe w dzemie w tej chwili. Ale ogólnie w porządku.

– Wezmę je do siebie na wakacje. Chcę, żebyście z Martinem gdzieś wyjechali. Wspominałam o tym już dwa miesiące temu. Czy mam zadzwonić do Verity w sprawie willi na Patmos, gdzie spędziliście miodowy miesiąc?

– Nie – odpowiedziała Alice może ze zbytnim naciskiem.

– Ależ, kochanie...

– Pewnych rzeczy nie powinno się nigdy powtarzać.

– Kochana Alice – powiedziała smutnym głosem Cecily – tak bardzo chcę ci pomóc, a ty tak mi to utrudniasz.

– Przepraszam – wyszeptała Alice. – Przepraszam.

Salon został opróżniony, podłoga pokryta dywanem. Brakowało tylko zasłon, kiedy przed dom podjechało volvo jej lordowskiej mości z dwoma ślicznymi spanielami na tylnym siedzeniu. Z okna sypialni Alice obserwowała, jak lady Unwin wysiada, wygładza swą plisowaną spódnicę, nachyla się, by wyjąć z samochodu ogromną hortensję w doniczce, i podchodzi do drzwi, rozglądając się dokoła. Gwen, która właśnie szorowała kamienną podłogę, wpuściła skwapliwie gościa do środka.

– O, Gwen. Miło cię widzieć. Śliczny dziś dzień. Czy pani Jordan jest w domu?

Gwen zaprowadziła lady Unwin do salonu.

– Hm – odezwała się lady Unwin z zainteresowaniem, stawiając na ziemi doniczkę i podchodząc do półki nad kominkiem, na której kolekcja starych dzbanków Alice wyglądała jak tłumna procesja. – Czarujące. – Odwróciła się z uśmiechem do Gwen. – Proszę jej powiedzieć, że tu jestem.

Gwen było przykro, iż Alice ma na sobie dzinsy i starą koszulę Martina, jako że właśnie rozpakowywała skrzynie z porcelaną. Zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro, gdy stwierdziła, że Alice nie ma najmniejszego zamiaru się przebrać. Przerzuciła po prostu warkocz przez ramię i zbiegła na dół. Lady Unwin wyglądała nienagannie w swojej bladoszarej spódnicy, miękkim sweterku i przepięknych perłach. Patrzyła właśnie na rysunek zawieszony obok kominka. Odwróciła się i wyciągnęła obie dłonie do Alice.

– Droga pani Jordan. To potworność z mojej strony, że

przychodzę panią odwiedzić dopiero teraz. Czy przebaczy mi pani?

– Ależ oczywiście. Obawiam się, że nadal panuje tu ogromny bałagan...

– Niech mi pani nic nie mówi o bałaganie. Moja najmłodsza córka właśnie wróciła z Nowego Jorku z taką ilością bagażu, że mogłaby nim zappełnić cały statek transatlantycki. I nie będzie to wcale przesada, jeśli powiem, że całutki dom jest w tej chwili zawalony jej walizkami.

– Może napiłaby się pani filiżankę kawy? – spytała Alice.

– Bardzo dziękuję, ale nie. Wpadłam tylko na chwilę w drodze na zebranie w Shattisbury. Proszę spojrzeć, co pani przyniosłam. Zawsze je bardzo lubiłam.

– Och, jak miło z pani strony...

– Przypuszczam – powiedziała lady Unwin – że nie jest pani spokrewniona z Cecily Jordan?

– To moja teściowa – uśmiechnęła się Alice. Lady Unwin uścisnęła entuzjastycznie jej dłoń.

– Niesamowite! Co za szczęście. Dobrze, a teraz... – Puściła rękę Alice i otworzyła teczkę, z której wyjęła cienki kalendarzyk.

– Kiedy mogliby państwo przyjść do nas na obiad... Niech no sprawdzę. Za dwa tygodnie w sobotę? Jedenastego?

– Cudownie – odpowiedziała słabo Alice. – Dziękuję, jak miło...

– A jeśli będzie pani rozmawiała z teściową, proszę jej powiedzieć, że jestem jej oddaną wielbicielek. Ciekawa jestem, czy zechciałaby łaskawie porozmawiać z naszymi ogrodnikami amatorami lub raczej z grupą ekspertów. Muszę nad tym pomyśleć. Do widzenia, moja droga. – Zatoczyła błyszczącą od pierścieni dłońią w powietrzu. – Cóż za śliczny pokój!

Alice, patrząc z zazdrością jak elegancka kobieta wsiada zgrabnie do samochodu i zawraca go z wprawą na podjeździe, pomyślała, że ludzie tego pokroju nie znają bólu. Nie gmatwiają swego życia, nie czują, że ich egzystencja pozbawiona jest sensu i że nie ma przed nimi żadnej przyszłości.

– Strasznie mi się podoba lady Unwin – wyznała później przez telefon w rozmowie z Juliet Dunne. – Chcę być taka jak ona, gdy dorosnę.

– Margot? – zapytała Juliet. – Nie bądź głupia. Wcale tego nie chcesz. To straszne życie. Na szczęście lady Unwin to stara jędza, więc jej to raczej odpowiada.

– Ale wydaje się, że nie dotyczy jej nic, co mogłoby ją zranić. Wygląda...

– Allie – powiedziała stanowczo Juliet – jeśli nie zorganizujesz natychmiast wakacji dla siebie i dla Martina, to ja to za ciebie zrobię. O Boże, przyszedł Henry, trochę wcześniej, nie uważasz. Przestań – zwróciła się do męża – to dla dzieci na podwieczorek. Alice, obiad w domu Unwinów będzie naprawdę rewelacyjny, obiecuję ci to. Jestem pewna, że zachwycisz się Clodagh. Przez całe życie przyprawiała wszystkich o ból głowy. Od lat mieszkała z jakimś prawnikiem w Nowym Jorku i za nic nie chciała, by Margot i Ralph... Co? Och, Henry mówi, że ten prawnik jest milionerem. Nieważne, milioner czy nie, Clodagh zostawiła go i wróciła do domu, Margot przyjęła więc rolę matki kwoki. Ale Clodagh jest naprawdę świetna. Allie, muszę już kończyć i słuch Henry'ego. Zjada dzieciom kanapki z jajkiem. Naprawdę, Allie, mam z nim krzyż pański.

– Czy ty masz ze mną krzyż pański? – Alice spytała Martina przy kolacji.

Pochylił się nad stołem i poklepał ją po ramieniu, ale nie słuchał dokładnie, o czym mówiła.

– Oczywiście, że nie.

– Jeżeli jestem takim ciężarem dla siebie samej, to tym bardziej jestem nim dla ciebie...

– Jesteś przemęczona.

– Ale to skutek, nie przyczyna.

Z ustami pełnymi rybnej zapiekanki powiedział:

– Nie zgadzam się. – Przełknął i dodał: – Wzięłaś na siebie tyle obowiązków. Wszyscy w miasteczku uważają, że jesteś wspaniała. Czy proboszcz już cię odwiedził?

– Nie...

– No to niedługo przyjdzie. Spotkałem go w sklepie. Wydawał się sympatyczny.

– Na pewno będzie próbował namówić mnie, żebym znowu coś robiła.

– No to powiedz: nie.

– Ale widzisz – powiedziała pochylając się, by nałożyć mu jak zawsze dokładkę – angażowanie się w różne rzeczy to jeden z powodów, dla których mieszka się w takiej miejscowości jak ta.

– Ale nie angażowanie się we wszystko. Nie do tego stopnia, żebyś była tak zmęczona, że ledwo patrzysz na oczy.

– Nie jestem pewna, czy to o to chodzi – powiedziała patrząc na niego twardym wzrokiem.

Zauważyła, że drgnął. Czuła, że Martin zaczyna myśleć o czymś innym, bo rozmowa przybierała obrót, którego nie mógł znieść. Pomachał widelcem w stronę Alice.

– Przepyszne – powiedział.

Dwa dni później Alice popychała wózek z Charliem wzdłuż rzeki. Dzień był ładny, chłodny, ale słoneczny. Wierzby obsypane były baziami, a na brzegu rzeki rosły kępki pierwiosnków. Alice zerwała jeden i dała Charliemu. Trzymał go z szacunkiem na odległość ramienia, a ona pomyślała, jak szybko chłopczyk się uczy, bo jeszcze kilka tygodni temu próbowałby go zjeść.

W ich kierunku zbliżał się wysoki mężczyzna w luźnym tweedowym płaszczu. Alice wydawało się, że to John Murray-French, i już miała podnieść rękę, by pomachać, gdy zauważyła, że mężczyzna ma na szyi koloratkę. Gdy był już niedaleko, zawołał:

– Śliczny poranek!

– Tak! – odkrzyknęła.

– Jestem Peter Morris – powiedział, gdy był już na tyle blisko, że nie musiał krzyczeć. – A pani jest Alice Jordan. Jestem, jak to mówią, dłużny pani wizytę duszpasterską.

Miał koło sześćdziesiątki, gęste włosy i dobrą cerę. Trzymał się prosto, a z całej jego postawy biła ogromna energia. Nachylił się

nad Charliem, który oddał mu swój pierwiosnek.

– Dziękuję, staruszk.

– Wiem, że jest pan strasznie zajęty – powiedziała Alice.

Wyprostował się.

– Mnóstwo ludzi umiera o tej porze roku. Przetrzymują jakoś zimę, a potem, zaraz gdy zaczyna się ocieplać i dzień robi się dłuższy, oddają ducha. Miałem jeden pogrzeb za drugim. Dlatego właśnie postanowiłem dzisiaj wyjść, by zobaczyć wreszcie coś, co się zaczyna. – Spojrzał na Charliego. – Ty na szczęście dopiero zaczynasz. Czy to pani jedyne dziecko?

– Nie, trzecie.

– Młodo pani wygląda jak na trójkę dzieci. Miałem zamiar przyjść do pani i uprzedzić ją, żeby nie dała się pani zastraszyć naszym starym plotkarkom. Nie omieszkają tego zrobić, jeśli tylko znajdą ku temu okazję. Oddają ogromne przysługi naszej społeczności, ale nie znają litości. Mam nadzieję, że będziecie tu państwo szczęśliwi.

– Och, na pewno...

– To sympatyczne miejsce. No i macie państwo piękny dom. Grywałem tam często w pokera z Johnem Murrayem-Frenchem. Podejrzewam, że wrócimy do tego, jak tylko zadomowi się na nowym miejscu. Dwóch kawalerów razem. – Spojrzał znów na Charliego. – Nie mam dzieci. Moja żona zmarła, zanim się na to zdecydowaliśmy.

– Tak mi przykro...

– Mnie też było. Byłem marynarzem. To znaczy, zanim stary Admirał tam w górze – spojrzał na błękitne niebo – powołał mnie na swój pokład. Przekona się pani, że mówię to, co myślę. Jeśli czegoś nie toleruję, nie kryję się z tym. Mam tu na myśli dużą grupę biskupów. Mętna banda. Dlaczego oni nie sprawdzą, co Biblia mówi o różnych sprawach? Z Biblią człowiek wie, czego się trzymać.

Alice skierowała wózek w stronę miasteczka.

– Nigdy tak naprawdę jej nie przeczytałam. Odkąd skończyłam szkołę.



– Nie dziwię się. Ludzie nie czytają Biblii. Co roku sprzedaje się jednak sześćdziesiąt pięć milionów egzemplarzy, więc ktoś to jednak czyta. Powinna pani spróbować.

– Nie wiedziałabym, gdzie zacząć.

– To żadna wymówka – powiedział Peter Morris z zapalem.

Wziął od niej wózek i zaczął go pchać.

– Słyszałem, że wzięli panią do naszego sklepiku.

– I do układania kwiatów. Ale oparłam się Grupie Niedzielnej.

– Tym lepiej dla pani.

– No tak, ale wspólne robienie czegoś jest przecież częścią tutejszego życia.

– Podobnie jak zgodne życie z innymi. Zawsze powtarzam naszym nowym mieszkańcom, nie oczekujcie, że życie w małym miasteczku jest łatwe. W mieście można sobie wybierać przyjaciół, ale mała osada jest jak statek – trzeba być w zgodzie ze wszystkimi. Nie jest to łatwe, ale i nie niemożliwe. Trzymaj się, staruszk, droga jest trochę nierówna.

Wyszli na szerszą ścieżkę poniżej karczmy w Pitcombe. Późne żonkile wędły w doniczkach, a przez częściowo otwarte okna na parterze powiało stęchłym zapachem smażonego oleju i piwa. Peter Morris nadal pchał wózek. Przeszli koło pubu i skręcili w główną ulicę, gdzie wiele osób witało się z pastorem. Alice czuła ulgę idąc obok niego, podczas gdy on popychał wózek i odpowiadał krótko na powitania przechodniów. Zatrzymał się na rogu alei prowadzącej do Grey House.

– Zwracam pani rydwan.

– Dziękuję – powiedziała Alice. Chciała poprosić go, by wszedł do domu razem z nią.

– Muszę jeszcze przed lunchem odwiedzić rodzinę zmarłego, osobę ze złamaną nogą i pocieszyć kogoś, kto się nad sobą strasznie uzala. Miło mi było panią poznać, pani Jordan.

Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Alice.

– Niech pani zachowa pogodę ducha – powiedział i położył palec na nosku Charliego. – Ty też, staruszk.

Alice przebierała się trzy razy na obiad w Pitcombe Park. Gdy przymierzyła ostatnią kreację, miała ogromną ochotę zdjąć ją i włożyć tę, którą wybrała na samym początku. Ale nie było już na to czasu, a poza tym Martin się niecierpliwił. Zeszła na dół podtrzymując końce ciężkiego tureckiego naszyjnika ze srebra, ozdobionego turkusami, i poprosiła męża, by pomógł jej go zapiąć. Martin miał na sobie smoking, wyglądał bardzo elegancko i jednocześnie obco.

Obrócił Alice plecami do światła w holu i zaczął coś mrużyć pod nosem zapinając naszyjnik. Stała z pochyloną głową, unosząc warkocz, by ułatwić Martinowi pracę. Przyglądała się głębokim fałdom na swej czerwonej spódnicy i czubkom wyszywanych kapci, na których tasiemkach widniał napis „Madę in Jaipur”.

– Już – powiedział Martin triumfująco i poklepał ją po ramieniu.

Przerzuciła warkocz z powrotem na plecy. Specjalnie na tę okazję przeplotła go wstążkami. Natasha, która przycupnęła w nogach łóżka, obserwowała z zachwytem czeszącą się matkę. Siedziała teraz u podnóża schodów, usiłując osiągnąć ten sam efekt na włosach Księżniczki Elegancji. James przykucnął na najwyższym stopniu popłakując cichutko i ssąc kciuk. Nie chciał, żeby Alice wychodziła, i nie chciał zostać z Gwen. Wysuwając nieco palec z buzi zapytał:

– A co będzie, jak przyjdzie zły?

– No wiesz – westchnęła Natasha, zaplatając włosy lalki – oglądasz za dużo telewizji.

James uwielbiał telewizję. Oglądając ścisnął w ramionach poduszkę, w której chował głowę, gdy tylko na ekranie pojawiała się coś, co mogłoby go przerazić. Mimo to po zgaszeniu telewizora źli bohaterowie atakowali wyobraźnię chłopca o wiele silniej niż postaci szlachetne. Wiedział, że Gwen niewiele mu

pomoże w walce ze zmorami, bo ona sama wydawała się mieć z nimi coś wspólnego.

Wstał.

– Nie idź!

Martin przeszedł koło siedzącej Natashy, wspiął się po schodach i uklęknął przy Jamesie.

– No już, daj spokój, stary. Wychodzimy tylko na kilka godzin i to niedaleko, do Pitcombe Park...

– Nie idź! Nie idź! – wrzasnął James, wpatrując się w matkę i ignorując Martina.

Na półpiętrze pojawiła się Gwen trzymając w ramionach Charliego. Mały miał na sobie żółte śpioszki i wyglądał rozkosznie. Dostrzegł stojącą w holu Alice i zaczął się do niej wrywać.

– Niedługo wrócę – zawołała Alice do chłopców – naprawdę niedługo. Jak tylko będę z powrotem, zaraz do was przyjdę, obiecuję...

– Ja bym po prostu wyszła – powiedziała Natasha, nie przerywając pracy.

– Och, Tashie...

Płacz Jamesa przeszedł w wycie. Martin obrzucił syna zdesperowanym spojrzeniem i zszedł pospiesznie na dół do holu.

– O mój Boże – odezwała się Gwen – cóż za głupie zamieszanie. Patrz, co zrobiłeś. Charlie już zaczyna płakać.

Martin popchnął Alice w kierunku drzwi wejściowych, otulając ją płaszczem.

– Chodź już, chodź...

– Nie cierpię tego – powiedziała nieszczęśliwym głosem. – Nie cierpię zostawiać Jamesa, gdy jest w takim stanie...

– Przecież on zachowuje się tak specjalnie. Żebyś robiła to, co on chce.

– Jeśli nawet, to on się tak strasznie boi.

– On się wszystkiego boi – stwierdził Martin z irytacją. Usiadł za kierownicą i otworzył Alice drzwi samochodu.

– Niedługo będzie miał pięć lat – ciągnął. – Za trzy lata idzie do

szkoły. Musi się pozbierać do kupy.

Alice nie odpowiedziała. Chciała porozmawiać z nim w trakcie jazdy przynajmniej o trzech sprawach, głównie o tym, że jej zdaniem nie powinni wysyłać Jamesa do szkoły w wieku ośmiu lat, ale mieliby na to tylko pięć minut w samochodzie. Na pewno by się pokłócili i zajechali przed rezydencję Unwinów zdenerwowani.

– Dąsasz się?

– Nie – odpowiedziała Alice, starając się, by jej głos brzmiał jak najzwyczajniej.

– Chciałbym, żeby James miał choć w ćwierci tyle odwagi co Tashie.

– Podejrzewam, że on też by tego chciał.

Brama Parku o ozdobnie zakończonych kolumnach ukazała się na chwilę w świetle reflektorów i zaraz zniknęła za samochodem.

– O rany – powiedział Martin. – Niezłe.

– Myślisz, że będzie dużo osób?

– Nie wiem – odpowiedział. Patrzył badawczo przed siebie.

Światła reflektorów odbijały się wśród ciemnych drzew.

– Ogromny...

– A jakże!

Alice pomyślała o czarnej koronkowej sukni leżącej na łóżku w jej sypialni.

– Mam na sobie nieodpowiedni strój...

– Nieprawda. A poza tym i tak już za późno, by o tym myśleć.

Aleja prowadząca do rezydencji skręciła i samochód wjechał na obłany światłem podjazd przed domem. Dziewięć wnęk, kamienne narożniki, fronton, długie przesuwane pionowo okna, a nad drzwiami wejściowymi herb rodzinny, wmurowany tam przez jednego z Unwinów w czasach wiktoriańskich. Przodek ów pragnął, żeby cały świat, a przynajmniej ta jego część, która odwiedzała Pitcombe Park, nie miała żadnych wątpliwości co do znakomitości jego rodu. Alice pochyliła się do przodu.

– Wszystko to wydaje się mi strasznie dziwaczne. To tak jakbyśmy jechali z wizytą do Rosings z „Dumy i uprzedzenia”.

No wiesz, najlepsze stroje, najlepsze maniery, protekcyjnalna uprzejmość.

– Nonsens – rzucił Martin z napięciem.

– Ale...

Zatrzymał samochód w przyzwoitej odległości od drzwi wejściowych.

– To zupełnie normalna rzecz. I wielka uprzejmość ze strony Unwinów.

– No cóż, dla mnie to nie jest normalne – odpowiedziała niegrzecznie Alice.

Martin nie odezwał się już. Wsiadł z samochodu, zamknął delikatnie drzwi i podszedł z drugiej strony, by pomóc wysiąść żonie.

– Allie – powiedział, a w jego głosie brzmiała prośba, by Alice zachowywała się rozsądnie – nie pozwól, by James zepsuł ci wieczór. Na pewno poczuł się lepiej, jak tylko wyszliśmy.

– James nie ma tu nic do rzeczy...

Podwójne drzwi wejściowe otworzyły się ponad ich głowami i podłużny promień światła padł na schody. Natychmiast zamilkli, jak dwójka dzieci przyłapanych na gorącym uczynku. Martin wziął Alice pod rękę i poprowadził ją po stopniach. Na samej górze niewysoki mężczyzna wyglądający na byłego dżokeja otworzył wewnętrzne szklane drzwi prowadzące do holu.

– Pan i pani Jordan – stwierdził, a Martin odpowiedział:

– Dobry wieczór, Shadwell.

– Skąd wiesz? – spytała bezgłośnie Alice. Zignorował pytanie. Shadwell zsunął jej płaszcz z ramion mamrocząc: „Tędy, pani Jordan”, i poprowadził ich przez hol, który był, jak zauważyła Alice, okrągły. Czyżby znaczyło to, pomyślała, że wszystkie drzwi są zakończone półkuliście jak banany? Shadwell otworzył kolejne podwójne drzwi i oczom Alice ukazał się salon oraz lady Unwin, płynąca na ich powitanie wśród fal zielonych krez z jedwabiu i sznurów pereł.

Pokój był ogromny i imponujący. Gdy Alice i Martin weszli do środka, znajdowało się w nim już z tuzin osób stojących w małych

grupkach pomiędzy obitymi adamaszkim krzesłami i stolikami z książkami, oprawionymi w ramki zdjęciami i ekstrawaganckimi roślinami w ikebanach. Przy kominku siedział ktoś zdecydowanie wyróżniający się na tle pozostałych gości. Wszyscy ubrani byli zgodnie z oczekiwaniami Alice – a raczej zgodnie z wymaganiami lady Unwin – w smokingi i ten rodzaj jedwabnych sukni, które sprzedawczynie określają jako dobrą inwestycję. Osoba przy kominku wyglądała jak z ilustracji na okładce „Rozzochrańca”, którą Alice musiała chować przed zafascynowaną, acz przestraszonym Jamesem. Ponieważ ten ktoś stał bokiem do Alice, widać było jedynie zmierzwioną czuprynę koloru kukurydzy oraz dziwny strój składający się z czarnej tuniki i rajstop. Kimkolwiek była ta osoba, lady Unwin zostawiła ją sobie na koniec.

– Alice, moja droga – czy mogę tak do ciebie mówić?

– Alice, to jest pani Fanshawe, która mieszka na Oakridge Farm i doskonale zna się na kwiatach, nie mam pojęcia jak ona to robi, a to major Murray-French, którego oczywiście znasz, państwo Alleyne z Harcourt House – ich dzieci mają chyba tyle lat co twoje, przesympatyczne – a to Elizabeth Pitt, która jest moją prawą ręką we wszystkich pracach komitetu, naprawdę nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Susie Somerville, która – co ty robisz, Susie? Nazywanie cię pilotką wycieczek brzmi raczej niegrzecznie, biorąc pod uwagę wytworność tych wyjazdów, nie śmiałabym nawet marzyć o takiej wyprawie, mówię ci. A to jest Simon Harleyford, który przyjechał do nas na weekend – tak miło cię gościć, mój drogi – no i oczywiście, pan Fanshawe, bez którego pomocy nie mielibyśmy naszych sławnych letnich festynów. A oto Clodagh. Clodagh, podejdź tutaj i przywitaj się z panią Jordan.

Czarna tunika i rajstopy odwróciły się na chwilę od niskiego mężczyzny o różowej twarzy, z którym Clodagh rozmawiała, powiedziały „cześć” i odwróciły się z powrotem do swego rozmówcy.

– Poleciałam jej – powiedziała lady Unwin teatralnym szeptem –

poleciałam jej, żeby była wyjątkowo miła dla Nigela Pitta, bo naprawdę potrzebuję jego pomocy w przytułku. Nasz skarbnik grozi nam odejściem na emeryturę, straszny to kłopot, ale ponieważ ma już prawie osiemdziesiąt lat, nie powinnam go chyba zatrzymywać. Alice, podejdź do Susie i porozmawiaj z nią. Ona wie absolutnie wszystko o hinduskich pałacach.

– Tak naprawdę to nie wiem wszystkiego – powiedziała Susie Somerville, gdy zostały same. Była niewysoką suchą kobietą koło czterdziestki, ubraną w wieczorową garsonkę z aksamitu w kolorze śliwki. – Wiem tylko, jak zawołać tragarza i jak zmienić worek do stomii. Praca pilota wycieczek to mordęga, czysta mordęga. Nasza oferta jest tak droga, że stać na nią tylko wiekowych turystów. Tak więc ciągam ze sobą te rozlatujące się stare pierniki po Baalbeku, Leningradzie, Udajpurze i codziennie rano przyrządzam im whisky z sodą i środek na nadkwasotę. Koszmar.

– To dlaczego pani to robi? – spytała ze śmiechem Alice.

– Dla pieniędzy. Dostaję ogromne napiwki, szczególnie od jankesów, których zachwyca fakt, że posiadam tytuł szlachecki. Stokroć bardziej wolałabym wyjść za mąż, ale zawsze wybieram takie osoby, które akurat nie chcą się ze mną żenić. Tak więc hoduję konie, które zastępują mi dzieci, mam mnóstwo przyjaciół, no i tę upiorną pracę. Czy pani jeździ konno?

– Nie – odpowiedziała Alice.

– Pani ma mężczyznę – powiedziała Susie Somerville opróżniając kieliszek – pani nie musi.

Ralph Unwin ubrany w ciemnobłękitny smoking i pachnący czymś bardzo męskim i staroświeckim podszedł do Alice, by zaprosić ją do jadalni.

– Czy Susie próbuje panią zaszokować?

– Nie potrafię już nikogo zaszokować. – Skinęła głową w stronę kominka. – Jak tam Clo po powrocie?

– Wydaje się nam, że w porządku – odpowiedział cicho sir Ralph. – Nie chce powiedzieć, dlaczego wyjechała z Nowego Jorku, musimy więc cierpliwie czekać. – Zerknął na Alice. –

Nasza córka Clodagh. Wszystko wskazywało na to, że wyjdzie za tego gościa z Nowego Jorku, po czym nagle wróciła do domu. – Uśmiechnął się słabo. – Zranione młode serca goją się szybko.

Susie Somerville i Alice spojrzały na kręconą czuprynę rodem z „Rozczochrańca”. Alice odezwała się niespodziewanie dla samej siebie:

– Oczywiście, że to boli, ale lepiej jest darzyć kogoś uczuciem tak silnym, że prawie umiera się z bólu, gdy ono się kończy, niż...

Przerwała.

– Słuchaj, słuchaj – powiedziała Susie Somerville. – Oto historia mojego życia. Chodź, Ralph. Margot macha do nas rękami jak wiatrak. Czas na obrok.

W przejściu do holu panował lekki ścisk. Alice znalazła się obok Clodagh, której twarz trudno było dojrzeć poprzez gęstwinę włosów. Nie mogła przez grzeczność zapytać o Nowy Jork, ale czuła, że powinna coś powiedzieć.

– Właśnie wprowadziliśmy się do domu Johna Murraya-Frencha.

– Wiem – odpowiedziała Clodagh i przesunęła się do przodu, by dogonić matkę.

Przy obiedzie Clodagh siedziała obok Martina. Kiedy odwróciła się w jego stronę, Alice mogła wreszcie zobaczyć jej twarz. Clodagh nie była ładna i w najmniejszym stopniu nie przypominała swych przystojnych rodziców. Miała szerokie policzki i wąską brodę. Gdyby nie usta, również szerokie, podobna byłaby do lisa. Ponieważ Alice dopiero od niedawna mieszkała w miasteczku, posadzono ją obok gospodarza, a żeby nie przeraziła się taką ilością nowych twarzy, po jej drugiej stronie siedział John Murray-French. Przed nią na stole stała wytworna porcelanowa miseczka ze złotymi krawędziami, wypełniona niewielką ilością bladozielonej zupy posypanej szczypiorkiem.

– Rzeżucha – powiedział John. – Hodują ją nieco dalej nad rzeką Pitt. Podoba się pani mój dom?

– Ogromnie.

– Jest pani za chuda.



– Nie sędę – odpowiedziała Alice, pochylając się, by Shadwell mógł nalać białego burgunda do jednego z kieliszków stojących przed nią w rzędzie – aby znał mnie pan na tyle dobrze, żeby tak mówić.

– Do tego nie trzeba zażyłości. Wystarczy zmysł estetyczny. Znam się nie tylko na kaczkach.

– Kaczki – podchwycił lord Unwin. – Tylko z nimi kłopot. Zdaje się, że znów zlatują się znad rzeki do miasteczka.

– No i co z tego?

– To, że prędzej czy później ktoś się w końcu poślizgnie na tym, co po sobie zostawiają, a ponieważ wszyscy uważają, że to moje kaczki, zwykle kończy się tak, że odwiedzam ofiarę w szpitalu w Salisbury. Moja droga, nie masz masła.

Nieco dalej przy stole Martin i Clodagh siedzieli roześmiani. Mówiła głównie ona, z wielkim ożywieniem, a Alice mogła zobaczyć, że dziewczyna ma wspaniałe, bardzo białe zęby. Po drugiej stronie Martina Susie Somerville i pan Fanshawe przechwalali się swą wiedzą na temat lotnisk międzynarodowych, a naprzeciwko Alice mizerna kobieta w jedwabnej szarej bluzce spiętej pod szyją kameą jadła swą zupę z godną podziwu starannością.

– Zna pani oczywiście Elizabeth Pitt – powiedział Ralph Unwin.

Pani Pitt pochyliła się do przodu.

– Ja znam panią. Dwóch słodkich chłopczyków i dziewczynka. Wydają się dokładnie w wieku trójki dzieci Camilli. Wiem również, że pomaga pani w tym strasznym sklepie.

– Sklepie – sir Ralph wzruszył pogardliwie ramionami.

– Sklep jest w porządku – włączył się John Murray-French. – Mają tam to, co ja lubię. Pozostawiony sam sobie żywiłbym się tylko fasolą, herbatnikami i whisky. – Wskazał na zupę. – Nie wiem doprawdy, po co ludzie jedzą warzywa.

– Czy zamierza pani – zwrócił się sir Ralph do Alice – uprawiać ogród warzywny?

– Mam nadzieję, że moja teściowa zrobi to za mnie –

uśmiechnęła się Alice.

– Nie Cecily Jordan!

– Ta sama.

– Moja droga – powiedziała Elizabeth Pitt. – Czy Margot wie? Nie będzie pani miała chwili spokoju...

– Tak, wie.

– Mówiłem ci przecież, że Martin jest synem Cecily – powiedział John. – To dziwne, jak nikt cię nie słucha, dopóki nie zaproponujesz drinka. Dopiero wtedy słyszą cię tak wyraźnie jak oddalony o milę dzwon.

Sir Ralph zwrócił swe błękitne oczy wprost na Alice.

– Co za niesamowite szczęście. Czy Martin odziedziczył jej talent?

Alice spojrzała na męża. Opisywał coś właśnie rysując w powietrzu kształt pudełka. Clodagh wyglądała na całkowicie tym zaabsorbowaną.

– Raczej nie. To znaczy, radzi sobie świetnie, jeśli chodzi o porządkowanie ogrodu, ale nie ma jej oka.

– Ta mała jest malarką – powiedział John – ale nie chce malować.

– Nie chce?

– W tej chwili nie mogę – powiedziała Alice ze smutkiem.

– Coś w rodzaju twórczej niemocy? – zapytał sir Ralph, kładąc dłoń na jej dłoni.

– Chyba tak...

– Już wiem! – powiedziała Elizabeth Pitt triumfująco.

– Juliet Dunne powiesiła pani czarujący obraz w bawialni. Juliet – zwróciła się do sir Ralphi – ma wspaniały pomysł na przyjęcie ogrodowe dla naszego przytułku.

Sir Ralph pochylił się ku niej. John Murray-French odwrócił się do siedzącej po jego drugiej stronie kobiety i powiedział:

– Podobno pani pstrągi złapały jakąś przykrą chorobę...

Alice spojrzała z powrotem na Clodagh. Mogła ją teraz przez chwilę bez przeszkód poobserwować. Wyglądało na to, że dziewczyna nie ruszyła wcale zupy, pokruszyła za to bułkę na sto

małych kawałeczków i porozrzuciła je dokoła, zupełnie jak dziecko. Miała bardzo ładne dłonie. Alice zauważyła, że nie nosi na nich pierścionków, za to paznokcie ma w kolorze szkarłatnej czerwieni. Oczy wydawały się lekko skośne, a chociaż włosy miała jasne, brwi i rzęsy były zdecydowanie ciemne. Nie miała na sobie żadnej biżuterii oprócz ogromnego krzyża maltańskiego zawieszzonego na czarnej wstążce, niewidocznej na tle tuniki w tym samym kolorze. Opowiadała coś Martinowi patrząc w stół, po czym nagle podniosła wzrok i przyłapała Alice na obserwowaniu jej. Wyraz jej twarzy nie zmienił się. Alice poczuła, jakby jej dano po nosie.

Spojrzała w stronę sir Ralpha i pani Pitt, ale ci zajęci byli całkowicie lokalną polityką. Zaczęła więc przyglądać się wszystkim Unwinom na ścianach, oprawionym w pozłacane gipsowe ramy, obserwującym przyjęcie spod rażąco nowoczesnych, praktycznych dwudziestowiecznych lamp oświetlających obrazy.

Kiedy przyniesiono łososia, John Murray-French odwrócił się z powrotem do Alice i powiedział, że jego syn, Alex, ożenił się z Francuzką, którą poznał w Atenach. Jedli łososia gawędząc, a Alice próbowała słuchać z zainteresowaniem o nowej pracy Alexa jako analityka inwestycyjnego i jednocześnie przypomnieć sobie smak płomiennego uczucia, jakie przez krótki czas dla niej żywił.

Podczas deseru, który składał się z czekoladowej rolady lub morelowego placka do wyboru oraz ostrych serów – stiltona i blue vinney, sir Ralph poświęcił swą uwagę Alice. Był czarujący. Opowiadał o swoim dzieciństwie w Pitcombe i o dwóch stryjecznych babkach, które mieszkały w owym czasie w Grey House. Wspomniał, że trójka jego własnych dzieci miała dokładnie te same pokoje gościnne co on i jego siostra. Pozwoliło to Alice zadać mu pytanie, na które doskonale znała odpowiedź:

– Czy Clodagh jest najmłodsza z rodzeństwa?

Na twarzy sir Ralpha natychmiast pojawił się wyraz czułości.

– Tak. Ma dwadzieścia sześć lat. Oczywiście mogła już z tuzin razy wyjść za mąż, ale jej wymagania są niemożliwie wysokie.

Jest najinteligentniejsza z całej trójki. Pracowała w nowojorskim wydawnictwie ktoś tam i Row. Obawiam się, że robi ze mną, co chce.

Alice miała na końcu języka, iż wygląda na to, że robi to samo z Martinem. Zamiast tego powiedziała jednak:

– Może mogłaby znaleźć pracę w angielskim wydawnictwie, teraz gdy wróciła.

– Musi pani wybaczyć staremu zaślepionemu ojcu, wolałbym raczej, żeby została tu z nami przez jakiś czas. Może pani mogłaby pomóc mi wymyślić plan, jak ją zatrzymać. Wiem, że marzy o zobaczeniu pani obrazów.

– Och, nie! – Alice była szczerze zaniepokojona.

– Ach wy, twórcy, zawsze tacy skromni. A teraz proszę mi powiedzieć, kiedy będzie nam wolno poznać pani teściową?

Gdy wyniesiono sery, lady Unwin wstała i opuściła jadalnię za resztą kobiet.

– Dokładnie dwadzieścia minut – powiedziała do sir Ralpa, po czym zwróciła się do pań: – Clodagh uważa, że to barbarzyństwo, prawda, kochanie? Podejrzewam, że Amerykanom do głowy by coś takiego nie przyszło.

– Amerykanie, których znałam, jadali przez cały czas w restauracjach – odpowiedziała Clodagh i podeszła do Susie Somerville mówiąc: – Chodź, Sooze. Chcę usłyszeć jakąś przerażającą historię z twojej ostatniej wycieczki.

– Zebrałaś na to siły? – spytała zachwycona Susie Somerville, wchodząc po schodach obok Clodagh. – No cóż, pewnie w to nie uwierzysz, ale miałam jednego osiemdziesięcioletniego narkomana, który wybrał sobie Samarkandę jako miejsce na odlot...

Margot Unwin wzięła Alice pod ramię. – . Moja droga, mam nadzieję, że opiekowali się tobą dobrze przy twoim końcu stołu.

– Wspaniale, dziękuję...

– Zaprowadzę cię teraz do łazienki, moja droga, rozkład tego domu to koszmar dla obcych.

Weszły razem po schodach za Susie i Clodagh. Nie przestając

mówić, Margot poprowadziła Alice przez olbrzymie półpiętro zastawione gigantycznymi chińskimi wazonami do kilkorga obitych boazerią drzwi. Otworzyła jedno z nich wolną ręką i wepchnęła Alice do środka różowej nagrzanej łazienki.

– Nie spiesz się, moja droga.

Alice poczuła się nagle rozpaczliwie zmęczona. Zamknięta w tej ogromnej stylowej łazience mogła przynajmniej spojrzeć na zegarek. Było dopiero dziesięć po dziesiątej. Trzeba będzie jeszcze wytrzymać pół godziny bez mężczyzn, następne pół w ich towarzystwie, zanim zdoła w ogóle dać Martinowi z daleka sygnał, że chce wracać do domu.

Spojrzała w lustro. Wydała się sobie brzydka i nieciekawa. Może nadszedł już czas, by obciąć warkocz.

Na zewnątrz czekała na nią Sarah Alleyne. Sarah była dobrze ubraną blondynką i Alice przypomniała sobie, jak Juliet Dunne mówiła, że wspaniale jeździ konno i na nartach.

– Zastanawiałam się właśnie – powiedziała teraz do Alice rozwlekając słowa – czy mogłybyśmy umówić się co do odwożenia i przywożenia dzieci ze szkoły. Moja nieszczęsna niania zaszła w ciążę i jestem w tej chwili w kropce...

Panie zebrały się w salonie, trzymając w dłoniach filiżanki czarnej kawy i udając całkowity brak zainteresowania srebrną paterą czekoladek. Nie było tu ani Clodagh, ani Susie Somerville. Lady Unwin siedziała obok Alice na swej małej francuskiej sofie i rozprawiała z wielkim ożywieniem o miasteczku. Omówiła po kolei cały spis mieszkańców, począwszy od starego Freda Motta, który miał prawie sto lat, poprzez panny Pimm i Payne, a skończywszy na jakiejś starej damie o nazwisku Lettice Deverel, która grała na harfie. Po dwudziestu minutach Alice zorientowała się, że nie zadano jej ani jednego pytania. Po dwudziestu pięciu minutach weszli panowie, a po trzydziestu do pokoju wrócili Susie i Clodagh, nadal zajęte rozmową. Martin trzymał w dłoni cygaro i kieliszek brandy, których normalnie nigdy by nie tknął, i usiadł obok mizernej pani Pitt z wyraźnym ożywieniem. Alice ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że naprawdę dobrze się bawi.

Nie mogła go wyciągnąć z przyjęcia prawie do północy, a udało się to w końcu tylko dlatego, że inni goście zaczynali rozglądać się za Shadwellem i swoimi okryciami i nawzajem się ponaglać:

– Chodź, staruszk, jutro nabożeństwo o ósmej rano, nie zapomnij. – Oboje Unwinowie ucałowali Alice na pożegnanie. Zastanawiała się, czy mężczyzna o nazwisku Harleyford, z którym Clodagh akurat rozmawiała, jest nowym pomysłem lady Unwin na narzeczonego dla córki. Clodagh w przeciwieństwie do rodziców pomachała tylko do Jordanów i zawołała do Martina:

– Niech pan nie zapomni sprawdzić tych belek.

– O co jej chodziło? – spytała Alice w samochodzie.

– Kiedy była mała, razem z bratem wycięła przekleństwa na belkach w pokoju nad naszym garażem. Tak dla draki. Ale nie mogła sobie za nic przypomnieć, co to były za słowa.

Zaczął się śmiać.

– Była miła? – spytała Alice.

– Bardzo – odpowiedział wciąż się śmiejąc – bardzo zabawna.

W domu zastali Jamesa śpiącego w ich łóżku i ściskającego kurczowo koszulę nocną Alice. Gwen przeprosiła za to, ale poskarżyła się, że miała z chłopcem mnóstwo roboty tego wieczora. Martin zaniósł syna do jego pokoju, a potem odwiózł Gwen do domu. Alice przykucnęła na podłodze w pokoju Jamesa, czekając, aż dziecko znów zapadnie w głęboki sen. Siedziała ze spuszczoną głową, obejmując ramionami kolana, i rozmyślała bez entuzjazmu o przyjęciu. Kiedy Martin wrócił, wymknęła się z pokoju syna i weszła do sypialni.

Martin rzucał akurat swoje ubranie na oparcie krzesła.

– Dobrze się bawiłeś? Podobało ci się przyjęcie?

Miał na sobie tylko skarpetki i szorty. Zdjął jedną skarpetkę i upuścił ją.

– Było wspaniale – odpowiedział. Ściągnął drugą skarpetkę. – Nie sądzisz?

Przeszła obok niego i podeszła do szafki, gdzie trzymała ubrania. – Wydaje mi się, że radziłeś sobie nieco lepiej ode mnie

podczas obiadu.

– Och – wydawał się zadowolony. Rzadko flirtował, ale lubił, gdy z nim flirtowano. – Naprawdę tak uważasz?

– Uważam, że była potwornie niegrzeczna – odpowiedziała Alice z głową w szafce.

Martin zaczął nucić. Clodagh nie była wcale niegrzeczna dla niego.

– Daj jej trochę czasu...

– Jeśli będzie mi się chciało...

– Alice – powiedział Martin z nagłą powagą w głosie – nie możemy pokłócić się z Unwinami.

– Nie możemy?

– Nie. Nie możesz zachowywać się jak anarchistka. Wyszedł, żeby umyć zęby. Kiedy wrócił, Alice siedziała w swym żółtym szlafroku, szczotkując zawzięcie włosy. Zaraz po ślubie Martin uwielbiał patrzeć, jak to robi, teraz położył się do łóżka, prawie w ogóle nie zwracając na nią uwagi, i ułożył poduszki tak, jak lubił.

– Świetnie dziś wyglądałaś – stwierdził.

– Czułam się potwornie...

– Bzdura – odpowiedział sennie.

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Na niebie jasny księżyc świecił ostrym światłem, a cień płotu odznaczał się czarnym prostokątem na tle srebrnej trawy.

Tak bardzo chciałabym być wolna, pomyślała niespodziewanie. Jestem tak zmęczona sobą i całą tą zagmatwaną sytuacją. Chciałabym...

– Chodź do łóżka – poprosił Martin.

Opuściła zasłony i przeszła przez pokój, by położyć się koło męża. Przewrócił się na drugi bok, ułożył tuż za nią i objął dłonią jej pierś. Zesztywniała nieco.

– Dobra, dobra – powiedział Martin i odsunął się. – Dobranoc.

Wyciągnęła rękę, by wyłączyć nocną lampkę. Snop srebrnego światła wpadł do pokoju przez przerwę w zasłonach.

– Martin. Przepraszam...

Zamruczał coś w odpowiedzi.

Odwróciła się na bok i leżała tak wpatrując się w ciemny pokój. Za oknem w dolinie zahukała sowa, a po chwili z buków nad Pitcombe Park odpowiedziała jej druga. Zaraz potem w korytarzu rozległ się płacz Jamesa idącego do sypialni rodziców.

– Po co chcesz iść do kościoła? – zapytał Martin. Oboje mieli lekkiego kaca, ponieważ Martin wypił sporo brandy, a Alice alkohol szkodził nawet w małych ilościach.

– Po prostu mam ochotę tam pójść. To wszystko. Wyjdę tylko na godzinę, a Charlie będzie i tak spał. Gdybyś tylko mógł wstawić jagnięcinę do piekarnika o wpół do dwunastej...

– Chciałem trochę popracować w ogrodzie...

– No to pracuj. Dzieci mogą wyjść razem z tobą.

– Ale jagnięcina...

– Wejdiesz z powrotem do środka. Zabierze ci to całe dwie minuty.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz iść. Nigdy przecież nie chodzisz do kościoła.

– Ale ja rozumiem – powiedziała Alice, nagle rozzłoszczona – dlaczego nie chcesz, żebym wyszła. Nie zaszkodzi ci, jak zajmiesz się dziećmi przez godzinę. Chcę być tam, gdzie jest spokojnie. Chcę pomyśleć.

– A może ja też chcę nad czymś pomyśleć?

– To idź na wieczorne nabożeństwo.

Po tych słowach Martin wyszedł do ogrodu trzaskając drzwiami, które nie zamknęły się i odskoczyły z powrotem. Alice spędziła dwadzieścia pięć minut, próbując ułożyć Charliego do snu, szukając brytfanny na mięso i brakującego kalosza Natashy oraz przekonując Jamesa, by zdjął wreszcie pidżamę i włożył ubranie. W końcu musiała biec do kościoła, który znajdował się na wzgórzu, i dotarła tam zasapana i w nieodpowiednim nastroju na spokojne rozmyślenia.

Średniowieczny kościół był skromny i solidny. Miał tylko nawę j prezbiterium, a okna pozbawione witraży przepuszczały z zewnątrz naturalne światło dnia. W zachodniej części znajdowała się słynna normańska chrzcielnica z wyrzeźbionymi na niej



scenami z życia Jana Chrzciciela. Ostatnia scena przedstawiała głowę świętego spoczywającą na półmisku. Panna Payne, która była odpowiedzialna za kościelne kwiaty, wolała zasłaniać tę rzeźbę mosiężnym dzbanem pełnym nawłoci, michałków czy ostróżek. Pan Finch, właściciel sklepu, czuwał nad książkami. Znacząco wcisnął Alice egzemplarz „Hymnów”.

Wybrała ławkę w ostatnim rzędzie. Klęczniki zostały ozdobione haftami przez mieszkanki Pitcombe dla uczczenia pięćdziesiątych urodzin królowej. Każdy z nich przedstawiał zwierzę, roślinę lub ptaka znad rzeki Pitt. Alice uklęka ostrożnie na wiązance kaczeńców. Przed sobą widziała plecy grupy osób, z których kilka udało jej się rozpoznać. Ponad nimi stał Peter Morris w sutannie i komży. Leniwie zastanawiała się, kto wyprał te śnieżnobiałe fałdy. Panna Pimm w swojej niedzielnej garsonce zaczęła grać trochę za prędko na organach. Wierni sztywno podnieśli się z ławek.

Trzymając modlitewnik, Alice pomyślała, jak bardzo jej ojciec cenił angielszczyznę Cranmera, autora takich tekstów. Przypomniała sobie nieoczekiwany, zaimprovizowany wykład Sama Meadowsa przy kolacji na temat ubogiego, banalnego i pozbawionego życia języka dzisiejszych książek do nabożeństwa. Pitcombe najwyraźniej przeciwstawiało się nowym trendom – modlitewnik, który trzymała w dłoniach, zawierał teksty napisane, jak zauważyła, w górnolotnym stylu z roku 1928. Na okładce widniała pieczęć: Kościół Świętego Piotra, Pitcombe, a pod spodem dłoń starszej osoby skreśliła starannym pismem: „Dar kochającej rodziny Hildy Bryce, w dowód jej pamięci”. Czy ktoś jeszcze, zastanowiła się Alice, czczył pamięć bliskich w ten sposób?

Nie zwracała specjalnej uwagi na to, co mówiono i śpiewano podczas nabożeństwa, nie słyszała też dokładnie, co Peter Morris, nie spiesząc się, przez dziesięć minut opowiadał o świętym Piotrze napominającym Rzymian, by wyzwolili się z grzechu i osiągnęli chlubną wolność dzieci Bożych. Powiedziała Martinowi, że chciałyby się zastanowić, ale nie myślała teraz o niczym. Po prostu siedziała i przyglądała się pobielonym ścianom oraz małym

pomnikom w kamieniu i mosiądzu wyrażającym ból po stracie niezrównanych mężów i ukochanych żon i córek. Obserwowała blade światło słoneczne wdzierające się do środka przez okna i rozjaśniające mosiężne końce pastorałów jak płomyki ognia.

A potem uklękła ze wszystkimi i razem z nimi czytała na głos modlitwę św. Chryzostoma.

– Wysłuchaj, o Panie, błagań i próśb twych sług, które uznasz dla nich za wskazane.

Jakie były, zastanawiała się Alice, je pragnienia oprócz tego, że chciała pozbyć się wreszcie troski o swoje wiecznie zmienne nastroje?

Wstała i podążyła za pozostałymi do wyjścia, a pani Macaulay powiedziała, że miło widzieć ją w kościele. Pan Finch uśmiechnął się niezbyt mądrze, zabierając od niej książki, a Peter Morris uścisnął serdecznie jej dłoń i poprosił o przekazanie pozdrowień Charliemu.

Kiedy dotarła do domu, wszyscy siedzieli wokół kuchennego stołu zastawionego kubkami i puszką herbatników.

Przy stole siedziała też Clodagh Unwin. Była blada i w niczym nie przypominała opanowanej młodej kobiety z poprzedniego wieczoru. Miała na sobie żółte rajstopy, ogromny szary sweter sięgający jej do połowy ud i szare zamszowe kozaki. Wstała, podeszła do Alice i kładąc dłonie na jej ramionach powiedziała:

– Przyszłam panią przeprosić. Zachowałam się okropnie zeszłej nocy.

– Ależ nie, skąd... – odpowiedziała przestraszona Alice.

– Tak – upierała się Clodagh. – Zachowałam się strasznie. Mama prosiła mnie, żebym była dla pani wyjątkowo miła, ale pogniewałam się na nią o jakiś niewart nawet pamięci drobiazg, więc zamiast tego byłam wyjątkowo okropna.

Alice odsunęła się od niej nieznacznie.

– To nie ma znaczenia – stwierdziła. – Była pani bardzo miła dla Martina.

Zza stołu zadowolony Martin parsknął śmiechem.

– Och, proszę – powiedziała Clodagh. Alice rzuciła na nią

szybkie spojrzenie i zobaczyła, że oczy dziewczyny są pełne łez.

– Proszę nie przesadzać. To nie ma znaczenia. Nie zwróciłam na to uwagi.

– Sama nie wiem – Clodagh uśmiechnęła się niepewnie – czy nie czuję się przez to jeszcze gorzej.

– Chodź, Allie – odezwał się Martin. – No chodź. Napij się kawy.

Alice rzuciła płaszcz na oparcie krzesła i wyciągnęła rękę po fartuch zawieszony na drzwiach do holu.

– Muszę obrać ziemniaki na lunch...

– Ja to zrobię – powiedziała Clodagh biorąc fartuch.

– Obieram ziemniaki.

James, który uznał, że Clodagh jest zachwycająca, chichocząc przysunął sobie krzesło do zlewu, tak by podczas obierania ziemniaków móc chlapać naokoło wodą. Natasha, poczuwszy nagłą chętkę na kozaki Clodagh, została przy stole, by obmyślić plan, jak by je tu przymierzyć, choćby nawet były za duże. Wiedziała, że są za duże, lecz mimo to... Alice, jeszcze nie przekonana, poszła przynieść ziemniaki ze spiżarki, obieraczkę z szuflady i rondel. Wrzuciła ziemniaki do zlewu, a Clodagh złapała ją za nadgarstek.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała z jakąś natarczywością, a jej ciekawe szarozłote oczy błyszczały napięciem.

– Czułam się przez panią jak idiotka zeszłej nocy – powiedziała Alice – i podobnie czuję się teraz. Nie podoba mi się to. To wszystko.

Clodagh puściła jej nadgarstek. Głosem tak cichym, że tylko Alice mogła usłyszeć, powiedziała:

– Była pani wczoraj jedyną osobą, która n i e zachowywała się jak idiotka.

Alice wyszła po marchew i torebkę mrożonego groszku. Kiedy wróciła do kuchni, Martina znowu nie było. James i Clodagh śpiewali i opryskiwali się wodą przy zlewie, a Natasha bez prośnienia zaczęła dość nieporadnie nakrywać do stołu.

– Clodagh zostaje – powiedziała Natasha. – Tatuś ją zaprosił.

Clodagh odwróciła się.

– Nie zostanę, jeśli pani tego nie chce.

– Ależ proszę zostać. Lunch będzie całkiem zwyczajny...

– Jest pani naprawdę uprzejma.

Natasha stanęła na palcach, by dosięgnąć ucha matki.

– Strasznie podobają mi się jej buty.

– Są bardzo eleganckie.

Nie odwracając się, Clodagh zrzuciła je i popchnęła do tyłu.

– Przymierz – powiedziała.

Natasha zapiszczała z uciechy. James objął Clodagh w talii bojąc się, że kozaki mogłyby stać się podstawą więzi pomiędzy nią i Natasha. Pocałowała go w głowę, a on spojrzał na nią z zachwytem.

– Nie masz nawet pojęcia – powiedziała – jak niemożliwe są amerykańskie dzieci. Znałam jednego chłopca, który przychodził do naszego mieszkania obładowany zabawkami i kiedy zaczynałaś podziwiać choćby najmniejszą rzecz, zaraz krzyczał wniebogłosy: nie dotykaj, okay?

Jamesowi wydało się to niesamowicie śmieszne.

– Nie dotykaj, okay, nie dotykaj, okay, nie dotykaj, okay...

– Popatrzcie... – szepnęła zachwycona Natasha, pochylając się nad swymi stopami.

– Wyglądasz jak Kot w butach.

– Uwielbiam je – spojrzała na Clodagh. – Czy są amerykańskie?

– Jasne, maleńka – odpowiedziała Clodagh naśladowując amerykański akcent – Henry Bendel ni mniej, ni więcej.

Martin wrócił do kuchni z butelką wina. Nucił coś pod nosem. Pocałował żonę w policzek idąc po korkociąg i drugi raz w drodze po kieliszki. Alice roześmiała się.

– Czujesz się lepiej?

– Tak – odpowiedziała ze zdziwieniem.

– Myślę, że to kościół poprawił ci samopoczucie – stwierdziła Natasha głaszcząc kozaki. – Od tego chyba jest.

Wyglądała na niezwykle zadowoloną, gdy wszyscy się

roześmieli, i powiedziała używając słów Gwen:

– No cóż, dziś jest mój dzień i kropka.

Martin nalał wina sobie, Clodagh i Alice. Clodagh skończyła obierać ziemniaki, postawiła je na ogniu i wygarnęła obierki ze zlewu do kosza na śmieci. Alice przyglądała się jej.

– Czy tak dobrze? – spytała Clodagh. Podwinęła rękawy swetra i stała tak na bosaka, jak szarozółty ptak.

– Wspaniale. Po prostu mieszkanka Nowego Jorku nie kojarzy mi się z...

– Och – odpowiedziała szybko Clodagh, uśmiechając się do Alice. – Zawsze robiłam tego typu rzeczy. Szorowałam podłogi i tak dalej w ramach terapii, kiedy wszystko dokoła waliło mi się na łeb.

Obeszła stół i podeszła do obierającej marchew Alice, spoglądając na nią uważnie.

– Cześć – powiedziała. Alice szybko upiła trochę wina.

– Czy to następny rodzaj gry? Jak zeszłej nocy?

– Nie – odpowiedziała Clodagh. – Jestem na siebie wściekła za wczorajszy wieczór.

Ręce Alice trzęsły się. Odstawiła niepewnie kieliszek.

– Nie poznałaś jeszcze mojego małego.

– On jest taki słodki – powiedziała Natasha, patrząc w zamyśleniu na swe stopy. – Najmilszy bobas w mojej klasie.

Clodagh opuściła wzrok i pozwoliła Alice odejść.

– Pójdziemy go poszukać? – zapytała.

Dzieci rzuciły się w jej kierunku i złapały za ręce.

Natasha szurała nogami w za dużych butach, ale nie poddawała się. Wyszli we trójkę z pokoju i Alice usłyszała gwar głosów oddalających się w górę po nie wyłożonych dywanami schodach. Nucąc od niechcienia przyniosła rondel, włożyła marchew i postawiła obok garnka z ziemniakami Clodagh.

Fakt, że Alice nie słuchała kazania, nie umknął wcale uwagi Petera Morrisa. Spostrzegł również, że prawie nigdy nie przychodziła do kościoła po to, by obcować z Bogiem. Nie był to szczególny przypadek w jego parafii. Powody, dla których wierni odwiedzali świątynię, wydawały mu się tak rozmaite, małosłowne i dziwaczne, jak te, które trzymały ich z daleka od kościoła. Składając starannie stulę po nabożeństwie, Peter doszedł do wniosku, że Alice przyszła tu tylko dlatego, iż godzina w kościele umożliwia jej oderwanie się na chwilę od codziennego życia, zatrzymywała czas. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. I na pewno, gdy ona tak tu siedziała, bujając gdzieś myślami, jej przyzwoity młody małżonek – dobry materiał na głowę rodziny – uprawiał ogród i pilnował dzieci. Peter westchnął. Jordanowie wydawali mu się typowym dla końca dwudziestego wieku związkiem emocji i wyobraźni z jednej strony i anglosaskiej awersji do intensywnych uczuć z drugiej. Sojusz ludzi kulturalnych i samotnych.

Mieszkańcy rzecz jasna obserwowali dokładnie, co się dzieje. Nawet stary Fred Mott, wyglądający każdego dnia ze swojego okna obok poczty, widział na tyle dobrze, że powiedział z aprobatą podczas cotygodniowych odwiedzin Petera Morrisa:

– Niezła sztuka. Dopiero będą się gapić.

– Kto? – zapytał Peter. – Kto będzie się gapił?

– A wszystkie te stare śmierdziele. Stare torby.

Jego małe wilgotne usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Jesteś starym łajdakiem, Fred.

– Nawet w połowie nie takim, jakim byłem w młodości. Nawet w połowie.

Nietrudno było oczywiście dostrzec, że Alice coś gnębiło. O wiele trudniej było jej pomóc. Wśród mieszkańców, z którymi rozmawiał, przeważała opinia, że Pan Bóg dał Alice aż za wiele –

śliczny dom, sympatycznego męża, kochane dzieci i aż nadto pieniędzy. Tak więc pomoc w sklepie i przy układaniu kwiatów była po prostu jej obowiązkiem, biorąc pod uwagę, gdzie mieszkała i co posiadała. Rosie Barton, która razem z mężem Gerrym prowadziła małą dochodową firmę komputerową w Salisbury i miała bardzo zdecydowane poglądy na to, jakim miejscem powinno być Pitcombe, powiedziała udając głębokie zrozumienie, że Alice musi się po prostu nauczyć życia w wiejskiej społeczności. Peter zauważył, że Wilton nie było przecież dużym miastem. Rosie przytaknęła, lecz jednocześnie stwierdziła, że stopień zaangażowania się w życie małego miasteczka jest jedyny w swoim rodzaju. Peter nie powiedział nic więcej. Wydawało się, że dziecko Bartonów, niespokojny czterolatek, którym opiekowały się kolejne nianie, nigdy nie wymagało od rodziców takiego „zaangażowania” jak sklep czy życie w miasteczku. No i Bartonowie chodzili do kościoła.

Peter Morris wiedział, że Alice byłaby zdumiona wiedząc, jak się nią interesowano i ile o niej wiedziano w miasteczku. Peter sam był zdziwiony, gdy świeżo po przeprowadzce na wieś w hrabstwie Suffolk zdał sobie sprawę, że każdemu rozwieszanemu praniu, każdemu złożonemu zamówieniu na warzywa towarzyszyło zawsze ciekawskie spojrzenie i wyciągnięcie odpowiednich wniosków. Kiedy słyszał kogoś mówiącego w sklepie: „Ona dba o dzieci”, wiedział, że częstotliwość pojawiania się sznurów powiewających skarpet i majtek w sadzie Grey House nie uszła uwagi.

Nawet możliwość modlitwy i rozmowy z wielkim Admiralem tam w górze nie przesłaniała Peterowi Morrisowi faktu, jak bardzo jest samotny. Nie miał nigdy zamiaru pozostać wdowcem tak długo – po dwóch latach małżeństwa żona zachorowała na raka i zmarła dokładnie cztery miesiące po rozpoznaniu choroby. Nigdy nie znalazł drugiej kobiety, z którą mógłby rozmawiać tak swobodnie jak z Mary. Był tego bliski w Suffolk zaprzyjaźniając się z osobą, która w ostatniej chwili zdecydowała, że nie może zostać żoną pastora. A potem, co było dość dziwne, znalazł

wspaniałą przyjaciółkę w osobie Lettice Deverel z Pitcombe. Lettice miała ponad siedemdziesiąt lat, była inteligentną erudytką i socjalistką w stylu G. B. Shawa. Trzymała harfę w zagraconym pokoju wypoczynkowym i zieloną papugę amazońską w kuchni i nie miała ani chwili czasu na zadzieranie nosa. W ciągu ostatnich trzech lat Peter Morris chodził do jej położonej w najwyższym punkcie miasteczka willi w stylu regencji z każdym ważniejszym problemem. Nawet jeśli twierdziła, co robiła dość często, że nie wie nic o niedorozwiniętych dzieciach, neurotycznych starych pannach, przekwitaniu mężczyzn czy też innym aktualnym problemie – potrafiła słuchać, nie przerywając pieczenia chleba lub sadzenia pelargonii, a on, rozmyślając na głos, sam dochodził do jakiegoś rozwiązania.

Różaną Willę wypełniały zbiory będące odzwierciedleniem zainteresowań i kultury umysłowej ich energicznej właścicielki. Będąc młodą kobietą Lettice Deverel pracowała w międzynarodowej szkole w Szwajcarii, gdzie sama nauczyła się jeździć na nartach w brązowych skórzanych długich butach – potwierdzała to równie brązowa fotografia. Później wróciła do Anglii, by uczyć w Ośrodku Kształcenia Robotników, następnie została bibliotekarką słynnego zbioru dotyczącego historii kobiet w Anglii. Przez całe życie malowała, gotowała, uprawiała ogród, pisała, czytała, podróżowała, hodowała zwierzęta i prowadziła pamiętnik. Grała na pianinie i harfie. Zawsze mieszkała sama i umiała stworzyć wokół siebie szeroki krąg uwielbiających ją przyjaciół. Kiedy do grona tego dołączył Peter Morris, powiedziała mu, że jest agnostyczką i nigdy do tej pory nie знаła dobrze żadnego księdza. Odpowiedział, że w takim razie będzie miała okazję czegoś się dowiedzieć.

– Ale nie pozwolę, by wciągał pan Boga do wszystkich naszych rozmów – powiedziała całkiem serio.

– No cóż, jemu to nie będzie przeszkadzało, jako że nic go bardziej nie irytuje niż brak jakiejkolwiek reakcji – odpowiedział.

To był dobry początek. Trzy lata później, w cotygodniowym wirze drobnych spraw, przeżywali razem dezercję Clodagh Unwin



do Ameryki, śmierć bezwzględnej acz szanowanej matki panny Pimm, wypadek motocyklowy okaleczający najinteligentniejszego chłopca w miasteczku, niewytłumaczalne zgony niemowląt, tragedię dzieci z zespołem Downa, rozbite małżeństwa, pijaństwo, bezrobocie, pożary, powodzie i zarazy. Problem Alice Jordan wydawał się Lettice Deverel raczej drugorzędny. Zagniatając ciasto powiedziała:

– Oczywiście nie przejmowałbyś się nią, gdyby była brzydsza.

– Dzień dobry – powiedziała papuga ze swej klatki. – Cóż za śliczna papuga.

– Być może – odpowiedział Peter Morris, któremu nigdy nie przeszkadzało, gdy ktoś odkrywał jego prawdziwe pobudki – nie przejmowałbym się tak bardzo.

– To może być równie dobrze bardzo rozpieszczona młoda kobieta. A oczywiście takie osoby prędzej czy później muszą zaznać goryczy.

– Nie sądzę, żeby była rozpieszczona. Myślę, że jest nieszczęśliwa, ale to chyba nie rozgoryczenie. Oczywiście może być też zawiedziona. Na przykład małżeństwem.

Lettice Deverel spotkała Martina kilka razy w miasteczku. Raz rozsypała mąkę przed sklepem, a on pomógł z wielką wytrwałością zgarnąć ją do rynsztoka. Parsknęła lekko.

– Angielski system prywatnych szkół...

– Tak?

– ... uniemożliwia większości mężczyzn rozpoznanie i zaakceptowanie stanu ich umysłów. Sprawia, że nie potrafią wyrażać swych uczuć. – Trąciła Petera umazanym mąką palcem. – Że boją się kobiet. Doprowadza tych wszystkich, którzy idą do szkoły w Winchester, do szaleństwa.

– Martin Jordan był chyba w Rugby.

– No więc wszystko jasne.

Wrzuciła kawałki ciasta w kształcie kiełbasek do formy i wstawiła je do swego staroświeckiego piekarnika, by urosły.

– Jeśli próbujesz zmusić mnie, żebym doszła do wniosku, iż powinieneś pójść z nią porozmawiać, to masz pecha. Lepiej to

zostaw.

– Śmiać się jak papuga z kobziarza – odezwała się papuga. – Dzień dobry. Kupiec wenecki. Śliczna papuga.

– Widzisz, ona jest całkiem niezłą malarką – powiedział Peter – i nie chce malować. Albo nie może.

– Sztuka to nie stolarka. Morris wstał.

– Dlaczego tak się uwzięłaś na Alice Jordan?

– Nic podobnego. Zawsze ją podziwiałam za to, jak daje sobie radę w miasteczku. Zauważyłam i to, o czym mówiłeś. Ale ja nie wymyślam sentymentalnych, fantastycznych teorii na jej temat. Zostaw ją. Ona ma swoją dumę. A teraz wyjdź ze mną i obejrzyj moją kamelię. Myślałam, że mróz zniszczy ją doszczętnie. Jestem pewna, że nigdy nie widziałeś takich pędów...

Ostatni tydzień wiosennych ferii był ciepły i przyjemny. Słońce przygrzewało mocno poprzez nagie gałęzie drzew. Pitcombe zaczęło zdejmować uszczelnienia z drzwi i okien, a na progach pojawiły się rośliny w doniczkach, by jak inwalidzi zaczerpnąć trochę rześkiego powietrza.

Lettice Deverel uprała koce z łóżka na znak wiosennych porządków i zaczęła znów chodzić na spacer. Nie robiła tego zimą mówiąc, że chodzenie nie ma żadnego sensu, jeśli cały czas trzeba patrzeć pod nogi, a nie na krajobraz. W butach na gumowej podeszwie, podpierając się laską, wyruszała prawie każdego popołudnia w określone miejsce, a miasteczko, obserwując jej wyprawy, komentowało z uśmiechem, że wiosna na pewno już przyszła, skoro panna Deverel znów rusza w drogę. Wnuk Freda Motta, Stuart, wiecznie biorący udział w konkursach bezrobotny ogrodnik, wykorzystywał często te spacer, by podjechać z taczka do polnej dróżki niedaleko Różanej Willi, gdzie nie był zbyt widoczny, i nabrać trochę wyśmienitego, dobrze już zbutwiałego kompostu.

Czasami Lettice wspinała się na wzgórze i szła wzdłuż granic Pitcombe Park. Czasem spacerowała nad rzeką lub odwiedzała King's Harcourt i Barleston przechodząc ścieżkami do konnej jazdy przez pola. Jej ulubiona trasa wiodła jednak wzdłuż leżącej

wyżej granicy ogrodu Grey House. Skręcała w lewo na zboczu wzgórza, w dole płynęła rzeka, a przed nią rozpościerał się widok na dolinę. Zauważyła z aprobatą, że ramy okien domu zostały pomalowane i że ktoś wreszcie przyciął sprawiający przygnębiające wrażenie żywopłot, na który John Murray-French po prostu nie zwracał uwagi. Na trawniku przed kuchennymi drzwiami pojawiła się nowa piaskownica, rower na trzech kółkach i cieszący oko sznur pełen bielizny. Lettice nigdy nie chciała wyjść za mąż, ale zawsze była gorącą zwolenniczką rodziny.

Na polach za Grey House słyszała bawiące się dzieci. Zeszła trochę niżej, by widzieć rzekę, i zobaczyła w dole Alice Jordan i Clodagh Unwin siedzące na trawie z koszykiem i małym dzieckiem. Obok chłopiec i dziewczynka skakali przez pień zwalonej wierzby. Scena ta, pomyślała Lettice, mogłaby posłużyć za temat do wiktoriańskich obrazów rodzajowych, od których to zaczęła się jej artystyczna edukacja. Alice miała na sobie coś niebieskiego, a Clodagh owinęła się dziwnym żółto-czarnym płaszczem. Lettice, która znała Clodagh od dziecka i uważała ją za bardzo rozpieszczoną i jednocześnie najoryginalniejszą z całej trójki dzieci Unwinów, zastanawiała się, czy powinna zejść ze zbocza, podejść do nich i zostać oficjalnie przedstawiona Alice Jordan.

Ale obie kobiety wydawały się tak pochłonięte rozmową, że zrezygnowała i powędrowała dalej z laską w ręku i wzrokiem skierowanym stanowczo na wschód.

– Czy nie chciałabyś się czegoś o mnie dowiedzieć? – zapytała Clodagh.

Miała pod płaszczem długi sznur bursztynów, który teraz zdjęła i dała Charliemu. Mały ochoczo zaczął bawić się nimi.

– Umieram z ciekawości – odpowiedziała Alice – ale sądziłam, że przyjęło się o takie rzeczy nie pytać.

– Nie pytać o co?

– O Nowy Jork.

– Jezu – powiedziała Clodagh. – A dokładniej? Alice oparła się na łokciu, zwracając twarz ku Charliemu i Clodagh. – No cóż.

Może źle zrozumiałam, ale powiedziano mi, że romans, który mógł zakończyć się małżeństwem, nie wypalił i wróciłaś do domu ze złamanym sercem.

– Ze złamanym sercem? – zdziwiła się Clodagh. – Ha! Małżeństwo. No, wiecie co.

Alice czekała. Charlie machał bursztynami w prawo i lewo i pokrzykiwał coś do nich podnieconym głosem.

– Rozumiem – powiedziała Clodagh. – Jestem zatem biedną porzuconą narzeczoną, tak?

– Ja nie wiem – odrzekła Alice. – Ja nic nie wiem. I jeśli nadal chcesz być taka tajemnicza, to nigdy się nie dowiem.

Zapadła cisza. Po chwili Clodagh stwierdziła:

– Nie chcę być tajemnicza. Nie w stosunku do ciebie. Alice położyła się na trawie i czekała. Od przyjęcia w Pitcombe Park minęło już dziesięć dni, w ciągu których widziała się z Clodagh osiem razy. Dziewczyna ciągle przychodziła do Grey House pod jakimś pretekstem, przynosząc ze sobą burego kotka i poprawiając nastroje domowników. To ona zaproponowała ten piknik, podobnie jak szereg innych rzeczy – zawieszenie zasłon w salonie, uczenie się piosenek przy jej gitarze, robienie krówek, wspinanie się na jabłoń – co jak wyraźnie czuli, znacznie urozmaiciło ich życie.

– Był romans – powiedziała Clodagh – i rzeczywiście się skończył. Ale to ja go skończyłam.

Alice spojrzała w bok. Na tle nieba widziała głowy Charliego i Clodagh.

– Więc nawet jeśli jest ci smutno, to byłoby ci jeszcze gorzej, gdybyś to ty została porzucona.

Clodagh nie odwróciła się.

– W ogóle nie jest mi smutno. Dziękuję Bogu, że już po wszystkim. Dusiałam się w tym związku. Nie mogłam wyjść nie mówiąc dokąd, nie mogłam zadzwonić nie mówiąc do kogo, nie mogłam kupić nawet skarpetek bez ciągłych pytań, na kim chcę zrobić nimi wrażenie. A ponieważ po przerwaniu pracy byłam praktycznie utrzymywana, nie miałam właściwie możliwości

sprzeciwu.

– Więc on chciał się z tobą ożenić?

Clodagh odwróciła się nagle i położyła na brzuchu, twarzą w twarz z Alice.

– Nie było mowy o małżeństwie.

– O Boże! Był żonaty?

Clodagh podniosła wzrok, tak by patrzeć wprost na Alice, oddzielona od niej stopą trawy.

– Alice – powiedziała – to była kobieta. Oto dlaczego.

Alice poczuła, że brakuje jej tchu.

– Mój kochanek był kobietą – powtórzyła Clodagh. Alice usiadła.

– Więc cała ta historia o prawniku milionerze była jedynie na pokaz...

– Ona była milionerką. To znaczy jest. I prawniczką. I ożeniłaby się ze mną jak najszybciej. Ale w końcu mało mnie nie pożarła. Więc musiałam odejść.

– Clodagh...

Clodagh usiadła i objęła Alice ramieniem ponad głową Charliego.

– Jesteś zgorszona?

– Nie – powiedziała Alice. – Tak. Nie wiem... – Spojrzała na Clodagh. – Czy ty nienawidzisz mężczyzn?

– Och, Alice... – Clodagh zaczęła się śmiać.

– Zamknij się – powiedziała ze złością Alice, uwalniając się z jej objęć.

– Posłuchaj – zaczęła Clodagh. – Bardzo lubię mężczyzn. Nie sypiam z kobietami, bo muszę. Robię to, bo taki jest mój wybór. Każdy z nas może wybierać, ty, ja, każdy...

Charlie przewrócił się na bok i zaczął energicznie czołgać się w dół po trawiastym zboczu w kierunku rodzeństwa. Alice poruszyła się, jakby chciała za nim iść, ale Clodagh przytrzymała ją.

– Wszystko w porządku. Jak będzie trzeba, pójdziemy za nim. Jeszcze nie skończyliśmy.

– Nie wiem, co mam myśleć.

– Więc nie próbuj.

– Powiedz mi...

– Co?

– Och, Clodagh, nie wiem, nie... po prostu powiedz mi... powiedz mi, co się stało, co się z tobą stało...

– Nic się nie stało. Zanim przekroczyłam dwudziestkę, sypiałam z chłopcami i dziewczynami – najpierw oczywiście z dziewczynami z powodu internatu – i wołałam dziewczyny. Nic mi się nie stało, chyba że nazywasz wypadkiem odkrycie, iż woli się dziewczyny. Miałam dwa romanse z prawdziwego zdarzenia, pierwszy z pisarką w Londynie, a potem ten drugi z amerykańską prawniczką, którą poznałam przez moją kochankę i jakąś sprawę o zniesławienie dotyczącą jej książki. Pierwszy romans był zdecydowanie lepszy, ponieważ byłyśmy sobie bardziej równe, a ja nie lubię czuć się zobowiązana. Gdyby mi to odpowiadało, wtedy prawdopodobnie wołałabym seks z mężczyzną. Zaangażowałam się w ten interes w Nowym Jorku. Byłam kompletnie zbita z tropu całym tym przepychem, concorde'ami, nartami w Aspen i tak dalej, a kiedy czar prysł, siedziałam w tym już po szyję, w pracy, w tym zdumiewającym mieszkaniu, związana z tą szaloną kobietą. Wszyscy jej przyjaciele mówili mi, że ona się zabije, jeśli odejdę. Więc zostałam. A potem zdałam sobie sprawę, że jeśli nie wyjadę, to ja sama się zabiję. Więc wyjechałam. I rzeczywiście próbowała się zabić, ale na czas zawieziono ją do szpitala i wyplukano żołądek. A potem poprzednia kochanka, która i tak zawsze chciała jej powrotu, zabrała ją na Florydę.

Natasha przybiegła potykając się, żeby powiedzieć, że James ma rękę w kaloszach.

– Powiedz mu, żeby zdjął je i bawił się na bosaka – Alice była zdumiona, że jej głos brzmi tak normalnie.

– A Charlie zjada różne rzeczy. Chyba nawet zjadł biedronkę...

Clodagh roześmiała się. – Wypluł ją?

– Nie. Chyba pogryzł... Alice zaczęła się podnosić.

– Może powinniśmy już wracać...

– Nie – poprosiła Natasha. – Jeszcze nie, proszę. Płyniemy statkiem. Proszę cię.

Tanecznym krokiem podbiegła znów do zwałonego drzewa. Alice patrzyła za nią zachłannym, pełnym miłości wzrokiem.

– Kochałaś ją?

– Oczywiście – odpowiedziała Clodagh. – Na początku. No, przynajmniej byłam zakochana. – Spojrzała z uśmiechem na Alice. – Sugerujesz, że robię to tylko dla seksu?

– Oczywiście, żenię...

– Alice – powiedziała Clodagh głosem pełnym tkliwości – ty o niczym nie masz pojęcia, prawda?

Alice nie odpowiedziała.

– Masz męża, troje dzieci, ale nawet się jeszcze nie przebudziłaś. Nie masz pojęcia, jak żyć i jaka jesteś cudowna.

– Przestań się poniżać – powiedziała ze złością Alice dławiąc się łzami. – Życie nie jest wesołą karuzelą dla rozwiązłych bogaczy. Życie to dawanie sobie rady, dźwiganie codziennych trudów, troska, by wszystko jakoś szło naprzód...

– O mój Boże – Clodagh zakryła twarz dłońmi. Po chwili opuściła je i powiedziała najłagodniej jak umiała: – Moja biedna mała Alice.

– Nie jestem biedna. I przestań traktować mnie protekcjonalnie.

– Uwierz mi – powiedziała Clodagh – że to ostatnia rzecz, którą bym zrobiła.

Alice zaczęła rwać źdźbła trawy, jakby wyszarpywała komuś włosy z głowy.

– To t y nie wiesz, po co się żyje. Ty nie żyjesz, ty po prostu spędzasz czas. Chcesz tylko dobrej zabawy...

– Och – powiedziała Clodagh wcale nie przejęta. – I znowu ta purytańska etyka. Rozumiem. – Rozłożyła się na trawie i delikatnie acz stanowczo złapała rozdygotaną dłoń Alice. – Jeśli ja aż tak się myślę, a ty masz całkowitą rację, to dlaczego jesteś taka zła i nieszczęśliwa?

– Nieprawda...

– Alice.

Alice wyrwała dłoń, objęła ramionami kolana i oparła na nich głowę.

– Tak bardzo się starałam... – powiedziała przytłumionym głosem.

– Może za bardzo.

– Nie możesz chyba powiedzieć, że moim dzieciom czegoś brakuje...

– Oczywiście, że nie. Ale one nie będą z tobą zawsze, a siebie masz na całe życie.

– Brzmi to trochę jak typowe, amerykańskie pseudopsychologiczne frazesy o życiu dla samego siebie...

Clodagh milczała przez chwilę, po czym wstała i jej głos dobiegł do Alice z pewnej odległości.

– Jeżeli nie jesteś szczęśliwa sama ze sobą, to marny z ciebie pożytek dla innych. Sądzę, że to powinno zadowolić nawet twoją purytańską skłonność do umartwiania się.

A potem zeszła po zboczach, by pobawić się z dziećmi. Zachwycone, pozwoliły jej wejść na pokład statku i żeglować z nimi przez trawiaste morze. Ponad ich głowami, z sercem pełnym kłębiących się uczuć – wściekłości, ulgi, cierpienia i podniecenia – Alice siedziała tam, gdzie zostawiła ją Clodagh, i zalewała się łzami.

Kiedy wróciły do domu koło piątej, Clodagh z Charliem w ramionach, a Alice z koszykiem w ręku, zastały na podjeździe Cecily czytającą czasopismo w samochodzie. Natasha i James, ogarnięci na jej widok szalem radości, podbiegli piszcząc do babki, ale Alice po raz pierwszy poczuła z niepokojem, że była mniej uradowana, niżby się tego spodziewała.

– Moja teściowa – poinformowała Clodagh i podążyła za dziećmi.

Cecily wysiadła z samochodu cała w uśmiechach i uściskała wnuki. Nie zwróciła uwagi na powściągliwość Alice i ją też przytuliła ze zwykłą sobie czułością, pocałowała Charliego i przywitała się z Clodagh. Nigdy przedtem tego nie robiła, nigdy nie przyjeżdżała bez uprzedzenia pod wpływem impulsu – to była



jedna z jej zasad – ale nigdy do tej pory nie czuła się tak pozbawiona kontaktu, tak... wyłączona z życia Alice, jak ostatnio. Telefon milczał jak zaklęty, czego nie usprawiedliwiał nawet nie najlepszy stan zdrowia synowej. Kiedy próbowała po głębokim namyśle dzwonić, nikt nie odpowiadał albo telefon odbierała Gwen mówiąc z irytującą afektacją: „Rezydencja pani Jordan”. A potem zawile i niepotrzebnie w sposób bardzo dyskretny informowała ją, gdzie Alice właśnie wyszła.

– Kochanie, powinnam była zadzwonić...

– Ależ nie – odpowiedziała uprzejmie Alice.

– Wejść i nastawię wodę – powiedziała Clodagh i zniknęła w drzwiach z Charliem na biodrze i pozostałą dwójką podążającą za nią w podskokach.

Cecily obserwowała ją.

– Czy to córka Unwinów z Parku?

– Tak. Najmłodsza.

Cecily chciała powiedzieć, że Clodagh sprawia wrażenie bardzo tu zadomowionej, ale się powstrzymała. Objęła Alice ramieniem.

– Cudownie znów cię widzieć. Tak bardzo chciałam zobaczyć, jak sobie radzisz z domem. No i pomyślałam sobie, Boże, wakacje już się kończą...

– Byliśmy bardzo zajęci – powiedziała Alice. – Nie wiem, dlaczego przeprowadzka zajmuje całe życie, ale tak jest.

– A co z pomocą dla ciebie?

– Nie jest mi potrzebna.

– A urlop?

– Naprawdę – w głosie Alice zabrzmiała nutka zniecierpliwienia – nie potrzebujemy teraz urlopu.

– Jest jeszcze Martin oprócz ciebie – odpowiedziała Cecily, opuszczając ramię i podchwytyjąc ton synowej.

– Chodź do środka i napij się herbaty – zaproponowała Alice ruszając w stronę domu.

Kuchnia wyglądała na pewno bardzo wesoło. Na kredensie stał niebieski dzbanek z żółtymi tulipanami, a James i Natasha

wykładali na chybił trafił talerze i kubki na żółty obrus w kwiaty. Charlie siedział już w swoim wysokim krzeselku ogryzając marchewkę, a przy oknie, nadal w swoim płaszczu czarnoksiężnika, Clodagh kroїła i smarowała masłem chleb z rodzynekami. Na piecu stał czajnik, a górna połowa drzwi była otwarta. W rzeźbionym krześle przy ogniu bury kotek spał na biało-niebieskiej poduszce. Wszystko było tak, jak być powinno, i widok ten sprawił, że Cecily zrobiło się ciężko na sercu.

W drodze do Grey House zatrzymała się w sklepie i na pocztę w Pitcombe. Nie wiedziała dokładnie, dlaczego to zrobiła ani dlaczego odezwała się z wielkim ożywieniem do pana Fincha:

– Jadę do Grey House. Jestem matką pana Jordana, rozumie pan.

W sklepie była wtedy pani Macaulay, jak również żona Stuarta Motta – Sally. Pani Macaulay obrzuciła zawistnym spojrzeniem szykowne ubranie Cecily – to by dopiero była frajda móc wydawać tyle na stroje – a Sally Mott, która miała szczerze dosyć niepracującego i płaczącego się jej pod nogami cały czas męża, podeszła do starszej pani i zapytała, czy przypadkiem pan Jordan nie potrzebuje pomocnika do ogrodu, bo Stuart ma właśnie trochę czasu...

Cecily była zachwycona. Propozycja była zgodna z jej chęcią pomagania Alice i dawała jej dobrą wymówkę, by odwiedzić Grey House bez zapowiedzi i udawania, że wpadła po drodze jadąc gdzie indziej. Wzięła numer telefonu Sally, kupiła dwie puszki karmy dla psa – nie tej, zauważyła pani Macaulay, jaką lubiły jej dziewczynki – oraz pudełko czekoladek i wyszła zostawiając za sobą woń „Arpege”, która oszołomiła pana Fincha. Wziął z rąk pani Macaulay proszek do prania i pudełko aspiryny i usłyszał swój własny głos pytający: „To wszystko?” podczas gdy serce śpiewało w nim słowami Swinburne’a: „Kwiecie o woni męstwa z mej duszy jak promienie wybujało”.

Teraz Cecily położyła czekoladki na stole obok dzbanka z mlekiem. James łakomie wytrzeszczył oczy, a Charlie używając swej marchewki jak batuty, wskazał na słodczyce i zakwilił

nagląco. Clodagh przestała smarować chleb masłem i jednym skrzydlatym ruchem odzianego w płaszcz ramienia schowała pudełko do kieszeni.

– Po podwieczorku.

– Teraz, teraz, teraz – zażądał James.

– Po podwieczorku.

– Teraz ...

– James – powiedziała Alice. – Znasz przecież reguły.

– Bardzo przepraszam – powiedziała sztywno Cecily. Rozejrzała się po pokoju. – Bardzo tu ładnie. I co za wspaniały pomysł, żeby wziąć sobie kotka.

Natasha wślizgnęła się na krzesło koło babci.

– Nazywa się Balon, bo ma taki duży brzusek. Clodagh mówi, że wszawo całuje.

Po drugiej stronie stołu James zaczął chichotać.

– Jeśli chodzi o mnie – ciągnęła Natasha – to go często nie całuję, bo jego oddech śmierdzi rybą.

– Bardzo się z tego powodu cieszę – powiedziała Cecily.

– Są jeszcze kury – powiedział James.

– Kury, kochanie?

– Mamy tuzin kurczaków – powiedziała Alice. – Skrzyżowanie White Leghorna z Light Sussex. Clodagh zna się na kurach, więc się od niej uczymy.

– Jeszcze nie znoszą jajek – powiedział James – ale będą mogły, jak urosną.

Cecily zmierzyła wzrokiem Clodagh.

– Cóż za wykształcona młoda osoba.

Clodagh postawiła talerz z posmarowanym chlebem na stole, podeszła do pieca i powiedziała coś cicho do robiącej herbatę Alice. Alice roześmiała się i odpowiedziała równie cicho.

Wróciły obie do stołu i zaczęły wyćwiczonymi zgranymi ruchami podawać dzieciom podwieczorek, krojąc chleb na małe kosteczki dla Charliego, smarując kromki Jamesa miodem, nalewając mleko do kubków. Alice podała Cecily filiżankę herbaty i usiadła obok.

– Kochanie – powiedziała Cecily. – Chyba znalazłam dziś dla ciebie ogrodnika. Ktoś o nazwisku Stuart Mott...

– To łobuz – odezwała się Clodagh.

– Wszyscy ogrodnicy to łobuzy – odpowiedziała Cecily – w mniejszym czy większym stopniu.

– Ten na pewno w większym.

– Ale czy zna się na ogrodnictwie?

– Myślę, że musi. Jest zwariowany na punkcie nagród, dyń jak hipopotamy, pnącej fasoli długiej na trzy stopy. Charlie Jordanie, jeśli zliżesz całe masło, to będziesz musiał zjeść sam chleb.

Uśmiechając się anielsko, Charlie położył chleb na swym stoliku i zaczął maleńkimi zgrabnymi paluszkami wydłubywać rodzynki.

Cecily zauważyła, że synowa nie odezwała się prawie słowem.

– Kochanie. Może jednak warto spróbować?

– Porozmawiam z Martinem – powiedziała wolno Alice.

– Tak bardzo bym chciała, żebyś przyjechała do Dummeridge. Ogród warzywny przeżywa swoją pierwszą prawdziwą wiosnę, a jako że ty byłaś obecna przy jego poczęciu...

– Alice – zdziwiła się Clodagh – czy ty jesteś ogrodniczką?

– Wiesz, że nie...

– Alice prześlicznie namalowała ilustrację na pierwszej stronie mojej książki. Była dla mnie pewnego rodzaju inspiracją...

– Musi pani uważać na moją matkę – powiedziała Clodagh wyciągając rękę, by uratować lepki nóż, który spadł z talerza Natashy. – Ona uważa, że pani jest geniuszem ogrodnictwa, ale bez żadnych skrupułów potrafi naginać ludzi do swojej woli. Zacznie pani przemawiać w Klubie Miłośników Ogrodów, gdzie i tak nikt nie będzie pani słuchał.

Cecily zwróciła się do zamyślanej Alice, kołyszącej w dłoniach filiżankę, z której piła.

– Kiedy możesz przyjechać i przenocować? Przywieź wszystkich jeszcze przed końcem wakacji.

– Świetny pomysł – Alice myślnie była gdzie indziej.

– Zaczęłam grać na flecie – poinformowała Natasha babkę. –

Po dwóch lekcjach potrafię grać „Wlaził kotek na płotek”. Chcesz posłuchać?

– Tak – odpowiedziała z rezygnacją Cecily. – Bardzo.

Wstała.

– Tylko pięć minut, Tashie – ostrzegła Alice. Natasha wzięła babcię za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Cecily ogarnęło nagle irracjonalne uczucie, że oto wszyscy w kuchni wybuchają długo powstrzymywanym śmiechem.

– Lubicie Clodagh? – spytała dziewczynkę, gardząc sobą za to pytanie.

– Uwielbiamy ją – odpowiedziała Natasha. – Umiem grać pierwsze dwie linijki „Panie Janie”.

– I często tu przychodzi?

– Och, codziennie. A kiedy mamusia robiła zakupy, Clodagh poszła z nami na spacer i znalazła dla nas żabi skrzek. Często to, co nas interesuje, jest obrzydliwe. Prawda?

– Tak, kochanie – odpowiedziała ze smutkiem Cecily. – Obawiam się, że masz rację.

Kiedy Cecily wróciła tego wieczoru do Dummeridge, Richard był w domu. Wiedziała, że go zastanie, i choć nie wpłynęło to w żaden sposób na podjętą przez nią pod wpływem impulsu decyzję wyjazdu do Pitcombe, odkryła ze zdziwieniem, że jest zadowolona widząc męża po powrocie w domu.

Siedział w salonie z otwartym neseserem i szklanką whisky z wodą sodową w dłoni, a kiedy nachyliła się, by go pocałować, zapytał:

– Co się stało?

– Jestem chyba zmęczona. Właśnie wróciłam z Pitcombe.

Przeglądał dalej papiery, ponieważ właśnie tego oczekiwała.

– Wszystko w porządku?

– Och, tak...

– Chcesz się czegoś napić?

– Z przyjemnością.

Odłożył neseser i podszedł do barku. Przyrządził gin z tomkiem

i zaniósł go żonie.

– Alice czuje się lepiej?

– Alice wygląda świetnie – odpowiedziała Cecily nieco uszczypliwym tonem. Przerwała, napiła się trochę ginu i powiedziała niedbale: – Nie miałam właściwie okazji, by z nią porozmawiać.

– Nie miałaś okazji?

– Ma nową przyjaciółkę. Najmłodszą córkę Unwinów z Pitcombe Park. Wydawała się bardzo zadomowiona...

Richard, domyślając się od razu w czym problem, wziął do ręki papiery i powiedział:

– Powinnaś się cieszyć, że znalazła przyjaciółkę w sąsiedztwie. Myślałem, że martwiła cię jej samotność...

Cecily wstała, grzechocząc lodem w szklance.

– Oczywiście, że się cieszę.

– Alice musiała pewnego dnia opuścić dom – stwierdził spokojnie nie patrząc na nią.

– Richard, z nią nie jest dobrze. – Cecily była wyraźnie zła.

Nic nie odpowiedział.

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać – powiedziała. – Ty nie potrafisz postępować z ludźmi, przejmujesz się tylko interesami. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek pomyślał choć przez chwilę o Alice.

– Skąd wiesz, o czym myślę? – zapytał zupełnie zwyczajnym głosem.

– Bo widzę i słyszę.

– Jestem cierpliwym człowiekiem – powiedział Richard – ale moja cierpliwość też ma swoje granice. Nie wiesz, co myślę, bo ani razu w ciągu czterdziestu lat mnie o to nie zapytałaś.

Cecily była bliska łez. Ale wciąż stała przy fotelu ze szklanką w dłoni, bo miała jeszcze zamiar rzucić mężowi jakąś złośliwą uwagę i dopiero wtedy wyjść do kuchni upiec pstrąga na kolację.

– . No to cię zapytam. Pytam cię teraz...

– Co myślę o Alice?

– Tak – odpowiedziała opadając na poręcz fotela.

– Mam dla niej wiele sympatii. Bardzo ją lubię i podziwiam, ale uważam, że sporo czasu upłynęło, zanim naprawdę dorosła. Jeśli teraz zaczyna grymasić...

– Nie powiedziała, że grymasi.

– ... jeśli cię rozczarowuje...

– Nie powiedziała...

– Zamknij się – rzucił Richard z nagłą złością. Cecily wstała.

– Nie chcę nic więcej słyszeć. Nie masz o niczym pojęcia. Ale przecież nic nie wiesz o kobietach i ich potrzebach. Nigdy nie wiedziałeś.

– Naprawdę?

Niemalże podbiegła do drzwi.

– Idę przygotować kolację. – Machnęła wściekle ręką w kierunku papierów męża. – A ty wracaj tam, gdzie twoje miejsce.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Richard siedział przez chwilę i patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Było jasne, że Alice w jakiś sposób zbuntowała się przeciw Cecily i chociaż żał mu było żony, jednocześnie czuł się zadowolony. Westchnął i wrócił do swoich dokumentów. Wielka sympatia, jaką darzył Alice, była luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

– Juliet? – powiedziała Cecily do słuchawki.

Była za kwadrans ósma. Juliet Dunne właśnie skończyła czytać dzieciom bajki na dobranoc i zeszła na dół, gdzie odkryła, że pies zjadł większą część zapiekanki, którą zostawiła przy kuchence na kolację. A potem zadzwonił telefon. Odezwała się więc do słuchawki opryskliwym tonem.

– Och, Cecily – powiedziała po chwili – przepraszam, że jestem w takim nastroju, ale naprawdę. Czasami tak nie znoszę tych domowych zajęć, że nie ręczę za siebie. Pieprzony pies. I po prawdzie pieprzony Henry, że w ogóle musi jeść kolację. Oddałabym w tej chwili wszystko, by zostać czyjąś utrzymanką.

Cecily próbowała ją uspokoić.

– Tak naprawdę to dzwonię, by porozmawiać z tobą o Alice...

– Allie? A co, czy coś...

– No cóż, sama nie wiem...

– Wydawało mi się, że wygląda o wiele lepiej – powiedziała Juliet. – Widziałam się z nią we wtorek. Mieliśmy przyjęcie dla maluchów.

– Czy znasz Clodagh Unwin?

– Clo? Praktycznie całe życie.

– Wydaje się – zauważyła Cecily – prawie z nimi mieszkać.

– Ha! To najlepsze, co mogło się przydarzyć. Ona jest strasznie zabawna. Rozweseli ich. O Boże, Cecily, idzie Henry. Będzie musiał zjeść kolację dla psa, bo nie mam nic innego. Czy gdybyś miała córki, Cecily, zachęcałabyś je do małżeństwa?

– Prawdopodobnie nie – odpowiedziała Cecily myśląc o neseserze w salonie.

– Oczywiście mając synów, nie mogę się doczekać, kiedy się ich wreszcie pozbędę. Ale Henry i tak tu zostanie. Słuchaj, to naprawdę dobra nowina, jeśli chodzi o Alice i Clodagh. Jestem przekonana, że Unwinowie są zachwyceni. Zawsze chcieli, by Clo się ustatkowała, tak więc dobra dawka rodzinnego życia...

– Czy... czy... ona jest nieszkodliwa?

– Nieszkodliwa? – zapytała Juliet. – Nieszkodliwa? Clo? Broń Boże. Po co ci nieszkodliwa przyjaciółka dla Alice? Henry jest nieszkodliwy i zanudza mnie na śmierć, prawda, kochanie? Cecily, muszę już kończyć i otworzyć mu puszkę Pedigree Pal.

Cecily odłożyła słuchawkę. Potem podeszła do lodówki i wyjęła pstrąga, którego Dorothy zostawiła już sprawionego na talerzu. Spojrzała na bezmyślne martwe rybie oczy. Jutro, postanowiła, zadzwoni do Martina. W końcu jest przecież jej synem.



Martin Jordan i Henry Dunne umówili się na lunch w hotelu Pod Białym Jeleniem w Salisbury. Henry zadzwonił do biura Martina i oznajmił dość tajemniczo, że musi z nim coś przedyskutować. Poprosił, by spotkali się w takim miejscu, gdzie nie byłoby ich kolegów po fachu. Martin zaproponował więc hotel Pod Białym Jeleniem, ponieważ był obszerny. Spotkali się tam w foyer, wyróżniając się w swoich moleskinowych spodniach i tweedowych marynarkach na tle wiosennego tłumu turystów, wyprowadzających się i wprowadzających do hotelu wśród zamętu walizek ze sztucznego tworzywa i pikowanych płaszczy w pastelowych kolorach.

Henry znalazł stolik w rogu baru i poszedł kupić dwa piwa i kilka kanapek z krewetkami. Kiedy wrócił, powiedział:

– Parę dni temu zerknąłem ukradkiem na Grey House. Muszę przyznać, że wspaniale ci idzie. John to cudowny facet, ale nie przejmował się nigdy zbyt wyglądem zewnętrznym domu.

Martin był niezmiernie zadowolony. Pracował niestrudzenie w ogrodzie w weekendy, a cztery godziny w tygodniu poświęcał na malowanie zewnętrznych ścian. Alice mówiła mu często, nieco roztargniona: „Niezła robota”, nie sądził jednak, by naprawdę doceniała jego osiągnięcia. Poza tym lubił, by inni zauważali ulepszenia, które wprowadzał.

Wzruszył ramionami z lekceważeniem.

– Ten żywopłot jest już do niczego.

– Koszmarne rośliny. Jedyne z nich pożytek to zapach kwiatów w marcu...

– Właśnie.

Henry ugryzł duży kawałek kanapki, żuł przez chwilę, przełknął, napił się trochę piwa i powiedział o wiele bardziej poważnym tonem:

– Martin, bardzo miło jest cię widzieć, ale to nie jest tylko

towarzyski lunch.

– Raczej się tego domyślałem.

– Prawda jest taka, że przychodzę tu jako wysłannik sir Ralpa. Żeby wybadać grunt. Żeby ci coś zaproponować. – Ugryzł następny kawałek kanapki. – Interes.

Martin pomyślał w pierwszej chwili, że sir Ralph chce może kupić z powrotem Grey House. Po pokonaniu wszystkich trudności związanych z transakcją, gdy dom był już ich, Martin poczuł się w pełni jego właścicielem. Oprócz tego zdawał sobie sprawę, że mieszkanie w Grey House umacnia jego pozycję towarzyską. Przybrał poważny wyraz twarzy człowieka namyślającego się.

– Nie będę owijał w bawełnę – powiedział Henry. – Chodzi o to, że sir Ralph potrzebuje nowego doradcy prawnego. Zdecydował, że musi to być ktoś stąd, szczególnie jeśli chodzi o jego posiadłość, a poza tym – mówię ci to w największej tajemnicy – wydaje mi się, że pokłócił się z prawnikami z Londynu, nie będę tu wymieniał żadnych nazwisk. Chce dokonać tu wielu zmian – o tym powiem ci później – i zapytał mnie, kogo mógłbym zarekomendować. Zaproponowałem twój zespół. Zastanowił się przez chwilę i powiedział, czemu nie.

Twarz Martina stała się purpurowa.

– Ale przecież ja... ja nie jestem głównym wspólnikiem...

– Powiedziałem mu to. Stwierdził, że to mu nie przeszkadza i że pewnego dnia zostaniesz nim. Prawda jest taka, że chyba zdecydowała twoja przeprowadzka do Grey House. Sir Ralph czuje, że wszystko pozostanie tak jakby w rodzinie.

– Ja nie mam żadnego doświadczenia w pracy w nieruchomościach...

– Ja mam.

– No wiesz! – powiedział ze zdziwieniem Martin i twarz mu się rozpromieniła.

– Odpowiada ci to?

– No wiesz! To znaczy... jeśli uważasz, że dam sobie radę...

– Taki interes da do myślenia twoim przełożonym. Nie

chciałbym niczego obiecywać, ale wydaje mi się, że zaczniesz od nieruchomości, a skończysz na zajmowaniu się wszystkimi prywatnymi sprawami sir Ralpa, lady Unwin i całej reszty. Ukochany prawnik Pitcombe Parku. Chodzi też o to – dodał spoglądając na Martina znad kufła – że bardzo by mi pomogło, gdybym mógł cię mieć po swojej stronie. Czasem piekielnie trudno kierować sir Ralphem, wszystko chce robić po swojemu. Clodagh jest do niego podobna.

Martina rozpierała wielkoduszność.

– Ona jest zdumiewająca. Podniosła nas na duchu jak nikt inny. Alice jest teraz zupełnie inna, a dzieci uważają, że Clodagh jest cudowna.

– To następna sprawa. Widzisz, Unwinowie są zachwyceni, że tak was polubiła. Każdy przyjaciel Clodagh spotka się z ich sympatią, ale twoja rodzina jest dokładnie tym, czego dla niej chcą. Byli w strasznym stanie, kiedy wróciła ze Stanów, tym bardziej że nie chciała im nic powiedzieć. Margot zamierzała wysłać ją do jakiegoś koszmarnie drogiego szarlatana w Londynie, żeby zbadał jej głowę. Ale wizyty w Grey House pomogły, i to za darmo. Sir Ralph mówił mi dziś rano, że dawno nie widział Clodagh w tak dobrej formie.

Martin, który w skrytości ducha myślał o najmłodszej córce Unwinów z pewnym niepokojem i podnieceniem, powiedział teraz, że Clodagh, no cóż, jest strasznie zabawna.

– O tak. Ale jest także niedobra. Biedni rodzice biegają koło niej jak szaleni. – Henry spojrział na zegarek. – Mam więc rozumieć, że przynajmniej wstępnie się zgadzasz?

– Tak – odpowiedział Martin panując nad sobą z ogromnym wysiłkiem.

Henry wstał.

– Myślę, że następnym krokiem – to znaczy, zanim wspomnisz o tym w pracy – będzie spotkanie z sir Ralphem. Odpowiada ci to?

– Całkowicie.

– W sobotę rano? Przykro mi, że przeszkodzi ci to w twojej

pracy w ogrodzie, ale przynajmniej nie będzie kolidować z zajęciami w tygodniu. Poza tym jest to jedyne przedpołudnie, kiedy mogę mieć choćby minimalną nadzieję na całkowitą uwagę sir Ralpa przynajmniej przez trzy minuty.

– Całkowicie mi to odpowiada – Martin również się podniósł.

Wyszli do foyer, które było teraz zupełnie puste z wyjątkiem niesamowicie grubej kobiety zaklinowanej w fotelu i przyciskającej do ledwo widocznych spod ogromnego brzucha kolan reklamówkę z napisem Sony. Gdy wyszli na ulicę Świętego Jana, odwrócili się odruchowo ku sobie i uścisnęli dłonie.

– Henry – powiedział Martin – jestem ci naprawdę strasznie wdzięczny.

– Trzymajmy kciuki. Jeśli się uda, to ja będę ci wdzięczny. Do zobaczenia w sobotę.

A potem rozeszli się, dwie pary dobrze wypolerowanych brązowych butów idące zdecydowanym krokiem wzdłuż chodników Salisbury pomiędzy tracącymi czas kupującymi i wózkami inwalidzkimi.

Alice czuła się w obowiązku zawieźć dzieci do Dummeridge. Clodagh chciała pojechać z nimi, ale Alice nie zgodziła się.

– Proszę cię. Dlaczego nie? Zawsze to druga para rąk do pomocy przy małym...

– Nie potrafię ci wytłumaczyć, dlaczego. Po prostu wiem, że nie dałabym sobie rady. Clodagh, jadę tam z obowiązku, nie dla przyjemności.

– Co ja będę robiła przez cały czwartek?

– Przygotuj dla nas na wieczór jakąś zdumiewającą kolację – powiedziała żartobliwie Alice, wiedząc, że Clodagh potraktuje to poważnie.

– No dobrze. Ale i tak dopnę swego w taki czy inny sposób.

– Jestem tego pewna – odpowiedziała Alice. Przynajmniej dzieci były zadowolone z wyjazdu. Natasha włożyła z ogromną starannością fantazyjne białe skarpetki i otrzymaną w prezencie od Gwen plastikową biżuterię, która jak Alice była przekonana, bardzo zasmuci Cecyli. James uległ życzeniu matki, by

wynagrodzić babci widok różowych kolczyków, i zgodził się włożyć brązowe sznurowane buty zamiast uwielbianych adidasów ze srebrnymi błyskawicami na podeszwach. Charlie, który awansował z nosidełka do specjalnego fotelika w kształcie jajka na tylnym siedzeniu samochodu, gaworzył sam ze sobą, zdejmując swoje pierwsze buciki i skarpetki i rzucając je na podłogę.

Jazda trwała długo, ale cała trójka zachowywała się nadzwyczaj spokojnie. Alice dużo z nimi rozmawiała, bo czuła się zdenerwowana, ponieważ pierwszą rzeczą, którą będzie musiała powiedzieć teściowej zaraz po przyjeździe, było, że nie mogą mimo wszystko zostać na noc. Powinna wspomnieć o tym na samym początku, ale nie zrobiła tego, a teraz Cecily na pewno przygotowała już miejsca do spania i poprosiła Dorothy o ustawienie łóżeczka dla Charliego. W sumie perspektywy były dość okropne, i to tylko z jej winy. A potem, przejeżdżając przez Warcham, pomyślała z nagłym oburzeniem, że właściwie nie wie, dlaczego powinna czuć się winna w stosunku do matki Martina. On nigdy tym się nie przejmował.

Kiedy tylko to sobie uświadomiła, jej oburzenie wzrosło. To ona wzięła sprawy w swoje ręce, jeśli chodzi o Dummeridge, i robiła to już od dziesięciu lat. I tylko dlatego, że cały czas była bardzo sumienna, wszyscy oczekiwali, że nadal taka będzie. Martin byłby zdumiony, gdyby powiedziano mu, żeby sam pamiętał o urodzinach matki lub by przywiózł do niej dzieci w odwiedzinach. Ostatnia mila przed Dummeridge, pokryty liśćmi, nakrapiany słońcem odcinek drogi, którą Alice przejeżdżała kiedyś z tak radośnie lekkim sercem, wydawała się teraz całkowicie pozbawiona swego dawnego uroku. Alice wzięła ostatni zakręt, przejechała przez mały kamienny mostek łączący brzegi starej fosy i zatrzymała się ze strachem na wprost wybijanych ćwiekami drzwi wejściowych. Dzieci piszczały, żeby je wypuścić, i wbiegły pędem do domu wołając Cecily. Alice podążyła za nimi trzymając Charliego na jednym ramieniu i niosąc w drugiej ręce jego zrzucone buciki i skarpetki. Natasha, James i Cecily zderzyli się na schodach, wyściskali i zaczęli

trajkotać jak opętani. Patrząc na nich Alice poczuła się mała i zziębnięta. Charlie wyrywał się z jej objęć, więc postawiła go na kamiennej posadzce i pozwoliła, żeby podszedł chwiejnie do babci na bosaka, dopraszając się jej uwagi.

– Kochanie – powiedziała Cecily docierając wreszcie do Alice.

– To prawdziwe wydarzenie. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo czekałam na wasze odwiedziny. Richard przyjeżdża dziś wieczorem specjalnie na tę okazję, tak więc spotyka was ogromny zaszczyt. Widziałam, jak krył się po kątach z butelkami szampana, a ja mam na obiad łososia...

– Gdzie dziś śpię? – zapytał James.

– Jimmy James. A gdzie mógłbyś spać? W twoim zawsze łóżku.

James ucieszył się bardzo na wspomnienie dzieciennego języka.

– A ja – powiedziała Natasha przekręcając z zachwytem swoją różową bransoletkę na nadgarstku – śpię w błękitnym pokoju. Tam, gdzie kiedyś sypiała mamusia. W złotym łożu.

Było za późno. Alice podjęła ostatnią słabą próbę.

– Wiesz, jestem taka niemądra, zapomniałam zabrać nasze pidżamy...

Cecily, podrzucając Charliego na rękach, zaczęła się śmiać.

– Och, kochanie, to zabawne! Ale to naprawdę nie szkodzi. Będziemy po prostu musieli położyć Charliego do łóżka z gorącym termoforem, prawda, malutki?

Dzieci były najwyraźniej szczęśliwe. Cecily zapakowała im lunch, do małych koszyczków, tak by mogły uniknąć nudy siedzenia przy stole. W kuchni Dorothy z zachwytem karmiła Charliego papką z marchewki i wątróbki. Cecily mogła więc mieć Alice tylko dla siebie. W jadalni na stole leżały dwa nakrycia po obu stronach płytkiej miedzianej misy z lśniącą poduszczką żółtozielonego mchu usianą kwiatkami. Cecily poczęstowała Alice aromatycznym gulaszem z kurczaka i orzeszków, nałała jej kieliszek chablis i rzeczowym tonem, którego jak sobie przyrzekła, miała używać przez cały dzień, powiedziała:

– No dobrze. Chcę wiedzieć, kiedy znowu zaczniesz malować?

Wymówki się skończyły. Dom jest już prawie uporządkowany, dzieciom niczego nie brakuje, wszyscy w miasteczku najwyraźniej uważają, że jesteś cudowna. Na co więc czekasz?

– Na nic – odpowiedziała Alice chłodno. – Już zaczęłam.

– Kochanie! – Cecily spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Dwa dni temu. Cecily uniosła kieliszek.

– To wspaniałe! Twoje zdrowie. Opowiedz mi, jak to się stało.

Alice nie spieszyła się zbytnio z przełknięciem kęsa gulaszu.

– Clodagh zamknęła mnie w pracowni – powiedziała po chwili z namysłem. – Tak po prostu. Poprosiła dzieci o pomoc i zostałam poinformowana, że nie mogę wyjść do podwieczorku. O piątej otworzyli drzwi i stanęli w progu z czekoladowym tortem.

Twarz Alice była lekko zarumieniona. To wszystko było tak niezwykle, że całkowicie ją zaskoczyło. Zaczęło się od tego, że Gwen przyszła do niej pewnego ranka z malowidłem przedstawiającym słomiany kapelusz na krześle stojącym przy otwartych drzwiach balkonowych i powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie wysnuwam zbyt pochopnych wniosków, ale ten obraz poniewierał się w łazience dla gości, więc go podniosłam i pomyślałam, że jest taki ładny. Potem spojrzałam i zobaczyłam...

Alice siedziała na brzegu kuchennego stołu przyszywając tasiemki z imieniem do letniego mundurka szkolnego Jamesa.

– Tak. Ja go namalowałam.

– Pani Jordan...

Clodagh podeszła do Gwen.

– Pokaż mi.

Przekręciła obraz w swoją stronę i przyjrzała mu się uważnie.

– O rany, Alice...

– Nie potrafię już tego robić – powiedziała Alice. – Nie wiem dlaczego, ale po prostu nie potrafię. Próbowałam i wyszło beznadziejnie.

– To takie pomysłowe – wtrąciła Gwen. – Moja kuzynka...

– Co to znaczy: beznadziejnie?

– To znaczy, że nie mogłam ani rysować, ani malować, co

doprowadzało mnie do rozpacz.

– Kiedy to było?

– Jakieś cztery lata temu...

– Cztery? To dziwne, bo moja kuzynka...

– Zamknij się, Gwen – powiedziała Clodagh. Spojrzała na Alice. – Cztery lata to długi okres. Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz?

– Boję się.

– To samo mówiła moja ku...

– Boisz się? – zapytała Clodagh. – Ty się boisz? To jest naprawdę dobre, poważnie.

A potem oddała obraz Gwen i wróciła do zlewu. Gdy ponownie się odezwała, mówiła o kanadyjskim powieściopisarzu Robercie Daviesie, którego Alice koniecznie powinna przeczytać.

Stało się to po lunchu. Chichocząc nie wiadomo czemu, Clodagh, James i Natasha zaciągnęli Alice do pokoju nad garażem pod pretekstem szukania zestawu do krykieta i zwyczajnie ją tam zamknęli.

– Będiesz mogła wyjść – zawołał James zachwycony całą tą zabawą – kiedy namalujesz obraz.

Na początku pomyślała z lekkim przerażeniem, że nie będzie w stanie malować, nie miała wody ani żadnych szmat, ale Clodagh pomyślała o wszystkim. Tak więc czując się nieco dziwnie, jednocześnie ożywiona i spokojna, ustawiła sztalugi i namalowała zakurzone okno, na którego parapecie John zostawił do połowy wyrzeźbioną kaczkę. Kilka pnączy bluszczu przedostawało się do środka, a pajak utka! pomiędzy łebkiem kaczki a ramą okienną tak idealną pajęczynę, że wyglądała jak sztuczna. Alice malowała szybko, całkowicie pochłonięta pracą. Kiedy pozwolili jej wyjść, była tak z siebie zadowolona, że niemalże zmartwiło ją ich przyjście.

– Zawsze mówiłam, że będę mogła malować w Grey House – powiedziała nieco chępliwie.

– Naprawdę?

– Och tak.



Cecily obserwowała ją. Cieszyła się, że Alice zaczęła znów malować, ale żałowała, że sprawiła to Clodagh.

– Brzmi to wszystko trochę melodramatycznie.

– Bo takie było. Ale zadziało. Cecily opamiętała się.

– Cieszę się bardziej, niż mogę to wyrazić. Również dlatego, że pozbędę się wreszcie tych wszystkich ludzi, którzy sądzą, że mogę załatwić im Alice Jordan na zawołanie.

Alice napiła się trochę wina.

– Nie chcę jeszcze żadnych zamówień...

– Kochanie, na miłość boską, dlaczego nie? Myślałam, że chodzi właśnie o to...

– Nie chcę być w tej chwili nikomu nic dłużna – Alice zaczęła mówić cichym jednostajnym głosem, wyraźnie rozdzielając słowa.

– Chcę być wolna, żeby robić to, co powinnam.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Też tak myślę.

– Czy możesz mi wyjaśnić?

– Nie – powiedziała Alice. – Nie, chyba nie. Po prostu bardzo silnie to czuję.

– Wybacz mi, kochanie – odezwała się ostro Cecily, wstając po paterę z ogromnymi lśniącymi winogronami z Afryki Południowej – ale zachowujesz się trochę jak rozpieszczona nastolatka.

– Pewnie dlatego – odpowiedziała uprzejmie Alice – że nie postępuję tak, jak ty byś tego chciała.

Cecily usiadła i posunęła winogrona w stronę synowej.

– Nigdy w ten sposób nie próbowałam na ciebie wpłynąć Alice milczała.

– Jeśli kiedykolwiek udzieliłam ci jakichś wskazówek – jakkolwiek niechętnie, pamiętaj – to tylko dlatego, że sama mnie o to prosiłaś. Kiedy tu przyjechałaś po raz pierwszy, bez żadnego obycia... – Przerwała.

– Czy masz zamiar powiedzieć mi – zapytała pogodnie Alice – jak wiele ci zawdzięczam? Przypomina mi to dawne rozmowy z moją matką.

Cecily ścisnęła mocno dłonie, by powstrzymać się od uderzenia

jej w twarz. Zamknęła na chwilę oczy i powiedziała:

– Nie kłóćmy się.

– Ja nie chcę się kłócić.

– Nie. – Cecily otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Żadna z nas nie chce. Alice podniosła się.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? Zapomniałam czegoś powiedzieć Clodagh o kolacji dla Martina.

– A co ma Clodagh wspólnego z kolacją Martina?

– Zaofiarowała się coś ugotować dla niego na wieczór – odpowiedziała Alice, jakby była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem – ponieważ ja jestem tutaj.

Wyszła do telefonu w kuchni i zadzwoniła do Grey House. Nikt nie odbierał. Wykręciła więc numer Parku. Słuchawkę podniosła lady Unwin, która była przesadnie życzliwa i powiedziała, że natychmiast poprosi Clodagh.

– Przegrałam – powiedziała Alice. – Muszę zostać. Zostałam przechytrzona.

– Alice – odpowiedziała Clodagh – jesteś żałosna. He ty masz lat? A ja miałam zrobić moje słynne rybne curry.

– Czy mogłabyś przygotować to dla Martina?

– Okay.

– Clodagh, strasznie mi przykro.

– Mnie też.

– Muszę już kończyć. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Za co? Za karmienie prawnika naszej rodziny?

– CO?

– Ha! – powiedziała Clodagh. – Masz nauczkę za to, że nie wracasz na noc do domu. Do zobaczenia jutro...

– Ale co z tym prawnikiem rodziny?

– W żadnym razie nie mogłabym – odpowiedziała Clodagh – zdradzić ci tajemnicy państwowej przez telefon. – I odłożyła słuchawkę.

Alice wyszła do ogrodu, gdzie Cecily razem z dziećmi karmiła złote rybki specjalnymi ziarenkami z małego plastikowego pojemnika.

– Nie cierpię go – mówił James wpatrując się w wodę – cała twarz mu bulgocze...

– Zupełnie jak tobie, mój drogi – powiedziała Natasha potrząsając głową, by poczuć kołyszące się kolczyki.

– Wszystko w porządku? – zapytała Cecily, gdy Alice do nich podeszła.

– Całkowitym. Przygotuje mu curry z ryby.

– Ja zrobię z ciebie curry – krzyknął James podnieconym głosem w kierunku stawu. – Tak właśnie będzie! Zrobię z ciebie curry!

Natasha wzięła babkę za rękę.

– Obawiam się, że Charlie zjada czasami robaki.

– Naprawdę, kochanie?

– O tak – westchnęła dziewczynka. – Charlie to ogromna odpowiedzialność. Możemy pójść nad morze?

To było długie, długie popołudnie. Alice nie mogła uwierzyć, jak bardzo pragnęła być teraz w Grey House. Patrzyła na znajomy, ukochany dom we wspaniałym wiosennym ogrodzie jakby ze złej strony teleskopu: wszystko wydawało się małe, dalekie i obce. Kiedy przyjechał Richard, ucałowała go z niezwykłą czułością, a Cecily widząc to, nie zdołała się powstrzymać i spytała:

– A cóż on zrobił, żeby zasłużyć na takie powitanie?

– Alice sądzi, że otworzę dla niej szampana – powiedział Richard. – I ma rację.

Obiad upłynął w lepszej atmosferze, ponieważ Richard wydawał się zdecydowany nie rozmawiać o sprawach osobistych. Mówił o Środkowym Wschodzie, zmusił Cecily do opowiedzenia o ostatniej wycieczce do Ameryki (warzywniki rozprzestrzeniają się w Georgetown jak zaraza), a kiedy rozmowa nieuchronnie zmierzała ku sytuacji w Pitcombe, powiedział:

– Zgadnijcie, kto dziś dzwonił?

Cecily, wyjmując kawałek dojrzałego brie z kredensu, zapytała bez większego zainteresowania:

– Kto?

– Anthony.

– Anthony!

– Wraca do domu – powiedział Richard. – Zmiana kontynentów, zmiana pracy...

– Dlaczego nie zadzwonił tutaj? Dlaczego nie zadzwonił do mnie?

– Pewnie zadzwoni...

– Jakie to dziwne – odezwała się Alice. – Nie widziałam Anthony'ego prawie od dziesięciu lat. Dziesięć lat na Dalekim Wschodzie. Zanim dzieci...

– Przesyła ci pozdrowienia – powiedział Richard.

– Mnie?

– To niebezpieczna rzecz, te jego pozdrowienia...

– Kiedy przyjeżdża?

– Wkrótce. Za kilka tygodni.

– Rozumiem. Mój syn zdecydował się w przeciągu dwóch tygodni wrócić do domu po dziesięciu latach i nie uważał za stosowne poinformować o tym mnie.

– Mnie zapoznał tylko z faktami – powiedział Richard nalewając wina. – Sądzę, że do ciebie zadzwoni po analizę i interpretację.

Cecily wciągnęła powietrze, ale powiedziała tylko:

– Kochana Alice, powiedz Richardowi, co czeka dziś wieczorem Martina. To takie zabawne...

Richard spojrzał na Alice. Bez pośpiechu napiła się wina, odwzajemniła jego spojrzenie i powiedziała beznamiętnie:

– Najmłodsza córka Unwinów karmi go dziś wieczorem rybnym curry.

Usta Richarda zadrgały.

– Niemożliwe.

– Przysięgam – Alice skinęła głową.

– To naprawdę interesujące – powiedział Richard z powagą. Alice nie mogła jednak odpowiedzieć, ponieważ dostała nagłego ataku śmiechu.

W drodze z biura do domu Martin zatrzymał się w sklepie w Pitcombe, żeby kupić nasiona i brązowy sznurek ogrodowy. Był

trochę zirytowany, że Cecily obdarowała go Stuartem Mottem, typem pracownika, który pod płaszczykiem pozornej życzliwości ukrywał pełną drwiny pogardę dla opinii pracodawcy. Gdyby nie Stuart, Martin nie kupowałby teraz nasion marchwi i kapusty, bo ich uprawę uważał za stratę czasu, a same warzywa pozbawione były według niego jakiegokolwiek smaku. Gdy zatrudnił Stuarta, miał zamiar rozmawiać z nim przyjaznym, lecz stanowczym tonem, jakiego używał jego ojciec w kontaktach z młodszymi wspólnikami, ale lekko skrzywione usta ogrodnika natychmiast zbiły go z tropu. Kiedy Cecily zadzwoniła zeszłej nocy z jakimś idiotycznym zarzutem pod adresem Clodagh, Martin czuł się tak dotknięty jej ingerencją w sprawy ogrodu, że potraktował matkę dość szorstko i pożegnali się oboje raczej chłodno. Oczywiście Martin jak zwykle poczuł skruchę i zadzwonił z przeprosinami. Matka powiedziała, iż doskonale rozumie, że wszyscy są teraz podenerwowani, i właściwie nie można się temu dziwić. Gdy Martin to usłyszał, jego skrucha ulotniła się całkowicie i żałował, że zawracał sobie głowę przeprosinami.

Stojąc teraz w sklepie i kręcąc chwiejącym się stojakiem z torebkami nasion, poczuł jak znów zaczyna w nim kipieć oburzenie. Sytuację pogorszył jeszcze pan Finch, który wiedząc, że Martin nie jest miłośnikiem lirycznej poezji, podszedł do niego ukradkiem i powiedział:

– Może się pan dziś wieczorem spodziewać egzotycznej kolacji, panie Jordan.

– Czyżby? – zapytał Martin nie podnosząc wzroku znad opisu zalet marchwi nanter express, wydrukowanego na opakowaniu.

Lettice Deverel, która miała za złe panu Finchowi jego nieznośny zwyczaj traktowania klientów z wyższych sfer inaczej niż robotników i która stała teraz do połowy zasłonięta przez regał wypełniony papierowymi talerzami i ozdobnymi serwetkami, powiedziała stanowczo:

– Kolacja pana Jordana to nie pański interes, panie Finch.

Pan Finch wrócił na paluszkach za ladę i zaczął zupełnie niepotrzebnie układać piramidę z batoników nugatowych.

– Panna Clodagh była tu dziś po południu – próbował się usprawiedliwić – żeby kupić gałkę muszkatołową i cynamon. Powiedziała mi, że musi przygotować kolację dla pana Jordana, bo pani Jordan pojechała z dziećmi do babki.

Lettice Deverel wynurzyła się zza regału i położyła paczkę nasion słonecznika przed panem Finchem.

– Niech pan już lepiej nic nie mówi, panie Finch.

– Zdaje się – powiedział Martin żartobliwym tonem, podchodząc do lady ze swymi nasionami – że wszyscy oprócz mnie wiedzą tu o mojej kolacji.

– Życie w małym miasteczku, panie Jordan – zauważyła Lettice Deverel.

Martin podał Finchowi banknot pięciofuntowy.

– Więc to prawda, że panna Clodagh przygotowuje dziś dla mnie kolację?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział pan Finch obrażonym tonem, biorąc pieniądze.

Lettice i Martin wyszli razem na ulicę.

– To straszny typ – Lettice wskazała głową za siebie – ale z drugiej strony prowadzenie wiejskiego sklepu może doprowadzić do szaleństwa nawet najzdrowszego człowieka.

Martin roześmiał się.

– Nie jest taki zły. Sprawił, że czekam z niecierpliwością na dzisiejszy wieczór. – Nachylił się, by otworzyć drzwi samochodu. – Podwieźć panią?

Lettice potrząsnęła przecząco głową.

– Dziękuję ale nie, moje sumienie obciążone jest ciastkiem owocowym, które zjadłam na podwieczorek, i jedynym sposobem na jego uspokojenie jest trochę ruchu. – Nagle spojrzała na Martina przenikliwie. – Całe miasteczko będzie wiedziało, że pan i Clodagh zjedliście razem kolację. Niech pan na to nie zważa. Proszę powiedzieć Clodagh ode mnie, że najwyższy czas, aby wyjechała i znalazła sobie odpowiednią pracę. Taką, w której będzie się musiała trochę wysilić.

Martin wsiadł do samochodu i powoli wjeżdżał na wzgórze.

Kiedy mijał Lettice, pomachała w jego kierunku laską. Trochę dalej minął Stuarta Motta rozmawiającego z traktorzystą sir Ralphi. Obaj skinęli mu głową bez uśmiechu. Gdy skręcił w aleję prowadzącą do domu, kot, jak kamikaze, wypadł na niego w swoim rytualnym powitaniu. W sadzie zobaczył Clodagh zdejmującą pranie ze sznura. Na jej widok poczuł przyjemny ucisk w dołku. Miała na sobie džinsy i czarną marynarkę wyszywaną ogromnymi, nierównymi srebrnymi gwiazdami.

Wysiadł z samochodu i oparł się o płot sadu. Łagodne światło wczesnego wieczoru bladło, niektóre nabrzmiałe pączki jabłoni zaczynały otwierać się i ukazywać swe różowe wnętrza. Powietrze, od miesiący przesiąknięte chłodem i wonią błota, pachniało dziś wilgotną ziemią. Kury grzebały w trawie wokół stóp Clodagh. W zeszłym tygodniu dziewczyna pokazała Martinowi, jak sprawdzić, czy kury są gotowe do znoszenia jaj – trzeba przyłożyć odpowiednią ilość palców między ich kością miednicową a mostkiem. „Jeszcze nie”, powiedziała wtedy. „Powinny wejść cztery palce. Ale już niedługo”. Teraz Martin przechylił się przez płot i zaczął wabić kury, które rozważnie nie zwracały na to żadnej uwagi.

– Co się dzieje? – zwrócił się do rozgwieżdżonych pleców Clodagh.

– Nie denerwuj się tak – powiedziała Clodagh, upuszczając ostatnią rzecz do stojącego u jej stóp koszyka. – Alice miała zamiar wrócić dziś wieczorem, ale twoja matka ubiła tłuste ciele, więc nie mogła. A mniemam, że nie jesteś zdolny zrobić sobie nawet jajecznicy.

– Do głowy by mi to nie przyszło – powiedział Martin otwierając furtkę – mając ciebie do wyboru.

– Będziesz miał za to bardzo dziwną rybę.

– Cudownie.

Wszedł za nią do domu, a kot towarzyszył im, miaucząc w oczekiwaniu na kolację. Clodagh zatrzymała się, wyjęła pranie z koszyka i rzuciła je na pralkę.

– Kocie, ty szelmo. Cały czas wiedziałeś, że w domu jest ryba,

prawda?

– Całe miasteczko o nas mówi. Podobno powiedziałaś panu Finchowi, że gotujesz dla mnie kolację.

– Tak jest – przyznała Clodagh. – To przynajmniej oderwie ich myśli od podwyżek czynszu, które ojciec chce wprowadzić.

– Podwyżek czynszu?

– Sądzę, że ma zamiar podnieść czynsz o całe trzy funty na tydzień. – Postawiła koszyk na kuchennym stole i wzięła na ręce kota, który natychmiast zaczął głośno mruzczeć. – I tak przecież niedługo się o tym dowiesz, prawda? Jako nowy prawnik rodziny?

Martin zmarszczył brwi. Spontaniczność to jedna rzecz, ale niedyskrecja to coś zupełnie innego. Nie zdążył nawet jeszcze złożyć wizyty sir Ralphowi w Parku.

– A co ty o tym wiesz?

– Całkiem sporo.

– Przypuszczam, że ojciec rozmawia z tobą na takie tematy?

– Tak. Ale w tym wypadku było inaczej. To był mój pomysł.

– Twój? Ale Henry...

– Henry zaproponował twoją firmę, ja zaproponowałam ciebie. Proste jak drut.

Martin nie był pewien, czy ta wiadomość go ucieszyła. Dług wobec sir Ralpa za łaskawy gest a uczucie, że wszystko było po prostu kwestią przypadku i lekkomyślnego kaprysu Clodagh, to dwie zupełnie różne sprawy.

– Masz niezadowoloną minę – zauważyła.

– Sprawiasz, że cała ta sprawa wygląda tak... Nieprzemyślanie.

– Bo tak się to raczej odbyło.

– Nie podoba mi się to – odpowiedział sztywno Martin. Clodagh obserwowała go.

– Gdyby zaproponował to mężczyzna, mój ojciec czy brat, nie miałbyś nic przeciwko temu. Czujesz się znieważony tylko dlatego, że zrobiła to kobieta.

– Nie.

Clodagh poszła do spiżarni i wróciła niosąc przykryty talerz i cebulę. Martin wciąż stał sztywno przy stole. Położyła jedzenie i



podeszła do niego.

– Fakt, że to ja pomyślałam o tobie – powiedziała – nie znaczy, że propozycja jest głupia. Gdyby taka była, tata by jej nie zaakceptował, nawet dla mnie. A był naprawdę zachwycony. Przysięgam ci. Sam zobaczysz, jak z nim porozmawiasz.

Martin popatrzył na nią ostrożnie.

– Nie lubię przysług.

– Martin...

– Lubię zasłużyć sobie na takie rzeczy...

– Ale właśnie to robisz! Dlaczego ktoś miałby proponować ci pracę, gdyby nie był przekonany, że dasz sobie radę? I że się nam przydasz?

I wtedy Martin, w zamęcie uczuć, pchany potrzebą, której nie był w stanie kontrolować, pochylił się do przodu i pocałował Clodagh. Objął ją bardzo mocno i pochylił głowę, by znów ją pocałować.

– Nie – powiedziała bardzo cicho. Uśmiechnął się do niej. Sądził, że ma przewagę.

– Dlaczego nie? Oboje przecież tego chcemy...

– Ponieważ – powiedziała Clodagh, odchylając do tyłu głowę – kocham Alice. Rozumiesz?

Natychmiast opuścił ramiona i odwrócił się do niej tyłem. Czuł, jak twarz płonie mu ze wstydu i poniżenia. Złamał własne zasady.

– Ja też ją kocham – wymamrotał.

– Wiem o tym.

– Przepraszam – powiedział – przepraszam. Nie wiem, co mnie...

– Cicho. – Podeszła do niego i wzięła go za rękę. – Zapomnij o tym.

Zacisnął zęby i uwolnił swoją dłoń.

– Chyba zrobię sobie jajecznicę.

– Jak sobie życzysz – westchnęła Clodagh. Zaniósła talerz i cebulę z powrotem do spizarni. Wróciła z wiklinowym koszykiem pełnym jaj.

– Nakarmię tylko Balona.

– Nie trzeba, ja to zrobię – powiedział Martin, pragnąc z całej siły zostać sam i napić się czegoś mocnego.

– Martin – głos Clodagh brzmiał życzliwie – nie róbmy z tego tragedii. Nic się nie stało.

Potem wyszła przez kuchenne drzwi, a po chwili Martin usłyszał, jak włącza silnik i odjeżdża. Podeszedł do niego Balon miaucząc przejmująco i dopraszając się o jedzenie.

Później, kiedy przyrzędził już sobie drinka i nakarmił kota, poszedł do swego gabinetu i siedział tam przygnębiony w wiosennym półmroku. Było mu strasznie wstyd za to, że wykorzystał nieobecność żony i że wybrał osobę zdolną do większej lojalności wobec Alice niż jej własny mąż. Próbował podnieść się nieco na duchu przypominając sobie, jak bardzo Alice była wobec niego ostatnio obojętna – nie kochali się ze sobą praktycznie od tygodni – ale była to kiepska i nie bardzo przekonywająca pociecha. Zastanawiał się, czy będzie w stanie spojrzeć w sobotę w oczy sir Ralphowi – obawiał się, że swój szalony czyn wypisany ma na czole, tak by wszyscy mogli się o nim dowiedzieć. Nie dość, że zachował się źle, to jeszcze został odrzucony i zganiony. Martin nie był flirciarzem, bo nie miał do tego wystarczającej śmiałości. Wiedział, że boi się odmowy, i strach ten odbierał mu odwagę. A ponieważ nie cierpiał swego braku pewności i inicjatywy, i nie widział na to żadnego lekarstwa, siedział tak w pogłębiających się ciemnościach i pozwalał, by smutek powoli przemieniał się w gorycz. Wypił trochę za dużo whisky, która wprawiała go w raczej rzewny nastrój, i kompletnie zapomniał o jajecznicy. Zupełnie bez sensu roztrząsał po raz kolejny niewielki incydent z Clodagh i w końcu poszedł spać zapominając zamknąć drzwi na dole. Balon, odkrywszy więc, że spiżarnia nie jest zabezpieczona, podważył jakoś skobel i dopiął swego zjadając ponad ćwierć kilo ryby.

Poranne słońce, wpadając do środka przez wysokie wschodnie okna Pitcombe Park, oświetliło nakryty do śniadania stół, słoik marmolady zrobionej przez panią Shadwell w styczniu zeszłego roku, złożone egzemplarze „Timesa” i „Daily Mail” oraz duży pojemnik na herbatniki z napisem: „Sucharki jej lordowskiej mości”. Jej lordowska mość nie jadła ich w tej chwili. Bardzo powoli piła kawę i starała się całkowicie skupić na tej czynności, żeby nie kłócić się z mężem.

Powodem była Clodagh. W ciągu ostatnich sześciu tygodni stała się prawie jedynym tematem rozmów. Na początku Unwinów łączyła pełna miłości troska i ulga, że córka znów jest z nimi w domu. Oboje byli też zadowoleni z jej przyjaźni z mieszkańcami Grey House. Potem jednak sir Ralph zaczął układać finansowe plany umożliwiające Clodagh pozostanie w domu i to, co było drobną rysą w ich zgodnym do tej pory postępowaniu, zamieniło się w szeroką rozpadlinę.

Margot Unwin kochała swą najmłodszą córkę tak samo mocno jak mąż, ale w przeciwieństwie do niego potrafiła trzeźwo myśleć. Okres dojrzewania Clodagh, huśtawka kłopotów, wagarów, przyjaciół ze złamanymi sercami, którzy zawsze wydawali się bardziej kochający niż kochani, uświadomiły matce, że należało córkę, używając języka hodowców koni, wziąć w cugle. Starszemu rodzeństwu Clodagh można było dać trochę więcej swobody, ponieważ przestrzegali konwenansów, byli mniej zmienni i o wiele bardziej nudni. Sir Ralph nigdy nie przestał wierzyć, że Clodagh, pozostawiona sama sobie, stanie się tak uległa i będzie zachowywać się tak jak młody Ralph i Georgina. Spróbuj zmusić Clodagh do czegokolwiek, powtarzał, a skutek będzie taki, jak wrzucenie zapalanej zapalniczki do beczki z prochem. Trzeba dać jej przestrzeń, której potrzebuje, i kiedy uzna za stosowne, zacznie postępować tak odpowiednio, jak tylko można

sobie tego życzyć.

– Przestań mówić mi znowu o tym prochu – powiedziała Margot Unwin.

– Przepraszam – sir Ralph był lekko rozdrażniony. Z latami polubił to porównanie. – Próbuję tylko zilustrować to, o czym jestem przekonany.

– Wiem, o czym jesteś przekonany.

Sir Ralph zaczął energicznie smarować tost masłem.

– I mam rację. Jej powrót z Ameryki jest tego dowodem. Odkryła, że nie może prowadzić cygańskiego życia na taką skalę, na jaką by chciała, więc rozsądnie postanowiła wrócić do domu.

– Nie sędzę – Margot odstawiła filiżankę – by można było nazwać prawie pewne zaręczyny z niezwykle wziętym amerykańskim prawnikiem cygańskim trybem życia. Podejrzewam, że cygańskim nazywasz fakt ich wspólnego mieszkania. I to nie zdrowy rozsądek przyprowadził Clodagh do domu, ale potrzeba schronienia...

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzał Shadwell i dwa rudo-białe spaniele.

– Przyszedł pan Dunne. I pan Jordan. Poprosiłem ich do biblioteki. Pan Dunne prosił, żeby się pan nie spieszył, bo on i tak jest za wcześnie.

– Dziękuję, Shadwell.

Drzwi zamknęły się. Sir Ralph wstał i strzepnął swą ogromną serwetkę jak łopoczący na wietrze żagiel.

– Później o tym porozmawiamy, Margot.

Nie ruszyła się, powiedziała jednak swym najbardziej rozkazującym tonem:

– Powinieneś wiedzieć, Ralph, że jestem absolutnie przeciwna temu, co chcesz zaproponować Henry’emu. To nie jest w porządku. To ogromna niesprawiedliwość wobec młodego Ralpha i Georginy, a w przyszłości prawdopodobnie tragedia dla Clodagh. Nie będę obecna na waszym spotkaniu, ale będzie z tobą mój duch. – Przerwała, a po chwili dodała: – Cały czas.

A potem wzięła do ręki „Daily Mail”, rozłożyła ją i otworzyła z

precyzją na artykule Nigela Dempstera.

– Kim oni są?

Henry Dunne zerknął z ukosa na marmurowe popiersia ustawione na górnych półkach w bibliotece.

– Wydaje mi się, że to cesarze rzymscy.

– Boże drogi! – wykrzyknął Martin. – Prawdziwi?

– O tak, to towar na wielkie zwiedzanie. Ten pokój został urządony około roku 1780.

– Jest zdumiewający...

– Uroczy, prawda? – dodał Henry z niedbałością człowieka przyzwyczajonego do takich rzeczy.

Pokój był bardzo długi. W jednym jego końcu znajdowały się trzy okna zajmujące całą wysokość ściany. Wypełniony był w całości książkami, nad którymi w jednym rogu przypięta była ogromna mapa posiadłości. Przy oknie obszerne podwójne biurko zavalone było papierami, a równoległe do kominka sympatyczna stara sofa z czerwonej skóry stała frontem do pięknego portretu Unwina, który urządził ten pokój i ustawił w jego rogach marmurową boginię, rzymskiego senatora i posąg z brązu według Flaxmana przedstawiający świętego Michała zabijającego szatana. Pozostała część zapelniona była gablotami z mapami, stołami pełnymi papierów i koszykami dla psów. Gdzieś tam wielkie ozdobne rośliny wystawały z orientalnych waz, zwracając swe majestatyczne prążkowane trąbki w stronę światła.

Powietrze w pokoju przesiąknięte było zapachem mężczyzny, psa, wypolerowanej skóry i historii. Martin pociągnął nosem. To jest naprawdę coś, pomyślał używając zwrotu, którym kiedyś określił Alice.

Sir Ralph z dwoma spanielami wszedł do pokoju i życzliwie powitał gości. Trzymał w ręku plik papierów, a za nim kroczył Shadwell niosąc tacę z kawą. Po wymienieniu uścisków dłoni mężczyźni usiedli wokół ognia, a trzeci baronet spoglądał na nich ze swego miejsca nad kominkiem, tak jak robił to przez ostatnie dwieście lat. Sir Ralph wskazał na niego dłonią.

– Sir John. Jego starszy brat, Ralph, zmarł będąc dzieckiem. To

jedyny John w nieprzerwanej linii Ralphów, od czasów Jakuba I. Tak więc widzi pan – powiedział podając Martinowi filiżankę – że weźmie pan na siebie, jeśli pan się zgodzi, ponad trzystu członków rodziny.

– Henry wspominał mi...

– Tak? To dobrze. To znakomicie. Chciałem się z panem zobaczyć od razu, ale Henry jest tak strasznie ostrożny. Prawda, Henry? Uparł się, że sam z panem najpierw porozmawia. Więc co pan na to?

Martin bał się, że jego zapal wypisany jest na twarzy.

– No cóż, naturalnie, sir Ralphie, jeśli tylko pomysł ten spotka się z aprobatą moich szefów, będę niezmiernie rad.

– Dopilnuję, żeby byli zadowoleni. Mój drogi przyjacielu, oczywiście, że skorzystają z tej oferty. Nie mam słów, żeby wyrazić, jak wiele zmienia fakt, iż mieszka pan tak blisko.

Henry, przypominając sobie jak to on i Juliet byli nieustannie nękanymi nocnymi telefonami dotyczącymi interesów posiadłości, zajął się swoją filiżanką kawy.

– Widzi pan, pierwszą rzeczą, którą chcę z panem przedyskutować, jest materialne zabezpieczenie mojej córki, Clodagh. Wiem, wiem – powiedział zbywając machnięciem ręki rosnący sprzeciw Martina, który chciał wyjaśnić, że z zawodowego punktu widzenia nie może nawet wysłuchiwać prawnych problemów kogoś, kto nie jest jeszcze jego klientem – nic mi pan nie może jeszcze powiedzieć. Ale ja chcę panu coś powiedzieć. Bo jest to pierwsza rzecz, z którą będzie pan miał do czynienia.

Wstał i podszedł do dzbanka z kawą. Za jego plecami Henry dał Martinowi znak, żeby przyjmował wszystko, co sir Rajph powie, ze zgodnym uśmiechem, nawet gdyby to było dość dziwaczne. Lord Unwin wrócił i gwałtownym ruchem odzianego w tweed ramienia nappełnił filiżanki.

– Naturalnie ten dom i cała posiadłość przejdą w ręce młodego Ralpa. Jest to oczywiste i mogę być tylko wdzięczny, że on tego chce, a nie uważa na przykład, że powinien prowadzić bezpłatną

jadłodajnię w Stepney albo jakiś zespół muzyczny. Jeśli chodzi o dziewczęta, to mam dla nich kilka folwarków pod zarządem powierniczym. Folwark Georginy znajduje się w Walii, a Clodagh niedaleko stąd, kolo Wimborne. Nie mogą ich otrzymać do chwili mojej śmierci, ale chcę, żeby Clodagh przejęła swoją posiadłość już teraz. Sądzę, że potrzebny jest jej dochód. Co pan o tym myśli? Czy będę miał kłopot z tym zarządem powierniczym? Mówiąc szczerze, Martin, ja nie lubię kłopotów.

Martin przełknął ślinę.

– Trudno jest mi powiedzieć, nie znając żadnych szczegółów...

– Ale przecież musi pan – powiedział sir Ralph bardzo życzliwie – znać się na majątku powierniczym. Jest pan prawnikiem.

– To jest bardzo skomplikowane – wtrącił Henry, przychodząc Martinowi na ratunek. – I dopóki Martin nie zobaczy wszystkich dokumentów...

– To jest terminowy majątek powierniczy – sir Ralph nadal zwracał się do Martina.

Jordan odstawił filiżankę.

– Zazwyczaj jeśli wszyscy spadkobiercy majątku są pełnoletni i są co do tego zgodni, mogą położyć kres kurateli...

– Znakomicie!

– Ale oczywiście nie musi się to odnosić do pana przypadku z powodu jakichś okoliczności, o których jeszcze nie wiem.

– Widzi pan, ja chcę – powiedział sir Ralph uśmiechając się uroczo – móc zapewnić Clodagh takie utrzymanie, żeby nie czuła się zmuszona do przyjęcia jakiejś nieodpowiedniej pracy. Zna pan Clodagh na tyle dobrze, by zgodzić się ze mną, że nie można do tego dopuścić.

Henry, widząc, że Martin ma zamiar zapytać, jaka praca byłaby zdaniem sir Ralpa odpowiednia dla Clodagh, głośno zakasłał i zmarszczył brwi.

– Tak – powiedział niezbyt przekonująco Martin. Sir Ralph podszedł do okna.

– Proszę na to spojrzeć. Martin stanął obok niego.

– Widzi pan te nowe sadzonki? Wszystkie drzewa są miejscowe. Nie chcę panu nawet mówić, ile straciliśmy wiązów, a teraz Henry mówi mi, że w lasu bukowym pojawiła się próchnica. No i co pan na to?

Odwrócił się i spojrział na Martina.

– Moje drzewa, moi dzierżawcy, moja córka. Pan i Henry razem, co? Będą panowie utrzymywać tu porządek. Niech pan zadzwoni w tygodniu do Henry’ego, już po rozmowie z przełożonymi, a on powie panu, co dalej. – Wyciągnął rękę i uścisnął serdecznie dłoń Jordana. – Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę. Proszę pozdrowić swoją śliczną żonę.

W te dni, kiedy Clodagh odwoziła i przywoziła Natashę ze szkoły, Alice malowała. Zaczęła tworzyć większe, bardziej abstrakcyjne obrazy i zastanawiać się o wiele częściej niż dotychczas nad światłem, kolorem, a także kształtami. Kiedy akurat nie malowała ani nie zajmowała się dziećmi lub domem, Clodagh oprowadzała ją po miasteczku przedstawiając mieszkańcom. Clodagh знаła wszystkich. Zadbała o to, żeby ich poznać jeszcze jako dziecko, częściowo z ciekawości, a częściowo z chęci szokowania. Mieszkańcy przywykli do niej do tego stopnia, że dawano jej klapsy i krzyczano na nią jak na pozostałe dzieciaki. To w miasteczku nauczyła się obscenicznych nazw części ciała, którymi tak gorszyła później Georginę, tutaj też zakradała się po jabłka (robiła to tylko dla zabawy, jako że szklarnie w Parku obfitowały w białe brzoskwinie i winogrona black hamburg), oraz przyłączała się do band palących ogniska w nocy 5 listopada\* [Zwyczaj związany z postacią Guya Fawkesa (przywódcy tzw. spisku prochowego z 1605 r. ), którego kukłę pali się w Anglii w dniu 5 listopada (przyp. red. )], wkładając petardy do pojemników na śmieci. Gdy obserwowała, jak kosze tańczą i hałasują ich pokrywy, przeżywała chwile najszczerzej radości, powiedziała kiedyś w rozmowie z Alice.

Dlatego też mieszkańcy woleli ją od pozostałych Unwinów, chociaż, co świadczyło o ich niekonsekwencji, byliby zgorszeni, gdyby sir Ralph albo lady Unwin spoufalali się tak, jak Clodagh.



Ona miała wolny wstęp wszędzie. Alice, trochę zażenowana i pełna obawy, że może przeszkadza lub zachowuje się nieco protekcyjnie, wchodziła z nią i wychodziła z szeregu bawialni, gdzie w kącie stały włączone telewizory, w które nikt nie patrzył, i gdzie stare belki i kominki obudowano sklejką, aby ukryć ich braki. Piła dużo czarnej herbaty, wysłuchiwała nie kończących się monologów na temat zdrowia i pomagała zmywać w kuchniach, gdzie smażyły się frytki, a części motocyklowe stały tuż obok w innych pojemnikach z olejem. W nowych domach okna widokowe wpuszczały czyste, niczym nie zaćmione światło, a na gzymsie kominka rosły piramidy zwierzątek z miedzi i ozdobnych porcelanowych naporstków. Alice prawie nie zauważyła dzieciennych wózków w ogrodach i trójkołowych rowerków tarasujących sienie.

– Nie stać ich na to – wyjaśniła jej Sally Mott. – Nikogo nie stać na mieszkanie tutaj, chyba że wydzierżawi dom. Nasz Trevor musiał przenieść się do Salisbury po ślubie, podobnie jak nasza Diana. Kiedy starzy odejdą, Pitcombe zapełni się samymi obcymi. Na przykład dom ojca...

– Spodziewam się, że sprzedamy go ludziom przyjeżdżającym tu na weekendy z Londynu – powiedziała Clodagh. – Nie sądzisz?

– Panienska to się może śmiać...

– Ja się nie śmieję, Sally. Ja się tylko z tobą drażnię. Będiesz miała dużo pracy opiekując się nimi, czemu więc narzekasz?

Sally Mott nauczyła się, jak narzekać, od Rosie Barton. Rosie kierowała swym własnym życiem. Starła się uczulić niektóre kobiety z miasteczka, by nie pozwalały się wyzyskiwać. Sally dojrzała już do takich poglądów, dojrzała do skarg. Rzuciła pracę sprzątaczką w Parku niedługo po tym, jak Rosie Barton osiedliła się w Pitcombe, i nie miała najmniejszego zamiaru znowu tego robić, tym razem szorując dla przyjezdnych. Piękne dzięki.

Lettice Deverel też miała własne poglądy na temat osób przyjeżdżających do Pitcombe na weekendy. Clodagh zabrała Alice, żeby przedstawić ją Lettice, jak również wypić filiżankę neski i zjeść trochę kruchego ciasta w wygodnej kuchni plebanii.

Lettice Deverel powiedziała, że błoto i tak w końcu weźmie górę nad fałszywymi turystami, a Peter Morris dodał, że niezły z nich pożytek podczas zbierania na tacę, ale kiepski podczas modlitwy.

Kiedy dwie młode kobiety wyszły, Peter podszedł do Lettice i zapytał ją, czy nie uważa, że Alice wygląda teraz o wiele lepiej. Lettice zgodziła się z nim, ale nie wydawała się szczególnie zachwycona.

– Czasami udaje ci się świetnie naśladować zrzędlivą starą pannę...

– Clodagh Unwin – powiedziała Lettice – potrzebuje dobrej ciężkiej pracy. Ona po prostu tego unika i rządzi tą biedną dziewczyną.

– Biedna Polly – odezwała się nagle papuga. – Śliczna Polly. Biedna Polly jest smutnym flejtuchem.

– Dlaczego biedną?

Lettice Deverel odkręciła kran i naląła wody do solidnego czarnego czajnika.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, Clodagh dogadza swoim zachciankom. A po drugie, Alice Jordan dojrzała do zerwania.

Peter Morris zaczął się śmiać. Po chwili, zastanowiwszy się nad dowcipem, przyłączyła się do niego papuga.

– Więc nie pochwalasz przyjaźni doskonałej?

– Nie pochwalam robienia z ludzi głupców.

– Głupiec! – krzyknęła z ożywieniem papuga. – Głupiec! Dzień dobry. Kim jest ten śliczny kobziarz, jeśli wolno mi spytać?

– O Boże – powiedziała Clodagh popychając wózek z Charliem wzdłuż głównej ulicy. – Lettice znów ma mi coś za złe. Zdarza jej się to co trzy lata i nigdy nie chce mi powiedzieć dlaczego.

– Może – zasugerowała Alice – uważa, że jesteś na tyle bystra, by się domyślić.

– Tym razem wiem, o co jej chodzi. A co więcej, wyprzedziła mnie...

– Co masz na myśli?

Tuż przy nich stanął samochód i kobiecy głos odezwał się wyraźnie:

– Pani Jordan?

Zatrzymały się. Kobieta wyglądająca przez okno samochodu była jaskrawo umalowana, miała starannie ułożone włosy i niebieską bluzkę ze związaną pod szyją wstążką. Clodagh, stojąc za Alice, syknęła z niezadowoleniem.

– Jestem Cathy Fanshawe, pani Jordan. Już od kilku tygodni miałam zamiar panią odwiedzić, ale ciągle coś mi przeszkadzało. Biegam tu i tam i już sama nie wiem, co robię. Chodzi o konserwatystów...

Alice nachyliła się do okna samochodu.

– Konserwatystów?

– Mój mąż jest przewodniczącym naszego okręgu. Tak się cieszymy, że państwo przeprowadzili się do Pitcombe. Geoffrey powiedział...

Clodagh szturchnęła Alice mocno w plecy.

– Pani Fanshawe, obawiam się, że raczej nie jestem zwolenniczką konserwatystów...

– Ale przecież – powiedziała pani Fanshawe mając w pamięci Grey House, powierzchowność Martina i jednoznaczny wygląd mundurka szkolnego Natashy – nie sądzi pani chyba, że liberałowie stanowią w tej chwili jakąkolwiek alternatywę?

– Nie – odpowiedziała Alice. – Nie sądzę. Ja... Clodagh nachyliła się do okna samochodu obok Alice.

– Obawiam się, że ona jest jak małe dziecko, jeśli chodzi o politykę. I większość innych rzeczy. To bardzo smutne.

Pani Fanshawe wyglądała na zdenerwowaną. Jej zadbana dłoń powędrowała do szyi, by poprawić kokardę.

– To może pani mąż...

– On jest jeszcze gorszy – powiedziała Clodagh stanowczo. – O wiele gorszy. To praktycznie komunista.

Alice zaczęła się trząść.

– Tak mi przykro.

– Może mogłabym wpaść do państwa któregoś wieczoru? Z formularzami. – Spojrzała Alice prosto w oczy. – Porozmawialibyśmy wtedy o tym, jak się należy.

Alice bezradnie osunęła się na chodnik w bezgłośnym śmiechu. Charlie obserwował ją poważnym wzrokiem ze swego wózka.

– Widzi pani? – powiedziała Clodagh do pani Fanshawe. – To naprawdę smutne. Nie nadaje się do podejmowania dojrzałych decyzji. Nie wydaje mi się, żeby konserwatyści mogli naprawdę jej chcieć. A co pani o tym sądzi?

Zaczerwieniona z oburzenia pani Fanshawe wrzuciła bieg.

– To naprawdę beznadziejny przypadek – dodała pośępnie Clodagh.

Alice wydała z siebie cichy skowyt. Pani Fanshawe z ogromną szybkością zasunęła szybę i w zdenerwowaniu zbyt raptownie puściła sprzęgło, tak że samochód skoczył do przodu jak kangur. Po drugiej stronie ulicy stary Fred Mott przyglądał się całej tej scenie stojąc w oknie za swoją kolekcją kaktusów. Widział podskakujący samochód, rozchichotaną Alice siedzącą wciąż bezradnie na ulicy i Clodagh stojącą nad nią z wyrazem głębokiego ubolewania na twarzy. Zaczął cicho chichotać.

– Co z tobą? – spytała go żona jego wnuka, Sally, przynosząc mu z kuchni talerz rosołu z makaronem.

– Dziewczyny – powiedział Fred sapiąc. – Dziewczyny, tam. Zepsute dziewczuchy.

Sally spojrzała.

– Nie zwracaj na nie uwagi. To tylko panienka Clodagh znowu nad kimś się znęca. To wszystko.

Clodagh wzięła Alice pod ramię.

– Wstań, na miłość boską. No wiesz? Co ludzie pomyślą? Najpierw wyprowadzasz z równowagi tę miłą panią Fanshawe, która uwielbia moją matkę, a potem siadasz na ziemi i chichoczesz jak wachający klej uczeń. Charlie jest nieźle zgorszony.

– Ba – powiedział Charlie.

Alice podniosła się z trudem, wycierając oczy.

– Clodagh, jesteś bezczelna...

– Wprost przeciwnie. Próbuję zabrać cię z ulicy i zaprowadzić do zacisza twego własnego domu, zanim całe miasteczko pomyśli,

że sobie nieźle popijasz. – Pomachała ręką w stronę przelotującego swój rosół Freda Motta. Uśmiechnął się do niej i potrząsnął łyżką. – Jeśli Sally Mott nas widziała, mamy spore szanse znaleźć się w jutrzejszych nagłówkach „Sun”. – Zaczęła energicznie pchać wózek pod górę, nie przestając mówić.

Oslabiona śmiechem Alice podążyła za nią.

– Głupie – skomentowała Sally Mott, postanawiając powiedzieć o tym Gwen. – Za stare, żeby zachowywać się jak dzieciaki.

– Ja lubię dobrą zabawę – powiedział Fred z brodą ociekającą rosółem. – Lubię też wesołe dziewczyny, o tak.

Po lunchu Clodagh zabrała Charliego na górę, położyła go w łóżeczku i nastawiła pozytywkę. Rozległy się tony kołysanki, które powoli usypiały małego. Charlie lubił swoje łóżeczko. Włożył paluszek do buzi, przekręcił się na bok i poddał cichym dźwiękom melodii. Clodagh ucałowała jego rozgrzaną okrągłą główkę, zasunęła zasłony i zeszła do kuchni. Alice wkładała właśnie talerze do zmywarki przed pójściem do swej pracowni, gdzie zamierzała malować do powrotu dzieci. W kuchni panowała atmosfera poobiedniego odprężenia. Alice zamknęła zmywarkę i wyprostowała się.

– Nie idź – powiedziała Clodagh.

Stała w przejściu do holu wciąż obejmując dłonią gałkę u drzwi.

– Co, mam nie malować? Myślałam, że...

– Chcę z tobą porozmawiać.

Alice wstrzymała oddech. Stała wciąż przy zmywarce, jej sylwetka rysowała się na tle okna. Clodagh obesła stół, podeszła do dwóch drewnianych foteli przy piecu, podniosła z jednego z nich Balona i usiadła kładąc go sobie na kolanach.

– Podejdź tu – powiedziała. – Podejdź, żebym mogła cię widzieć.

Bardzo wolno Alice zbliżyła się. Usiadła naprzeciwko Clodagh, wyprostowana i czujna, jakby zbierając siły do kłótni.

– Co...

– Poczekaj – przerwała jej Clodagh głaszcząc kota.

– Co to znaczy, poczekaj...

– Poczekaj, aż pozbędziesz się tego lęku i niepokoju. –

Spojrzała na Alice. – Czego się boisz?

– Nie boję się.

– Na pewno?

– Jestem tylko niespokojna.

– No to w porządku.

Zapadło milczenie. Słysząc było jedynie mruczenie Balona i odgłos przelatującego gdzieś daleko samolotu. Jest druga, pomyślała Alice, druga po południu we środę...

– Już czas – powiedziała Clodagh – nie sądzisz?

– Czas? Czas na co... Clodagh westchnęła lekko.

– Czas, żebym ci powiedziała, że cię kocham. Czas, żebyśmy zaczęły.

Alice nie odezwała się. Siedziała zupełnie bez ruchu i wpatrywała się w przyjaciółkę. Clodagh uniosła Balona, pocałowała go w nos i postawiła na podłodze. Potem spojrzała na Alice.

– Wiesz, że jestem rozpieszczonym dzieciuchem – zaczęła. – Wiesz, że zawsze muszę mieć od razu to, czego pragnę. No cóż, według moich kryteriów czekałam na ciebie, ponieważ wiedziałam, że jesteś tego warta. Czekałam od chwili, gdy zobaczyłam twoje odbicie w lustrze, kiedy wchodziłaś do salonu podczas przyjęcia. Zakręciło mi się w głowie. Miłość od pierwszego wejrzenia. Miłość do Alice.

Wstała, przeszła dzielącą je odległość i uklękła przed przyjaciółką.

– A co ty czujesz?

– Ja? – zapytała Alice lekko zdławionym głosem.

– Tak. Ty. Co czujesz, kiedy myślisz o mnie?

Alice pochyliła się do przodu i objęła dłońmi twarz Clodagh.

– Czuję, że nie mogę ścierpieć, kiedy wychodzisz z pokoju.

– Jeszcze – powiedziała Clodagh.

– Wszystko, co robimy razem, wydaje mi się lepsze, bardziej

zabawne, niż gdybym robiła to sama lub z kimś innym. Dzięki tobie polubiłam samą siebie. Czuję się... o wiele bardziej do wszystkiego zdolna. Jestem taka szczęśliwa – objęła Clodagh za szyję i zanurzyła twarz w jej włosach.

– Jestem taka szczęśliwa, że chyba oszaleję.

Clodagh uwolniła się z jej objęć, by móc ją trochę od siebie odsunąć.

– Pocałuj mnie. Alice schyliła się ku niej.

– Nie – powiedziała Clodagh. – Zmieniłam zdanie. To ja ciebie pocałuję. Wydaje mi się, że trzeba tobą trochę pokierować.

Po dłuższym czasie, obserwowana obojętnie przez kota, odsunęła się od Alice i powiedziała:

– Znowu błąd. Nie trzeba tobą wcale kierować. Potrzeba ci tego samego, ale w o wiele większej dawce.

Wstała.

– Chodź.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli łóżko. Alice zaparło dech w piersiach.

– Łóżko!

Clodagh uklękła, rozpięła Alice bluzkę i włożyła pod nią obie dłonie. Po kilku sekundach dotknęła jej piersi ustami. Alice siedziała z zamkniętymi oczami. Ogarniało ją bardzo powoli uczucie ulgi, jakby wyzwalala się z jakichś więzów. Miała wrażenie, że rozkwita, jak japoński kwiat z papieru wrzucony do wody i pęczniejący do rozmiarów ogromnej bujnej rośliny. Clodagh obróciła twarz, tak by jej policzek spoczywał na skórze Alice.

– Spójrz na siebie – powiedziała ochryłym głosem. – No, spójrz na siebie. Jesteś taka sama jak te wszystkie cholerne baby. Myślałaś, że kiedy dwie kobiety zakochują się w sobie, przynajmniej jedna z nich musi zachowywać się w łóżku jak mężczyzna, a druga jakby była mężczyzną, prawda? Zaczynasz pojmować? Czy zaczynasz pojmować, że jest to dla nas tak wspaniałe, bo doskonale wiemy, czego pragnie druga? Ponieważ same tego chcemy? – Odsunęła twarz i spojrzała w górę. Alice

była jakby w transie. Clodagh wstała i pochyliła się, by wziąć ją za rękę.

– Alice – powiedziała. – Alice. Chodź ze mną.



W czerwcu Anthony Jordan sprzedał swe luksusowe, lecz pozbawione jakiegokolwiek charakteru mieszkanie na Tregunter Path w Hongkongu, uprzątnął biurko w pracy i powiedział dziewczynie, która przez cztery lata żyła nadzieją na małżeństwo, że się z nią nigdy nie ożeni. Potem wziął taksówkę na lotnisko Kai Tak z całym dobytkiem dziesięcioletniego pobytu na Bliskim Wschodzie spakowanym oszczędnie w trzy walizki. Powiedział przyjaciółom, że czuł się wyczerpany klimatem i ciasnotą Hongkongu i że chce spróbować swych możliwości w innej dziedzinie niż finanse. Nie wspomniał, że gdyby nie wyjechał, zostałby obarczony aż nadto niepożądaną żoną, ale i tak wszyscy wiedzieli, że o to właśnie chodzi. W tym konflikcie większość przyjaciół opowiadała się przeciwko Anthony'emu. Zbyt wiele osób musiało znosić jego psychiczny ekshibicjonizm i wykorzystywanie innych, by czuć coś więcej niż wdzięczność do linii „Cathay Pacific” za to, że niezawodnie dowiozą go do domu. Po jego odjeździe Diana McPherson, która wbrew sobie samej bardzo go kochała, zaczęła być często zapraszana przez przyjaciół. Mówiono jej, że lepiej zostać starą panną na całe życie, niż być żoną Anthony'ego przez pięć minut.

Ojciec spotkał się z nim na Heathrow. Widywali się przedtem mniej więcej raz do roku, podczas podróży Richarda na Daleki Wschód, a czasami Anthony przyjeżdżał do Anglii na urlop. Były to rzadkie wizyty, bo wolał jechać do Kalifornii, niż wracać do rodzinnego domu. Zobaczywszy ojca, Anthony pomyślał, że Richard jest w dobrej formie i wygląda dystyngowanie. Richard z kolei uznał, że syn mimo swoich drogich ubrań przypomina nieco dandysa. Wzięli taksówkę do malutkiego mieszkania Richarda na Bryanston Street w centralnym Londynie, a potem poszli do Savoy Grill na obiad. Anthony wiele opowiadał o tym, dlaczego opuścił Hongkong i jeszcze więcej na temat nadzwyczajnych ofert

pracy, jakie miał teraz w City. Stwierdził, że chciałby chyba pracować dla jednego z wielkich banków dyskontowych w Londynie. Richard słuchał, zauważył, że Anthony pił dużo, a jadł mało, po czym powiedział łagodnie, że City oczywiście bardzo się zmieniło. Anthony odburknął, że ojciec nie ma żadnego pojęcia o City. Richard westchnął, myśląc, że nawet jeśli City zmieniło się, Anthony najwyraźniej pozostał taki jak kiedyś.

Dopiero w drodze do mieszkania Anthony zapytał ojca o rodzinę.

– Powinieneś sam pojechać i zobaczyć.

– Staremu Martinowi – powiedział Anthony, przyglądając się przez okno taksówki zamętowi na Piccadilly Circus – raczej się powiodło.

– Bez wątpienia.

– To, czego dokonał, zdaje się być w zgodzie z waszymi oczekiwaniami.

– Mogę mówić tylko za siebie i nie zgodziłbym się tu z tobą. Jak długo robicie w życiu to, co wam najbardziej odpowiada, o ile jest to w ogóle możliwe, tak długo ja jestem zadowolony, a sędzę, że wasza matka też.

– Bardzo dyplomatyczna odpowiedź. Richard milczał.

– Ładny dom – ciągnął Anthony lekko drwiącym głosem. – Śliczna żona. Trójka dzieci. Przyzwoita praca. Dobrze mu się powodzi. Filar społeczeństwa. Stary dobry Martin.

– Tak – przyznał Richard – to wszystko prawda.

– I to jest to, czego zawsze pragnąłeś dla mnie...

– . Wcale nie – odpowiedział ojciec opanowanym, cierpliwym głosem, którego używał teraz bardzo często w rozmowach z Cecily. – Chyba że ty sam tego chcesz.

Anthony wydał z siebie cichy jęk.

– Cholera jasna...

Taksówka przejechała przez Oxford Circus i skręciła w lewo.

– Odwiedź ich – powtórzył Richard. – Na pewno polubisz dzieci.

Anthony odwrócił się w jego stronę.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć? Matka mówiła, że prawie w ogóle ich nie widzisz.

Jakże wielu ojców o takiej jak on pozycji społecznej, pomyślał z wściekłością Richard, marzy czasem namiętnie, by móc uderzyć swych synów. Jakże często zazdroszczą oni robotnikom, którzy po prostu to robią i unikają w ten sposób bezsennych nocy pełnych dręczących myśli i bezsensownych dni spędzonych na jałowych pertraktacjach. Wziął głęboki oddech.

– Mam to szczęście – powiedział – że są w moim życiu osoby, które uznają mnie za istotę ludzką. Nieszczęściem jest to, że moja własna rodzina tak nie uważa.

Anthony wybuchnął zbyt głośnym, rechoczącym śmiechem.

– Oj, jak to dobrze być znowu w domu! Oj, jak dobrze! Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, a wśród nich nadęty ojciec.

Taksówka zatrzymała się. Richard spojrzął na syna.

– Czy ty masz trzydzieści sześć lat?

– Tak...

– Trzydzieści sześć. – Richard otworzył drzwi i wy dostał się z taksówki. Anthony usłyszał, jak wzdycha i mówi do kierowcy: – Proszę mi dać czterdzieści pensów reszty.

Kiedy taksówka odjechała, Anthony zapytał ojca stojąc z nim razem na chodniku:

– Dlaczego mnie o to spytałeś?

– Nie usatysfakcjonuję cię uczciwą odpowiedzią. Nie chcę kłótni w twoją pierwszą noc w domu.

W windzie Anthony powiedział:

– Mam ochotę na jednego głębszego przed snem...

– Bardzo proszę.

– Przyłączysz się do mnie?

– Nie, dziękuję. Muszę jutro wstać o szóstej. Uśmiechając się i wpatrując w ojca, Anthony zaczął nucić.

Richard spróbował odwzajemnić ten uśmiech, tak jakby dzielili wspólnie żart, a nie urazy.

Po kilku dniach w Londynie Anthony pojechał do

Dummeridge. Czerwcowe popołudnie było wyjątkowo piękne, powietrze przejrzyste i Anthony pogratulował sobie, że opuścił nieruchome mgły Hongkongu dla pogody, która zachowywała się tak, jak powinna. Wiózł ze sobą mnóstwo prezentów dla Cecily: kupon jedwabiu, butelkę różowego szampana, torebkę z tworzywa sztucznego od Gucciego oraz pochodzącą z Korei miniaturową dziewiętnastowieczną skrzyneczkę na leki. Od jego przyjazdu rozmawiali ze sobą codziennie przez telefon. Były to długie błahe rozmowy kojące żal, jaki Anthony nosił w sercu. Trzy dni spędzone w towarzystwie powściągliwego ojca tylko ten żal rozjątrzyły. Anthony nie mógł za nic zrozumieć, dlaczego Richard nie potrafił się odprężyć. W końcu był przecież tylko inżynierem, jakkolwiek wziętym. Jakim prawem wydawał przez cały czas sądy, bo niewątpliwie tak robił, a potem mówił bez ogródek, co jest nie w porządku. Ostatnie trzy wieczory w Londynie spędzili za obopólną zgodą osobno i Anthony nie miał pojęcia, czym wtedy zajmował się ojciec. Mieszkanie było tak schludne jak kajuta na statku. Anthony dobrze mu się przyjrzał. Zajrzał do wszystkich kredensów i szuflad i zdziwił się niepomiarnie znajdując na komodzie zdjęcia Natashy, Jamesa i Charliego oraz swoje własne, zrobione całkiem niedawno na wycieczce do Manili. Znalazł też przy łóżku tomik poezji Sylwii Plath.

Poza tym było to typowe funkcjonalne mieszkanie mężczyzny: ubrania, kawa, whisky i aspiryna. Anthony zrozumiał teraz, dlaczego matka nigdy się do tego miejsca nie zbliżała. Mieszkanie ojca nazywała jego drugą szafą na dokumenty. Miała rację.

Aleja prowadząca do Dummeridge wysadzana była krzewami głogu o różowych i białych kwiatach. Trawa, zauważył Anthony, była nie tylko jaskrawozielona, ale również lśniąca i bujna. Przez ostatnie pół mili jechał wolno, patrząc na zalesione wzgórza po obu stronach drogi i wciągając głęboko powietrze, by poczuć zapach morza. Był podniecony, gdy myślał o tym, jakie wrażenie wywrze na domownikach po tych wszystkich latach, lecz mniej już interesowało go, jak też oni teraz wyglądają. Drzwi wejściowe były otwarte, kiedy zatrzymał się przed domem, i niemal

natychmiast wybiegła z nich Dorothy ucieszona jego widokiem. Poinformowała go, że Cecily jest w ogrodzie z panią Dunne i dziećmi. Pocałował Dorothy, odsunął od siebie, by na nią spojrzeć i powiedział:

– Zupełnie się nie zmieniłaś. Pisnęła radośnie.

– Bzdura – powiedziała. – Nonsens. Bezczelny jak zawsze. No idź już, szybko. Twoja matka nie może się ciebie doczekać.

Przeszedł przez hol i poczuł znajomy zapach pasty do podłóg i starości. Drzwi do ogrodu były otwarte, a za nimi widać było pas jaskrawozielonej trawy, na której mały chłopiec stał zgięty wpół i obserwował Anthony'ego przez rozstawione nogi. Anthony nie lubił zbytnio dzieci. Były jego zdaniem na ogół zbyt szczerze.

– Już jest! – wrzasnął chłopczyk zduszonym ze względu na niecodzienną pozycję głosem. – Już idzie! Już idzie!

Anthony wyszedł na słońce. Cecily zaczęła niemalże biec w jego kierunku i rzuciła mu się w objęcia. Pomyślał, że matka zaraz się rozpłacze. Trzymała go w silnym uścisku, przytulając twarz do jego twarzy.

– Kochanie. Kochany Anthony. Och, jak cudownie. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, po prostu nie możesz...

Niska pulchna kobieta z czerwonymi lokami związanymi gumką obserwowała ich siedząc pod wierzbą na jednym z kilku krzeseł. Mały chłopiec, który oznajmił przyjazd Anthony'ego, podbiegł do niej i powiedział dobitnie:

– Ale mówiłaś przecież, że to chłopiec. Powiedziałaś, że to chłopiec pani Jordan. A zobacz sama, to tylko mężczyzna.

– Dokładnie to samo czuję – powiedziała Juliet Dunne śmiejąc się i podnosząc z krzesła – za każdym razem, kiedy tatuś wraca do domu. Podeszła do Anthony'ego i Cecily z wyciągniętą dłonią. – Jestem Juliet. A pan jest tym okropnym Anthonym, który nie chciał przyjechać do domu, a teraz wreszcie się pojawił. Zostałam tu jakby zaadoptowana na lato! Taki fart!

Cecily objęła Juliet ramieniem, tak że wszyscy troje stali jakby złączeni.

– Anthony, nie zwracaj na nią uwagi. Ma cięty język, ale

znoszę ją, bo mnie rozśmiesza. – Przerwała na chwilę. – To wielka przyjaciółka Alice.

– Alice?

Juliet westchnęła. Była wyjątkowo ładna, jak kociak. Miała niedużą piegowatą twarz o drobnych rysach i jasnej cerze.

– To takie nudne. Alice ma nową przyjaciółkę i nie chce się już bawić ze swoimi starymi znajomymi.

Cecily pociągnęła ich za sobą pod wierzbę.

– Tak naprawdę nie jestem okropny – powiedział Anthony. – Jestem tylko samotny i nikt mnie nie rozumie.

– Spodziewam się – Juliet popatrzyła wprost na Cecily – że miał pan po prostu straszne dzieciństwo.

Cecily skinęła głową śmiejąc się.

– Straszne.

– Ale kiedy tak było – upiera! się Anthony. – Martin był zawsze ten dobry, który wszystko robił jak należy, a ja byłem ten zły.

Chłopczyk biegł truchcikiem u boku Anthony’ego. Spojrzał w górę na mężczyznę, który tak go rozczarował.

– Mamusia lubi najbardziej złych w telewizji.

– Mamusia wydaje się interesującą osobą.

Usiedli w fotelach z trzciny w nakrapianym słońcem przesuającym się cieniu.

– Niech no na ciebie spojrzę – powiedziała Cecily do Anthony’ego.

– Ja bym tego nie robił. Ojcu nie spodobało się to, co zobaczył.

– Masz worki pod oczami – zauważyła Juliet. Anthony odwrócił się do matki.

– Czy ona zawsze jest taka?

– Obawiam się, że tak.

– Czuję się, jakbym wpadł na przyjęcie w szkolnej sypialni.

– Nie całkiem – stwierdziła Juliet. – To raczej sabat czarownic.

Knujemy.

– Co?

– Jak odzyskać Alice.

– Juliet... – powiedziała Cecily ostrzegawczo.  
– Ojej. Czy powiedziałam coś, czego nie powinnam?  
– Może się okazać, że robisz z igły widły. Anthony wyczuł jakąś intrygę.

– Co się dzieje? Co Alice wyrabia?

– Rzuciła się w wir życia w miasteczku – wyjaśniła Cecily. – To wszystko. Nie ma więc dla nas zbyt dużo czasu, a my za nią tęsknimy.

– Dzwoniła do mnie b e z przerwy – zaczęła opowiadać Juliet – była jedyną osobą, przy której mogłam sobie naprawdę ponarzekać na Henry’ego. Pana matka jest do niczego, bo ona uważa, że Henry to kochany człowiek. Pewnie i jest, na tej samej zasadzie co kochany stary fotel. Lub para nocnych pantofli. – Roześmiała się. – Pan wie, o co tak naprawdę chodzi. Allie uważa, że jestem taka zabawna, no a w tej chwili nie mam żadnych słuchaczy. Cecily uważa mnie za dość zabawną, ale nie na tyle, na ile powinna. Boże mój. Chyba muszę już iść. – Rozejrzała się wokół siebie. – Czy sądzicie, że szczęście uśmiechnęło się wreszcie do mnie i straciłam na zawsze dwójkę z moich trojga dzieci?

Jej syn, najwyraźniej przyzwyczajony do tego typu pytań, powiedział, że bracia są na podwórzu stajennym.

– Idź i przyprowadź ich, skarbie. Czy to nie smutne – zwróciła się do Cecily – że on wygląda dokładnie jak jego ojciec?

– Ona uwielbia Henry’ego – Cecily poinformowała Anthony’ego.

– Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Alice.

– Dlaczego?

– Kiedyś Alice bardzo mi się podobała.

Cecily lekko westchnęła.

– Wiem. Bałam się, że zaczniesz rozrabiać. Żeby dokuczyć Martinowi.

– Próbowałam...

– I co się stało?

– Dała mi kosza.

– O mój Boże. Jaka cnota jest nudna. Staje człowiekowi na drodze strzegąc dostępu do wszystkich przyjemności. Oto i moje okropne dzieci. – Juliet wstała. – Nie powinnam być zła na Allie. Wygląda pięknie jak poranek, najwyraźniej więc dobre uczynki jej służą.

Cecily odprowadziła Juliet i chłopców do samochodu i poczekała, aż odjadą. Kiedy wróciła, Anthony leżał w długim fotelu z trzciny, tym samym, w którym odpoczywała kiedyś Alice podczas jej pierwszego popołudnia w Dummeridge. Miał zamknięte oczy. Nie otworzył ich, gdy usłyszał zbliżającą się matkę. Powiedział tylko:

– Co za papla.

– Jest urocza.

– Tak? Opowiedz mi coś o Alice.

– Dlaczego jesteś taki wścibski?

– Nie jestem. Po prostu tak jak przystało, szczerze interesuję się rodziną mojego brata.

– Ty zawsze masz motyw.

– Nie tym razem. – Otworzył oczy i spojrzał na matkę. – Powiedz.

– Nie ma o czym mówić – powiedziała Cecily. – Sytuacja wygląda dokładnie tak, jak ją przed chwilą przedstawiłam. Alice przeszła załamanie nerwowe po urodzeniu ostatniego dziecka, potem była przeprowadzka, a teraz wzięła na siebie mnóstwo obowiązków w miasteczku. Jest tak potwornie zmęczona, że nie słucha głosu rozsądku i nie chce wyjechać gdzieś na wakacje.

– A ta jej nowa przyjaciółka?

– Najmłodsza córka właścicieli rezydencji w ich miasteczku.

– Czyż nie jest to towarzystwo całkowicie dla niej odpowiednie?

– Całkowicie – odpowiedziała Cecily apatycznie. Wzięła głęboki oddech. – Chcę dowiedzieć się czegoś o tobie.

Anthony znowu zamknął oczy.

– Bezrobotny.

– Czasowo?



– O tak. Nie ma problemu. Dość bogaty.  
– Też czasowo?  
– Prawdopodobnie. Czy Martin jest bogaty?  
– Nie.  
– Prowadzi jednak wygodne życie?  
– Tak – powiedziała niepewnie Cecily.  
– No to jest bogaty. Czy on nie jest przypadkiem zbyt doskonały?

Cecily milczała przez chwilę, po czym stwierdziła:

– Miałam nadzieję, że przywieziesz ze sobą żonę. Anthony ziewnął.

– Byłem zasypywany propozycjami. Dosłownie. Ale nie potrafiłem odwzajemnić uczucia. Chyba nadal kocham się w Alice.

– Nie widziałeś Alice przez dziesięć lat. To bardzo wygodne wyobrazić sobie, że pragnie się kogoś, kogo mieć nie można, i nie musiec wiązać się z nikim innym.

– Ale ja jej naprawdę pragnąłem.

– Dokładnie tak samo, jak pragnąłeś modeli Martina, jego przyjaciela Guya, czy też zazdrościłeś mu pracowitości, gdy przygotowywał się do egzaminów.

– To nie świadczy zbyt dobrze o Alice.

– To ma świadczyć – wyjaśniła Cecily – niezbyt dobrze o tobie.

– Och, o mnie. Ja nie jestem zbyt wrażliwy.

– Wiem.

– Najpierw ojciec jest dla mnie nieprzyjemny, teraz ty. Chyba pojedę do Pitcombe.

– Nie – powiedziała natychmiast Cecily.

– Dlaczego nie?

– Bo z tobą są zawsze kłopoty.

– Nie chcę sprawiać kłopotów. Chcę po prostu, żeby ktoś był wreszcie dla mnie miły. Alice będzie miła.

– Alice – powiedziała Cecily – ma i bez ciebie mnóstwo roboty.

– Po czym zdradziła się całkowicie, zrobiła dumną minę i zaczęła płakać.

Anthony nie pamiętał, by widział przedtem matkę płaczącą. Mało tego, opanowanie było jedną z jej głównych cech, które doprowadzały go do wściekłości jako nastolatek – wydawało się, że absolutnie nic nie mogło zachwiać jej spokoju. Ale teraz była wstrząśnięta. Wiedział, że matka uwielbia synową. Kiedyś sam chciał zdobyć Alice, a głównym powodem był fakt, że matka ją uwielbiała, ojciec bardzo lubił, a Martin pragnął. Były jeszcze inne przyczyny, takie jak osobowość Alice i jej niechęć do niego, które go podniecały i pociągały. Może Cecily i Alice pokłóciły się. Może Cecily była wścibską teściową. Może młodzieńcze uczucie Alice do Cecily wygasło i pojawiła się w jego miejsce, jak to się często zdarza, silna niechęć do dawnego ideału. Anthony, rozważając wszystkie te ewentualności, był raczej skłonny przyjąć ostatnią wersję wypadków. Pomyślał, że spędzi w Dummeridge kilka dni, a przynajmniej odczeka, aż minie radość z powrotu syna marnotrawnego. Zadzwoi do kilku pośredników w City – zostawił porzucony niedbale numer telefonu do Morgana Crenfella na widoku – a później wprosi się do Pitcombe. Starał się być więc czarujący dla Dorothy i dwóch młodych mężczyzn, których matka uczyła, jak zajmować się ogrodem. Podczas posiłków próbował dowiedzieć się od Cecily więcej na temat Pitcombe. Informacjami tymi, jak zauważył z zainteresowaniem, Cecily dzieliła się z nim wyjątkowo niechętnie.

– Anthony! – wykrzyknęła Alice w słuchawkę. Stała oparta o ścianę w kuchni podtrzymując ramieniem jedzącego herbatnika Charliego.

– Chcę, żebyś poprosiła mnie, bym przyjechał.

– Oczywiście. Gdzie jesteś?

– W Dummeridge.

– Och...

– Właśnie. Coś ty zrobiła mojej matce?

– Absolutnie nic.

– Na pewno?

Alice uśmiechnęła się do znajdującej się w drugim końcu kuchni Clodagh.

– Byłam może troszeczkę niezależna... Anthony roześmiał się.

– Rozumiem. Słuchaj. Kiedy mogę przyjechać? Wszyscy są tu dla mnie niemili, co jest raczej okrutne, biorąc pod uwagę, jak się poprawiłem.

– Ja będę dla ciebie miła – powiedziała marzycielsko Alice, spoglądając na Clodagh. – W tej chwili jestem miła dla wszystkich.

– Dlaczego?

– Bo jestem szczęśliwa.

– Co, układając kwiaty w kościele?

– Tak.

– Niesamowite. Ale rzeczywiście wydajesz się szczęśliwa.

Clodagh pochyliła się nad Jamesem, który malował właśnie w rogu dużej kartki papieru mały neurotyczny obrazek bardzo schludnego domu. Oparł się o nią i Alice usłyszała, jak mówi:

– Ty to narysuj.

– Nie, Jamie, ty musisz to namalować.

– Clo – Clo to zrobić – powiedział rozkochanym dzieciennym głosem, wpatrując się w nią.

– Słuchasz? – W słuchawce rozległ się zniecierpliwiony głos Anthony'ego.

– Tak jakby.

– Pasowałyby ci, gdybym przyjechał w piątek *pour le weekend*? Jeżeli będziesz dla mnie bardzo miła, może zostaną trochę dłużej.

– Zrobisz, jak zechcesz. – Alice potarła policzkiem o główkę Charliego.

– Czy wasz dom jest śliczny?

– O, tak – odpowiedziała. – Jest idealny. Naprawdę. Sam zobaczysz.

Odłożyła słuchawkę.

– Brat Martina.

Natasha, która z ważną miną odrabiała pracę domową – nowość w tym semestrze – spojrzała znad niezmiernie schludnego zeszytu i powiedziała uprzejmie do brata:

- Wujek Anthony, którego nigdy nie widziałeś.
- Ty też nie!
- Ja go prawie widziałam. Prawie już się urodziłam. Bardziej niż ty na czas.
- To prawda? – zapytał z twarzą we włosach Clodagh James.
- Niestety.
- Czy ja nigdy nie będę od niej większy? Clodagh pocałowała go.
- Wzrostem będziesz.

Alice podeszła do stołu i usiadła z Charliem. Chciała opowiedzieć Clodagh o Anthonym, ale obecność Natashy z jej bystrymi oczkami uniemożliwiała to w tej chwili. Uśmiechnęła się tylko do przyjaciółki, a ta obeszła stół i pocałowała ją i Charliego.

Wtedy Natasha powiedziała;

- A co z całusem dla biednej Tashie odrabiającej lekcje?

Clodagh podniosła ją z krzesła.

- Jesteś małą kobietką, Tashie, prawda? Natasha objęła ją za szyję.

- Będę taka jak ty, gdy dorosnę.
- Nie. Będiesz taka jak twoja piękna matka.
- A ja też mogę? – zapytał James.

Clodagh posadziła Natashę z powrotem na krześle.

- Spójrz na siebie – powiedziała do Alice.

– Dlaczego, co...

– Wyglądasz na bardzo z siebie zadowoloną...

– Bo jestem, naprawdę jestem.

– Jesteś tak cholernie piękna.

– Ojej... – zawołała Natasha. – Takie słowa przy Jamesie.

– Cholernie – przemówił miękko James do swego obrazka, . –

Cholernie, cholernie, cholernie piękna.

Clodagh pochyliła się ku Alice.

– Piękna.

– Ty też.

– Nie. Ja jestem szczurza twarz. – Położyła palec na policzku Charliego. – A Charlie jest księżycowa twarz.

– A James – dodała Natasha ze śmiertelnym spokojem – jest rybia twarz.

James wydał z siebie skowyt. W tym momencie pod dom podjechał gwałtownie samochód, a w kuchni rozległ się chór dziecięcych głosików: „Tatus! Tatus!” Charlie, drzemający w ramionach Alice jak pluszowy miś, ożywił się chcąc dołączyć do rodzeństwa.

Takiego właśnie powitania Martin pragnął. To był jego najlepszy dzień w pracy, odkąd został młodszym wspólnikiem. Wezwano go do Nigela Gathorne’a, głównego wspólnika, od którego osobiście przyjął gratulacje z powodu pozyskania dla firmy Unwinów. Przełożony poinformował go też bez ogródek, że powodzenie na nowym stanowisku może przyczynić się niepomiaralnie do wzrostu jego dochodów. Później poczęstował Martina kieliszkiem sherry, co uznawane było przez młodszych wspólników za oznakę aprobaty równą przyznaniu Orderu Imperium Brytyjskiego. Gathorne był szczerze zadowolony, że Martin zdołał pozbyć się wszystkich komplikacji i zmartwień, które zdawały się wchodzić mu w drogę od czasu lunchu z Henrym Dunne’em Pod Białym Jeleniem. Jeśli Nigel Gathorne był w stanie przekazać mu tak serdeczne, zawodowe gratulacje, znaczyło to, że osiągnięcie Martina było naprawdę niemałe. Wychodząc z biura szefa Martin poczuł, że winien jest chyba Clodagh przeprosiny za swoje rozdrażnienie na wiadomość o jej udziale w tej sprawie. Teraz był już w stanie myśleć o niej nie rumieniąc się ze wstydu, co ułatwiła mu oczywiście ona sama, będąc dla niego tak naturalnie miłą, pomagając przy dzieciach, przyjaźniąc się z Alice. Z zapałem wywołanym wdzięcznością i dumą ze swego osiągnięcia zdążył już spojrzeć wstępnie na dokumenty Unwinów dotyczące majątku powierniczego. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie powinno być kłopotów z załatwieniem sprawy. Wyobrażał już sobie rozmowę o interesach, jaką będzie musiał przeprowadzić z Clodagh. Było to jego małe marzenie, w którym odzyskiwał poczucie własnej godności, utracone tak haniebnie w trakcie pamiętnej scenki w kuchni

podczas nieobecności Alice. Dwadzieścia po piątej opuścił biuro i w drodze do samochodu wstąpił do Przedsiębiorstwa Win „Victoria” po szampana, który mieli tam na szczęście po bardzo rozsądnej cenie.

– Dasz sobie radę z Georginą – powiedziała Clodagh podziwiając grę świateł w kieliszku szampana. – Łatwiutko.

Siedzieli w salonie, by uczcić sukces Martina.

– Czy ona jest do ciebie podobna? Clodagh starała się nie patrzeć na Alice.

– Ona nie ma absolutnie żadnych odchyłeń. Będzie dokładnie taka jak mama, tylko spokojniejsza. Kupuje ubrania na dzień u Laury Ashley, a na wieczór u Caroline Charles. Buty ma od Bally’ego, a majtki od Marksa i Spencera. Jest kochana.

Alice, z głową opartą na poręczy krzesła i przymkniętymi oczami, zapytała:

– Dlaczego się z nią częściej nie widzisz?

– Bo z jakiegoś powodu zdecydowanie wolę być teraz w domu.

– Coś podobnego! – powiedziała Alice, prawie wybuchając śmiechem. Zwróciła twarz w stronę Martina. – Anthony przyjeżdża. W piątek.

Martin lekko się skrzywił.

– No cóż. To się musiało kiedyś stać. Na jak długo?

– Nie lubisz go? – zapytała z zainteresowaniem Clodagh. – Dlaczego?

– On jest... – zaczęła Alice, a Martin, bojąc się jej krytycznych uwag pod adresem rodziny, wtrącił się szybko, mówiąc:

– Trochę ze sobą walczyliśmy, kiedy byliśmy młodszy. To wszystko. Przez prawie dziesięć lat przebywał w Japonii i Hongkongu. Pewnie bardzo się zmienił.

– Nie wydaje mi się – zauważyła Alice. – Przez telefon sprawiał wrażenie takie jak kiedyś.

Clodagh wstała.

– Poczytam trochę Tashie. A wy w spokoju będziecie mogli sobie wyznać, co tak naprawdę myślicie o Unwinach.

Martin starał się nie przybierać zrozumiąlego wyrazu twarzy.

– Nie powiedziałbym za twoimi plecami niczego, czego nie mógłbym powiedzieć ci później prosto w oczy.

– Wiem – Clodagh wychodząc z pokoju dotknęła lekko jego ramienia, a potem ramienia Alice.

– Tak się cieszę – powiedziała Alice.

Pochylił głowę. Wydał jej się nagle tak młody i słaby jak James. Ogarnęła ją ogromna czułość. Tylko wtedy gdy próbował jej dotknąć...

– Allie...

– Tak?

– Allie, przepraszam, że psuję dobry nastrój, ale jest coś, co mnie ostatnio bardzo martwi...

Napiła się powoli szampana.

– Powiedz mi.

– Chodzi... no cóż, chodzi o nas. To znaczy, wydaje się, że dobrze nam ze sobą i wszystko świetnie się układa, i... – Przerwał. Nie cierpiał tego rodzaju rozmów, ale konieczność była koniecznością. – Posłuchaj. Chodzi... o łóżko. No bo oczywiście, może nie najlepszy ze mnie kochanek, ale ty w tej chwili w ogóle nie chcesz, żebym się do ciebie zbliżył. Nie pamiętam, kiedy robiliśmy to ostatni raz – tygodnie, miesiące temu, sam nie wiem. – Spojrzał na nią błagalnie. – Czy chodzi o mnie?

Wyprostowała się, postawiła kieliszek na ziemi i złożyła ręce na kolanach. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie – powiedziała. – To nie twoja wina. To znaczy, nie ma to nic wspólnego z tym, co robisz. Ani z tym, czego nie robisz.

– No to...

– Tu chodzi o mnie. Ja po prostu nie chcę, żebyś się ze mną kochał. Absolutnie nie chciałabym cię urazić, ale muszę być z tobą szczerą, bo w końcu tak będzie naprawdę lepiej.

Zapadła cisza, a potem Martin odezwał się, spoglądając na swe skrzyżowane ramiona spoczywające na kolanach:

– Sądziś, że powinniśmy zwrócić się o pomoc? Do poradni małżeńskiej czy czegoś takiego?

– Nie – odpowiedziała Alice łagodnie. – Nie chcę tego robić.

Chciałabym cię przeprosić, ale nie robię tego, bo nie chcę cię traktować protekcjonalnie. Nie będę jednak z nikim rozmawiać.

– A czy to się zmieni?

– Nie wiem. Trudno mi powiedzieć.

– Chcesz więc, żebym czekał. Uśmiechał się i znosił to...

– Tak, proszę cię o to. Tylko na razie. Tak – proszę cię. Wstał, chodził przez chwilę po pokoju, po czym podszedł do okna i przesunął palcami po sztywnych błyszczących fałdach zasłon.

– Allie. Muszę cię o to zapytać – przerwał.

– No to pytaj...

– Dasz mi szczerą odpowiedź? Nawet jeśli może mnie ona zranić?

– Obiecuję. – W głosie Alice dało się wyczuć lekkie drżenie.

Martin podszedł do swojego krzesła, położył ręce na jego oparciu i spojrzał na nią.

– Czy jest inny mężczyzna?

Alice uniosła brodę i spojrzała mu uczciwie w oczy.

– Nie, nie ma innego.

Wtedy z piersi Martina wyrwało się długie westchnienie ulgi. Uśmiechnął się do niej i powiedział, że powinni chyba dokończyć szampana, prawda?



W sklepie wielobranżowym w Pitcombe pan Finch cierpliwie objaśniał swej nowej pomocnicy, córce Gwen, Michelle, układ puszek z warzywami na półkach. Nie chodziło o to, że Michelle była głupia, ale wolałaby raczej pracować u Dorothy Perkins w Salisbury. Nie chcieli jej tam przyjąć, ponieważ nie miała jeszcze osiemnastu lat, tak więc wiejski sklepik był dla niej tylko męczącym chwilowym zajęciem za funta i osiemdziesiąt pensów za godzinę. Praca nudziła ją okropnie przez cały tydzień oprócz poniedziałków. Jako że był to sezon psych pokazów dla pani Macaulay i jej dziewczynek, pan Finch pozwalał Michelle pomagać pani Jordan w objazdowym sklepiku. Michelle nie tylko uwielbiała Alice, ale szczerze lubiła jej towarzystwo. Kiedy wracała do domu w poniedziałki, Gwen zawsze chciała wiedzieć, co Alice jej mówiła. Michelle była jednak uparta i nie chciała nic zdradzić. Czuli, że jej pani Jordan była inna niż ta, dla której pracowała matka. Jej pani Jordan rozmawiała z nią jak z równą i pożyczała książki. Raz nawet dała jej parę srebrnych kolczyków w kształcie muszelek. Dziewczyna musiała zamknąć się wtedy w łazience i zrobić sobie nowe dziurki w uszach igłą wbitą w kawałek korka i znieczulając ucho kostką lodu.

– Ta, okay. Dobra. Okay – powtarzała, ale pan Finch wiedział, że tak naprawdę go nie słucha. Kogo obchodziło, czy marchew stoi obok fasolki czy też groszku? Obgryzając paznokcie, myślała o czarnej skórzanej kurtce, którą widziała w sobotę i którą uparła się kupić.

– Dobrze – powiedział pan Finch. – Myślę, że to jasne. Teraz ustaw na półkach towar z tych pudeł, a potem idź pomóc pani Finch przy dostawie mrożonek.

Michelle bezgłośnie zachichotała. Wszyscy wiedzieli, że między panią Finch a kierowcą ciężarówki coś było, chociaż Michelle nie mogła zrozumieć, dlaczego na widok niebieskich

powiek i purpurowych włosów pani Finch kierowca nie umarł jeszcze ze śmiechu. Przyjeżdżał dwa razy w miesiącu i pan Finch zawsze wybiegał w pośpiechu na zaplecze, by pomóc. Michelle wyobrażała sobie za każdym razem niezłą bijatykę pomiędzy pudłami z paluszkami rybnymi i lodowymi lizakami w mroźnej furgonetce i panią Finch łkającą teatralnie w swe małe koronkowe chusteczki, które tak lubiła.

Kiedy pan Finch odszedł, Michelle zaczęła mozolnie wyjmować puszki z kartonów i stawiać je z hałasem na półkach. Po kilku minutach do sklepu weszła panna Pimm i szperała po sklepie w poszukiwaniu sznurka i paczki musztardy w proszku. Dawno temu Michelle uczęszczała przez krótki okres do niedzielnej szkółki, przejawiając, jak przypomniawszy sobie z upokorzeniem panna Pimm, niezdrowe zainteresowanie Marią Magdaleną i cudzołóstwem.

– Michelle – odezwała się panna Pimm demonstrując swe zakupy z przesadną dokładnością. – Zdaje się, że jestem winna panu Finchowi równo siedemdziesiąt siedem pensów za te dwie rzeczy.

– Dobrze – powiedziała Michelle wstając bez uśmiechu. Wzięła osiemdziesiąt pensów od panny Pimm i zaniósła je do kasy. Guzdrała się bardzo długo z resztą.

– Trzy pensy – stwierdziła panna Pimm.

– Wiem – odrzekła Michelle. – Nie jestem głupia.

Panna Pimm, czerwieniąc się w charakterystyczny dla siebie sposób, otworzyła usta, żeby zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu, ale udało jej się jedynie chrząknąć. Michelle bezczelnie się na nią gapiała. Wtedy z brzękiem otworzyły się drzwi sklepu. Wzrok Michelle powędrował poza pannę Pimm, nagle się ożywiając. Męski głos zapytał:

– To je s t Pitcombe, prawda?

Michelle była zachwycona. Upuściła celnie resztę w wyciągniętą dłoń panny Pimm, podrzuciła kosmyk włosów, który opadł jej na oczy, i powiedziała:

– Przykro mi. To Las Vegas.

– Bez różnicy – powiedział Anthony podchodząc bliżej. Spojrzał z góry na pannę Pimm. Przypominała mu pardwę. Odezwał się do niej czarującym głosem: – Jestem pewien, że mogłaby mi pani pomóc. Jestem bratem Martina Jordana. Szukam Grey House.

Przerażona panna Pimm utkwiała wzrok w jego kolorowym jedwabnym krawacie.

– Tak! – wykrztusiła. – Tak!

Anthony czekał. Michelle oparła się na ladzie i wpatrywała w niego otwarcie zachłannym wzrokiem. Panna Pimm podniosła swe udreżone oczy na prążkowany kołnierzyk koszuli mężczyzny. Oblizwała wargi i przełknęła ślinę.

– Witamy – powiedziała. – Witamy w Pitcombe. Ośmielona stosownością swego zachowania przesunęła wzrok ku brodzie Anthony'ego.

– W górę wzdłuż głównej ulicy aż minie pan, po prawej stronie, dom z ozdobną studnią w ogrodzie. Proszę tam skręcić w prawo, bardzo wąska dróżka, i Grey House jest t u ż na wprost.

– Bardzo uprzejmie z pani strony – powiedział z powagą Anthony.

Głos miał tak ujmujący, że panna Pimm ośmieliła się rzucić jedno przelotne spojrzenie na jego twarz. Mrugał okiem do Michelle. Zgarniając swą musztardę w proszku i sznurek, panna Pimm mamrocząc coś pod nosem w zdenerwowaniu uciekła na ulicę. Fred Mott obserwował ją bez współczucia ze swego okna, a po chwili zauważył, że wysoki gość, który przed chwilą wszedł, właśnie wychodzi ze sklepu i wsiada do samochodu. Z takim samochodem, jak zapewniała telewizyjna reklama, człowiek nie ma problemu z poderwaniem seksownej cizi w spódniczce z rozcięciem. Pomacał spodnie w kroczu. Sally zaszyła mu rozcięcie w pidzampie. Zachichotał. Nie mogła zaszyć rozcięć w jego głowie.

Anthony jechał powoli, kompletnie zapominając o panie Pimm i Michelle. Wszystko naokoło wydawało się ładne i schludne, domy z szarego kamienia i jasne ogrody. Można było zaufać Martinowi, że nie ośmieli się zamieszkać w mniej

bezpiecznym miejscu. Przy ozdobnej studni – ogromnej konstrukcji z drewnianym dachem w stylu szwajcarskiego domku i gipsowym kotem skradającym się wzdłuż krawędzi – skręcił w prawo. Za domami ujrzał kamienne słupy bramy, przycięte graby i szaro-złoty żwir. Powtórzył w myśli raz jeszcze, zaufać Martinowi.

Zatrzymał samochód przed bardzo ładną fasadą. Drzwi wejściowe były otwarte. Nieduży kot, mający już za sobą słodki okres niemowlęctwa i zbliżający się do niezdarnego wieku młodzieńczego, siedział na słońcu, myjąc się z nonszalancją. Nie zwrócił na przybysza uwagi.

– Alice! – zawołał Anthony.

Nie było odpowiedzi. Wszedł do holu, a potem do kuchni. Była pusta, ale kilka osób niedawno jadło tu podwieczorek, bo na stole poniewierały się w nieładzie kubki i pełne okruchów talerze. Anthony zawołał jeszcze raz.

W otwartych drzwiach do ogrodu pojawiła się nieduża wdzięczna dziewczynka.

– Czy ty jesteś Anthony?

– Tak – odpowiedział. – A ty musisz być James. Westchnęła. To był żart w stylu Jamesa. Powiedziała z powagą:

– Jestem Natasha.

– Przepraszam. Gdzie jest twoja matka?

– Układa kwiaty w kościele. Clodagh jest w ogrodzie. Chodź i przywitaj się z nią.

Anthony wyszedł do ogrodu. W piaskownicy siedziało bardzo duże niemowlę albo bardzo małe dziecko, a starszy chłopczyk jeździł na rowerku. Była jeszcze dziewczyna w czymś w rodzaju roboczego kombinezonu, cała obwieszona miedzianą biżuterią. Łuskała groch do czerwonego emaliowanego garnka. Podniosła głowę na dźwięk kroków i Anthony pomyślał, że rzadko dane mu było spotkać kogoś o tak niechętnym spojrzeniu.

Clodagh wyciągnęła rękę.

– Pan musi być Anthony.

Usiadł koło niej na tarasie. Dzieci podeszły bliżej i przyglądały

mu się. Niemowlę przysunęło się bardzo blisko i wsypało mu do buta trochę piasku.

– Charlie – powiedziała Natasha. Przerwała i oczyściła but cmokając z niezadowoleniem.

– Rozumiem – odezwał się Anthony – że Alice układa w tej chwili kwiaty w kościele. I że pani jest Clodagh.

– Zgadza się.

Anthony zdjął but i wysypał piasek na trawę. Charlie przyglądał się temu z zainteresowaniem, po czym zdjął własny bucik i potrząsnął nim z nadzieją.

– No, dzieci, powiedzcie mi teraz, kto jest kim.

– Ja jestem Natasha. Już ci mówiłam. To jest James, a to Charlie.

– A ja jestem waszym wujkiem.

– To takie smutne – zauważyła Natasha. – Mamy trzech wujków, a nie widzimy żadnego. Jeden z nich jest w Ameryce.

– Teraz już mnie widzicie.

Zerknął na Clodagh. Chciał ją sprowokować.

– Czy pani jest nianią?

Clodagh nie miała nawet zamiaru spojrzeć na niego. Łuskała groch ze strąków, a wypadające ziarenka uderzały o dno garnka. .

– Nie.

– Ona jest przyjaciółką – wyjaśnił James. Clodagh rzuciła mu tkliwe spojrzenie.

– Przyjaciółką mamusi?

– Przyjaciółką nas wszystkich. Anthony spojrzął za siebie.

– Nieźle tu.

Natasha poczuła, że ciąży na niej obowiązek pani domu.

– Pokazać ci wszystko? – zapytała.

– Wolałbym, żebyś pokazała mi mamusię.

– Zabierz go do kościoła, Tashie – zaproponowała Clodagh. – Bądź tak dobra.

– A pani tego nie robi?

– Nie – odpowiedziała Clodagh. – Nie zrobię. Anthony podniósł się.

– Śliczne powitanie...

Clodagh nic nie powiedziała. Przepęłniało ją obrzydzenie.

– Nie dostanę nawet filiżanki herbaty?

– Wkrótce dostaniesz coś do picia – pocieszyła go Natasha. – A my zjedliśmy wszystkie czekoladowe herbatniki. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Chyba mogę dać ci banana.

– Oczywiście – powiedziała Clodagh. – Tyle, ile zdoła zjeść.

Natasha zaprowadziła go do kuchni. Zajrzała do naczynia z owocami.

– Są całe w plamach. Przeszkadza ci to? Ja lubię tylko te gładziutki.

– Ja naprawdę nie chcę banana.

Natasha była zdumiona. To był przedziwny wujek. Zawsze myślała, że wujkowie dużo się śmiali, dawali dzieciom jednofuntowe monety i zabierali je na przejażdżki swymi sportowymi samochodami z opuszczonym dachem. Samochód Anthony’ego wydawał się taki nudny. I do tego był czarny.

– Zaprowadzić cię do kościoła? – zapytała. Westchnął i skinął potakująco głową.

Wyszli z domu i idąc przez ogród dotarli do polnej drogi. Natasha opowiedziała mu o swojej szkole, o Sophie zmuszonej do noszenia okularów i o tym, jak sama gorąco pragnęła je nosić. Kiwał czasami głową, ale nie zauważyła, żeby był zbyt rozmowny. Spytała go, czy nosi okulary, a on odpowiedział, trochę chyba zły, że nie. Rola pani domu zaczynała Natashę rozczarowywać.

– Nasz kościół – powiedziała, próbując po raz ostatni go rozbawić – pachnie dokładnie jak szatnia u mnie w szkole.

Mruknął coś pod nosem. Szli wzdłuż muru cmentarza i Natashy przyszło do głowy kilka ciekawych uwag dotyczących nagrobków, ale nie miała odwagi ich wypowiedzieć.

W milczeniu doszli do południowej kruchty i z ciepłej jasności weszli do wilgotnego, chłodnego półmroku. Wewnątrz kręciło się kilka kobiet, pełno było pokrowców na meble, koszyków z kwiatami i sekatorów. W bocznej nawie bardzo piękna kobieta

zamiatała posadzkę prawie łąsą miotłą. Wstrząśnięty Anthony rozpoznał w niej Alice. Jej włosy spływały wzdłuż pleców z wysoko upiętej fryzury jak potok, a ubrana była w zwoje czegoś zielonego. Natasha pobiegła do przodu, chwyciła miotłę i powiedziała:

– Oto Anthony!

Alice przerwała zmiatanie. Podniosła wzrok, a na jej twarzy pojawił się anielski uśmiech. Oddała szczotkę Natashy, podeszła szybko do Anthony'ego i objęła go za szyję.

– Anthony...

Przycisnął ją do siebie. Poczul z radością, co zdarzało mu się bardzo rzadko, jak ciepło wypełnia mu całe ciało.

– Wyglądasz zdumiewając o...

Roześmiała się. Potem spojrzała na niego z bliska i powiedziała z nagłą powagą:

– Och, biedny Anthony. Chciałabym móc powiedzieć to samo o tobie.

– Wszyscy są dla mnie tacy okropni. Twój mały nasypał mi piasku do buta.

– On tego nie chciał! – krzyknęła oburzona Natasha z oczami pełnymi łez. – On jest przecież malutki!

Alice opuściła ręce.

– Nie bądź osłem, Ant.

– Liczę, że będziesz dla mnie miła.

– Czemu jęczysz?

– Nie jęczę. Ja tylko błagam. Spojrzała na niego z ukosa.

– Skoro tak mówisz...

Od strony zachodniego okna dotarł do nich słaby krzyk. Na drabinie, niepewnie opartej o wysoki parapet, malutka i okrągłutka jak błękitna sikorka panna Payne przegrywała z ogromną wyniosłą wazą z białego kamienia, którą usiłowała napełnić trybulą leśną i irysami. Anthony, lubiący wszelkie urozmaicenia, pospiesznie podbiegł i złapał chwiejącą się pannę Payne, jak dużą bladoniebieską szmacianą piłkę. Doprowadził ją do bocznej nawy jak jakieś trofeum. Była zaróżowiona i wyczerpana z przejęcia.

Pozostałe panie opuściły swe przydzielone miejsca i zebrały się wokół, szemrając z zaniepokojeniem. Peter Morris, który przybijał właśnie w zakrystii skromne lusterko, by móc skontrolować swój wygląd przed pojawieniem się w prezbiterium w czasie nabożeństwa, wszedł do nawy i przez jedną krótką chwilę sądził, że ktoś próbuje pannę Payne porwać. Po chwili Anthony postawił kobietę delikatnie na podłodze, a ona zaczęła bezradnie chichotać. Wszyscy na nią patrzyli.

– Oczywiście osoby w jej wieku nie wypada nawet prosić, by wchodziła na drabinę...

– Zawsze mówiłam, że przydałaby nam się w tym miejscu ładna wesoła wiązanka sztucznych kwiatów. Nie byłoby z nią kłopotów, od czasu do czasu trzeba by ją było jedynie odkurzyć.

– Wszystko w porządku, moja droga?

– Lepiej usiądź, droga Buntie, taki szok...

– Może następnym razem, pani Jordan, pani zgłosiłaby się do zachodniego okna? Jest pani o wiele młodsza.

– Oczywiście – odpowiedziała Alice. – Ale Buntie chciała tam dziś pracować.

Panna Payne skinęła gwałtownie głową. Anthony pochylił się nad nią.

– Czy mam panią wynieść na zewnątrz i położyć na jakimś miłym nagrobku, by odzyskała pani siły?

Zapisała cichutko z zachwytu i przerażenia. Peter Morris przeszedł powoli między kobietami i zaprowadził pannę Payne do ławki.

– Sam nie wiem, Buntie. Moim zdaniem to po prostu korzystanie z okazji.

Panna Payne zaczęła płakać. Peter Morris wyciągnął publiczną, jak zwykł ją nazywać, chusteczkę i podał ją kobiecie. Anthony spojrzał na Alice.

– Nie miałem pojęcia, że układanie kwiatów w kościele to taka świetna zabawa.

– Jakie to smutne – powiedziała Natasha patrząc strapiona na pannę Payne.



– Boże – westchnął Anthony. – Co za sentymentalne przyjęcie.  
– Spojrzał na Alice. – Nie chciałabyś teraz wrócić do domu i przygotować mi dużego drinka na powitanie?

– Nie bardzo – odpowiedziała.

– Allie...

Alice walczyła z ogarniającą ją złością.

– Muszę skończyć zamiatać. Tashie mi pomoże. Idź i posiedź sobie na cmentarzu, a ja przyjdę za pięć minut.

– No dobrze – zgodził się niechętnie.

Szedł środkiem nawy, a panna Pimm, pani Macaulay i pani Fanshawe patrzyły za nim uważnie, jakby chciały odprowadzić go wzrokiem bezpiecznie do wyjścia.

– Trzymaj mocno śmietniczkę – powiedziała Alice do córki.

Natasha uklękła i oparła się o śmietniczkę całym ciałem.

– Czy sentymentalne – zapytała patrząc na posadzkę – znaczy miłe czy głupie?

Podczas kolacji, którą jedli w kuchni przy drzwiach otwartych na jasną letnią noc, Anthony mówił dużo o Dalekim Wschodzie, wysnuwając przy tym różnego rodzaju wnioski dotyczące głębi swych życiowych doświadczeń. Alice słuchała go z tkliwą litością, a Clodagh z pogardą. Martin czuł się, zgodnie z zamiarem Anthony'ego, trochę niepewnie. Próbował, jedząc swą potrawkę z drobiu, wmówić sobie, że podczas gdy Anthony spędził dziesięć lat, on, Martin, przeżył je. Anthony miał opowieści, Martin miał żonę, dzieci, dom, przyjaciół i solidny zawód. Może, zastanawiał się rozlewając do kieliszków drugą butelkę kalifornijskiego chardonnay, gdyby Alice pozwoliła mu kochać się ze sobą, byłby w stanie słuchać ze spokojem wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co mówił Anthony. Uwierzył Alice, gdy powiedziała mu, że nie ma nikogo innego. Wierzył, że go kocha – Boże drogi, była przecież teraz o wiele bardziej serdeczna i doceniała go częściej niż w ciągu ostatnich paru lat. Ale wciąż dzieliła ich sprawa łóżka. A jeśli nigdy już nie będzie chciała się z nim kochać, to co on u diabła robi? Już teraz byfo wystarczająco źle. Czasami czuł się niemalże opętany potrzebą seksu i myślał o nim.

Oprócz takich zmartwień zaczął się dodatkowo uważać nad sobą. Wiedział, że Alice pogardza takimi ludźmi, ale czasami w łazience, po krótkiej brutalnej sesji z samym sobą, spoglądał na swą twarz w lustrze i pytał żałośnie, a co ze mną? Ogarniała go wtedy złość na Alice i rozwścieczony brał prysznic, mamrocząc w strumieniach lejącej się wody obraźliwe słowa pod jej adresem. Po tym wszystkim czuł się tak, jak chyba czują się kobiety po dobrym ataku płaczu – wyczerpany i opuszczony. Nienawidził całej tej sprawy i choć próbował, nie mógł pozbyć się myśli, że to przecież nie on wszystko zaczął.

– A ja nic nie dostanę? – zapytała Clodagh. Martin otrząsał się powoli ze swego zamyślenia.

– Po tym jak wyprasowałam ci dzisiaj siedem koszul, zadbałam o kwiaty i przywiozłam Nataszę ze szkoły?

– Przepraszam. Myślałem o czymś zupełnie innym – powiedział kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Czy myślałeś może o moim folwarku? Martin był kiepskim kłamcą. Prawie krzyknął:

– A wiesz, że tak?

Clodagh rzuciła krótkie spojrzenie na Anthony'ego.

– Martin jest teraz prawnikiem naszej rodziny.

– Cóż za niezwykle szacowne zajęcie.

– Ale z ciebie bydlę – powiedziała łagodnie Alice.

– Nie muszę być taki.

Clodagh parsknęła. Wstała, zebrała talerze i postawiła niebieską porcelanową miseczkę z truskawkami na środku stołu. Anthony obserwował ją. Pomyślał, że gdy następnym razem zadzwoni do matki, powie, że rozumie już teraz doskonale, dlaczego Clodagh budzi w niej takie zastrzeżenia jako przyjaciółka Alice. Spojrzał znowu na Alice. Podniósł w jej kierunku kieliszek. Musi jej być bardzo żal Clodagh.

– Twoje zdrowie.

– Dziękuję – odpowiedziała, jakby trochę nieobecna. Biorąc miskę z truskawkami z rąk Clodagh, zapytała: – Jaki jest ten twój folwark?

– Uroczy.

– Co to znaczy uroczy?

– Kwadratowy dom z kamienia z ceglanymi kominami i cudownym wiktoriańskim podwórzem. Sześćset akrów...

– Sześćset trzydzieści – poprawił ją Martin.

– Rozrósł się!

– Nie. Po prostu nie zmierzono go właściwie. Ja kazałem go wymierzyć. Do wyceny.

– Martin – powiedziała Clodagh, kładąc mu na talerzu w nagrodę jeszcze jedną truskawkę. – Jesteś cudowny.

– Dlaczego tam nie mieszkasz? – zapytał Anthony. Alice wstrzymała oddech.

– Folwark nie jest mój. Kiedy już będzie, może tam zamieszkać.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał, pochylając się do przodu. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Mieszkam w domu. Tu spędzam większość dni.

– Dlaczego?

– Bo my tego chcemy – odpowiedziała za nią Alice nie podnosząc wzroku.

Zapanowała krótka pełna napięcia cisza.

– Rozumiem – powiedział Anthony.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak lubić ludzi? – zapytała go złośliwie Clodagh.

– Wiem, jakich nie lubić. Martin pomachał łyżką.

– *Pax*, wy dwoje.

– Może właśnie – ciągnęła Clodagh wchodząc na nieco śliski grunt – zaczynamy niezwykle interesującą rozmowę o miłości.

– Miłości?

Alice podniosła wzrok. Jej oczy były ogromne.

– To najważniejsza rzecz na świecie. Zawsze to wiedziałam. Martin, zatrwożony takimi uwagami wypowiedzianymi publicznie, zapytał pospiesznie:

– Czy są jeszcze truskawki?

To na pewno wina całej tej poezji, w której Alice tak się teraz

rozczytywała, jakby dalszego ciągu pożeranych niegdyś przez nią powieści. Rzucił spojrzenie w kierunku żony. Alice patrzyła na Clodagh, ale widać było, że myślami jest daleko. Anthony uniósł miskę z truskawkami.

– Jest około sześciu. Podzielimy się. – Położył dwie na talerzyku Martina.

– Ty się nigdy nie zmieniasz, prawda?

– Nie rozumiem jednego – odpowiedział Anthony. – Dlaczego wszyscy tego ode mnie oczekują.

Po kolacji Alice postawiła na stole dzbanek z kawą, a potem razem z Clodagh zaczęła sprzątać ze stołu, chodząc tam i z powrotem w półmroku otaczającym oświetlony świecami stół. Rozmawiały cicho ze sobą, a przy stole mężczyźni mówili o Dummeridge. Po chwili Alice i Clodagh powiedziały, że idą położyć dzieci do łóżka i wyszły z kuchni. Anthony, słysząc oddalające się po schodach kroki, powiedział:

– No, dalej. Opowiedz mi o Clodagh. Dlaczego ona tu jest?

Martin wsypał łyżeczkę cukru do kawy.

– Spotkaliśmy się w Pitcombe Park. Bóg nam ją zesłał. Jest tu jakby nianią i kimś do towarzystwa. Jej obecność niewiarygodnie odmieniła życie Alice.

– Może i tak – powiedział Anthony. – Ale czy ona ma zamiar zostać z wami na zawsze?

– Boże, oczywiście, że nie. Przeszła jakiś kryzys w Stanach, więc wróciła do domu. Jak się skończy lato, na pewno zechce robić coś innego. Ona już taka jest.

– Lubisz ją?

Martin wzdrygnął się lekko.

– Oczywiście...

– Kiedy byłeś młodszy, panicznie bałeś się takich dziewczyn.

– No cóż – odpowiedział beztróska Martin. – Teraz jestem starszy, no nie?

– Matka jej nie lubi.

– Matka nie musi przecież z nią mieszkać.

– Ale dlaczego ona jej nie lubi?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Wiesz.

– Zamknij się – powiedział Martin głośno, nagle wściekły. – Zamknij się, dobrze?

– Nie ma sensu się denerwować.

– Ja się nie denerwuję...

Anthony wstał, podszedł do oszklonych drzwi i zapalił papierosa.

– To całkiem niezłe miejsce.

– Tak.

– Troje dzieci. Stałe postępy w karierze. Dobra robota, Martin.

Martin nie odezwał się. Anthony wrócił do stołu i opadł na krzesło.

– Mówiąc całkiem szczerze, zazdroszczę ci. Moja przyszłość rysuje się dość ponuro.

– Ale przecież...

– Co przecież?

– Przecież możesz dostać jakąś dobrze płatną pracę?

– Och, pewnie. Ale wydaje mi się to trochę bez sensu. No bo po co? Rozumiesz...

Alice i Clodagh schodziły po schodach śmiejąc się.

– Czuję się samotny – powiedział Anthony, spoglądając nagle na Martina.

– Przykro mi...

Drzwi otworzyły się i do kuchni weszły kobiety. Martin z ulgą pomachał w ich kierunku dzbankiem do kawy.

– Kawy?

– Cudownie – powiedziała Alice, po czym ciągnęła przerwana rozmowę z Clodagh. – W tym było wszystko, komizm i patos jednocześnie. Żałuję, że nie... – Przerwała.

– Charlie wy dostał się z łóżeczka – poinformowała Martina – i zasnął pod nim.

– Dlaczego nie położyłaś go z powrotem?

– Wydało mi się to bez sensu – odpowiedziała. – I niezbyt

uprzejme. Byłyśmy raczej pełne podziwu dla jego przedsiębiorczości.

– Ja nie będę pełen podziwu, gdy zjawi się o świcie w naszym pokoju.

Alice wyglądała na zrezygnowaną.

– No dobrze. Położę go do łóżka. Później. Clodagh wzięła do ręki pęk kluczy z kredensu.

– Powinam już iść. Most zamykają o jedenastej. Alice ruszyła się w jej kierunku.

– Odprowadzę cię.

Anthony obserwował je. Clodagh, widząc to, powiedziała lekko:

– Nie trzeba.

– Ale ja bym chciała. Tak ciężko dziś pracowałam. I tak muszę zamknąć kury.

– Nie – Clodagh potrząsnęła głową. – Ja już to zrobiłam. Przed kolacją.

Podeszła do drzwi.

– Dobranoc wszystkim.

Alice ścisnęła oparcie krzesła. Co wieczór musiała znosić odejście Clodagh, ale dziś było to wyjątkowo straszne, Bóg jeden wiedział dlaczego. Drzwi zamknęły się. Chciała wybiec głównym wejściem, zagrozić drogę odjeżdżającemu samochodowi, wsiąść do niego i nigdy już nie być z dala od Clodagh. Zamiast tego usiadła wolno i nalała sobie kawy, pragnąc, by Anthony przestał się wreszcie jej przyglądać.

– Brandy? – zapytała go.

– Z przyjemnością. Martin podniósł się z krzesła.

– Ja przyniosę – powiedział i wyszedł do jadalni.

– Nieźle – odezwał się Anthony, kiedy zostali sami. – Mój mały braciszek zostaje prawnikiem Unwinów.

– To był pomysł Clodagh.

– Naprawdę?

– Jej ojciec jest zachwycony... Martin wrócił z butelką.

– Obawiam się, że zostało tylko trochę na samym dnie. Nalał

brandy do pustego kieliszka Anthony'ego. Bez żadnego powodu Alice przypomniała sobie ojca proszącego o brandy, gdy przyszedł do niej, by powiedzieć, że właśnie opuścił matkę. Wtedy nie miała w domu brandy, tak naprawdę nigdy w życiu nie kupiła butelki wysokoprocentowego alkoholu. Nie widziała się z matką już od roku, ale teraz postanowiła, że musi ją jak najszybciej odwiedzić. Razem z Clodagh wezmą dzieci do Colchester i może – serce Alice zabiło mocniej – przenocują w pobliskim hotelu. A w drodze powrotnej wstąpią do Reading i odwiedzą Sama. Clodagh na pewno spodobałaby się ojcu. Może... może mogłyby zostać poza domem przez kilka dni, wolne, jeżdżąc, gdzie dusza zapragnie...

– Zupełnie nie wiem, dlaczego brandy przypomina mi moją matkę – powiedziała. – Naprawdę powinnam ją odwiedzić.

– Oczywiście – zgodził się Martin.

– Może Clodagh mogłaby pojechać ze mną i pomóc przy dzieciach.

– Dobry pomysł.

– W przyszłym miesiącu... Martin wstał ziewając.

– Kiedy tylko zechcesz. Zasypiam. – Skinął głową w kierunku Anthony'ego. – Śpij dobrze. Rano nie ma pośpiechu.

– Musisz być z niego bardzo dumna – powiedział Anthony, kiedy Martin wyszedł.

– Oczywiście.

– Tak się cieszę.

– Anthony. Dosyć gier jak na jeden wieczór. Czas do łóżka.

Pochyliła się, by zdmuchnąć świece.

Anthony pomyślał wtedy, że jego długa wnikliwa obserwacja obu kobiet została nagrodzona i że dokonał niezmiernie interesującego odkrycia. Chcąc rozważyć to wszystko jeszcze raz bez pośpiechu, nie opierał się popędzającej go na górę Alice. Pocałował ją na pożegnanie, przepełniony podziwem i przeczuciem poważnych komplikacji w przyszłości.

W piękne popołudnia Lettice Deverel wynosiła klatkę z papugą na dwór i zawieszała ją na jabłoni. Papuga bardzo to lubiła i wydawała z siebie bulgoczące dźwięki świadczące o głębokiej wdzięczności. Jak długo Lettice pozostawała w zasięgu jej wzroku, pochylona w swym starym słomianym kapeluszu nad kwiatową rabatą, papuga bulgotała sobie z zadowoleniem. Jeśli jednak starsza pani odchodziła zbyt daleko, ptak zaczynał się niepokoić i wrzaskliwym głosem nazywał ją gburowatym kobziarzem. Czasami Lettice żałowała, że nie ograniczyła ptasiej edukacji jedynie do literackich odniesień na temat papug. Teraz bowiem ptak wydawał się całkowicie odporny na jakąkolwiek nową wiedzę. Peter Morris spróbował kiedyś nauczyć ją kilku modlitw, ale tak się podnieciła, że zaczęła wrzeszczeć na niego: „Papuga, papuga, papuga”, a po chwili wybuchła sprośnym śmiechem.

Margot Unwin, nie znajdując nikogo w Różanej Willi w pewne ciepłe późne już popołudnie, obeszła dom i wchodząc do ogrodu, zawołała Lettice. Pani Deverel wysypywała akurat chwasty na górę kompostu, ale najbliższe stojące drzewo zagadało przyjaźnie głosem Lettice:

– No cóż, Polly, na tyle, na ile jedna kobieta może wybaczyć drugiej, ja tobie przebaczam.

Margot lekko pisnęła z przerażenia. Pomędzy ogromnymi puszczającymi pędy rabatami pojawiła się Lettice ze swoją taczka. Margot lekko trzepnęła przyjaciółkę dłonią.

– Zawsze zapominam o tym diabelskim ptaku.

– Czy powiedział coś nieprzyzwoitego?

– Tylko że mi przebacza.

– Och – Lettice wyglądała na zadowoloną. – To fragment z Opery żebraczej. Rzadko to mówi. Możesz się czuć wyróżniona.

Margot wsunęła twarz pod kapelusz Lettice i ucałowała



przyjaciółkę.

– Muszę z tobą porozmawiać, Lettice.

– O Clodagh?

– O Clodagh.

– Usiądź sobie tutaj. Nie, nie koło papugi. Ona zawsze chce się włączyć do rozmowy i nie jestem pewna, czy nie podsłuchuje.

– To dlaczego w ogóle ją trzymasz?

– Lubię ją – odpowiedziała Lettice, strzepując liście z drewnianej ławki. – Jest przekorna, zabawna i niezależna. Margot, wyglądasz na zmęczoną.

– Jest taka denerwująca. Martwię się.

Lettice usiadła na sąsiedniej ławce i zdjęła kapelusz. Jej siwe włosy związane były czerwoną chusteczką w kropki. Miała na sobie lniany fartuch rdzawego koloru, a pod spodem szerokie niebieskie spodnie i dość staro wyglądające espadryle. Margot Unwin ubrana była w szeroką perkalową sukienkę.

– Zrobię herbatę.

– Nie, moja droga. Przyszłam tu po współczucie.

– Nie wiem, czy będę w stanie cokolwiek dla ciebie zrobić.

– Możesz mnie wysłuchać.

Lettice słuchała Margot przez ostatnich trzydzieści lat, od czasu gdy kupiła Różaną Willę i mogła spędzać tu początkowo tylko weekendy i wakacje. Jeździła w tę i z powrotem ze stacji Waterloo w Londynie z kieszeniami pełnymi planów urządzenia ogrodu. Młody Ralph już się wtedy urodził, a Margot, w ciąży z Georginą, była przystojną, pełną zapału i zniecierpliwioną swym stanem kobietą. W Parku odbywały się nie kończące się przyjęcia; przyjęcia w weekendy, przyjęcia z okazji polowań, i podwieczorki dla dzieci, gdzie małym gościom towarzyszyły nianie w mundurkach Instytutu Norlanda. Margot zaczęła zapraszać Lettice jako pewnego rodzaju lokalną osobliwość, mając nadzieję, że będzie ona przychodziła ubrana w bryczesy, płaszcz lub drewniaki i że będzie wyrażała swe stanowcze opinie w świeży i niekonwencjonalny sposób. Lecz w trakcie jednego z przyjęć Lettice oświadczyła nagle przy stole, że nie ma zamiaru być małą

cyrkową i poszła do domu. Margot pobiegła za nią. Stała w jej bawialni, niezwykłym i cichym miejscu, w swej sukience a la Belinda Belville i rodowych perłach, i gorąco przepraszała. Powiedziała, że jest jej bardzo przykro. Po chwili wybuchła płaczem i Lettice dostrzegając w niej prawdziwą, choć niezbyt może odpowiednią przyjaciółkę, przebaczyła jej.

Od tej pory nigdy się nie kłóciły, ale Lettice, milcząca i taktowna, zawsze miała nad Margot przewagę. Stała się jej powiernicą, tak jak była nią dla Petera Morrisa. To do niej właśnie przyszła Margot, gdy stwierdziła, że przestała kochać Ralpha i kocha zupełnie kogoś innego; z nią rozmawiała, gdy Clodagh uciekła ze szkoły i kiedy atrakcyjny, lecz pozbawiony skrupułów argentyński gracz w polo nie dawał spokoju bezbronnej Georginie przez długie miesiące. Lettice myślała czasami, że może ich przyjaźń wydawała się tak autentyczna, bo pochodziły z zupełnie innych środowisk. Młodość Lettice w skromnym akademickim domu w Cambridge i dorastanie Margot w wirze towarzyskich imprez były jak dwa kompletnie do siebie nie pasujące światy. Lecz po przeprosinach Lettice wiedziała, że pod garsonkami od Hartnella i kaszmirowymi swetrami bije wspaniałe serce. Z wiekiem zaś doszła do wniosku, że najbardziej w życiu ceni właśnie zalety serca.

Pochyliła się teraz do przodu i poklepała Margot po dłoni.

– Miałam wielką ochotę porozmawiać z Clodagh. Najwyższy czas, żeby zrobiła coś wreszcie ze swoim życiem.

– No właśnie. A Ralph jeszcze wszystko pogorszył, nalegając na rozwiązanie zarządu powierniczego i przekazanie obu córkom folwarków już teraz. Biedna Georgina. Ona nawet nie chce jeszcze tego folwarku, ale jest oczywiście zbyt uprzejma, by odmówić. Mam wrażenie, że Ralph chce, by Clodagh traktowała tę ziemię po prostu jak gigantyczną skarbonkę. Ja jestem naprawdę tym przerażona, a Ralph jest uparty jak osioł. Jeśli chodzi o Clodagh... Lettice podniosła się z krzesła.

– Jednak pójdę zrobić herbatę. A może wolałabyś trochę ginu?

– O wiele bardziej.

– Zaraz wrócę. Ty tymczasem siedź sobie tutaj i podziwiaj moje białe ostróżki. To wszystko potomstwo tych, które mi podarowałaś.

– Lettice – powiedziała Margot. – Jesteś dla mnie prawdziwą podporą.

Siedziała, patrzyła posłusznie na ostróżki i starała się być rozsądna i nie zazdrościć Lettice jej panińskiego stanu. Po kilku minutach Lettice wróciła z dwoma pozłaczanymi weneckimi kielichami i kubeczkim pełnym ziaren sosny dla papugi. Obdarowany ptak zaczął wrzeszczeć nie posiadając się z radości.

– Tak naprawdę to miła papuga – stwierdziła Margot.

– Kochana. Proszę. Dobrze. Wydaje mi się, że Clodagh straciła podniecie do podjęcia jakiegokolwiek działania.

– Właśnie.

– I cały czas nadskakuje tym młodym Jordanom? Margot napiła się trochę ginu.

– Wiesz, tak się z tego powodu cieszyłam. Oni są tacy czarujący, szczególnie Alice, i te kochane dzieciaki. Myślałam sobie, że to dobrze dla Clodagh, że wreszcie normalni e. A teraz ona nie chce nigdzie indziej chodzić, nic innego robić, nie widuje się z nikim innym. Nie życzę im źle, Lettice, ale wołałabym, żeby tu nigdy nie przyjechali. Myślałam, że może spróbuję z innej strony i uda mi się pozyskać teściową Alice przez zaproszenie jej na spotkanie do naszego Instytutu Kobiecego, ale ona tak dziwnie rozmawiała przez telefon. Mówiąc szczerze, straciłam całą odwagę. Powiedziała mi, że obiecała sobie trzymać się z dala od Alice.

– Może powinnaś po prostu wyrzucić Clodagh z domu – zasugerowała Lettice.

– Myślałam o tym. Nawet jej to powiedziałam. Odrzekła, że nie ma zamiaru zostać w domu na zawsze, a kiedy będzie chciała się jej pozbyć, przeniesie się do Grey House lub do folwarku w Windover. Potem przekazała ojcu treść tej rozmowy i spędziliśmy razem okropny wieczór. Dzięki Bogu Shadwell miał wtedy wolne.

Lettice wrzuciła plasterek cytryny do kieliszka i obserwowowała

unoszące się ku powierzchni pęcherzyki powietrza.

– No to musisz porozmawiać z Alice Jordan.

– Biedna dziewczyna. Nie zrobiła nic złego poza zaprzyjaźnieniem się z moją niedobrą córką.

Lettice milczała chwilę, zastanawiając się, jak ma to wytłumaczyć Margot, nie zdradzając jednocześnie całej prawdy.

– Ona bardzo lubi Clodagh. Wydaje się, że na tyle, by życzyć jej jak najlepiej. Jeśli zrozumie, że takie wałęsanie się bez celu jest dla Clodagh na dłuższą metę szkodliwe, może namówi ją do wyjazdu. Clodagh powinna wyjechać... – Zamilkła.

Margot spojrzała na nią.

– Mów dalej.

– Młode małżeństwa – ciągnęła Lettice – nie potrzebują dodatkowej osoby dorosłej przebywającej z nimi przez cały czas.

Margot wydawała się oburzona.

– Clodagh nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! A poza tym Martin Jordan nie jest w żadnym razie w jej...

– Mimo to...

Zapanowała cisza. Nie po raz pierwszy, pomyślała Margot, Clodagh siała między ludźmi niezgodę. Nie ze złości, ale wyłącznie dlatego, że miała ku temu możliwości. Podniosła się z krzesła.

– Porozmawiam z Alice Jordan. Po festynie...

– Po festynie...

– W sobotę, Lettice, i nie udawaj, że nic o tym nie wiedziałaś.

– Och, wiem, wiem. Stoisko z roślinami doniczkowymi.

Margot wygładziła sukienkę.

– Jeśli nie uda nam się zebrać tysiąca funtów, zaproponuję, żebyśmy włożyły nasze herkulesowe wysiłki w jakąś inną działalność. Ta praca jest okropna. – Spojrzała na niebo. – Módlmy się o pogodę.

– Nigdy w życiu się nie modliłam – powiedziała stanowczo Lettice. – Wstała i wypila gin do końca. – Ale gdybym to robiła, zachowałabym modlitwę dla Clodagh, nie dla pogody.

– Dawnymi czasy – powiedział Stuart Mott, opierając się o ladę

i przypatrując Michelle – sklep zawsze dawał coś na festyn. Mówił mi tato.

Pan Finch nie lubił Stuarta Motta. Nie lubił żadnego z Mottów. Uważał ich za ludzi niezaradnych i nieuczciwych. Poza tym nie byli wykształceni. Crudwellowie, wydający na świat swe dzieci, podobnie jak rodzina Mottów, w Pitcombe, mieli przynajmniej w żyłach trochę cygańskiej krwi i przyjemnie było na nich patrzeć. Nawet jeśli ich córki nie prowadziły się dobrze i ciągle przyłapywano je w obozie wojskowym w Larkhill. Pan Finch zaczął czuć odrazę do ludzkiego seksualizmu. Przypuszczał, że było to wynikiem trzydziestu trzech lat spędzonych z panią Finch. Pochylił się nad ladą z drugiej strony i rzekł do Stuarta:

– Dawnymi czasy bywało inaczej. O wiele więcej osób korzystało z miejscowego sklepu, bo nikt nie miał samochodu, żeby pojechać do Salisbury. Nie stać mnie na więcej niż paczkę nasion kapusty.

– Nie potrzebujemy nasion kapusty – stwierdził Stuart, nie odrywając wzroku od Michelle. – Mamy więcej sadzonek kapusty niż nam trzeba. Przydałaby się za to ładna bombonierka na loterię.

Michelle przyjaźniła się z córką Stuarta, Carol, i uważała, że to obrzydliwe z jego strony tak się na nią gapić. Nie miała najmniejszego zamiaru otworzyć ust i dać mu okazji do rozmowy. Odwróciła się więc plecami i zaczęła przekładać spinki do włosów na niebieskiej tekturze zawieszanej na półce, gdzie pan Finch trzymał artykuły drogeryjne, jak nazywała je pani Finch. Wzdłuż półki z mydłem i talkiem pani Finch rozpięła fiołkowo-różową siatkę ze sztuczną orchideą.

– Sprzedam panu bombonierkę za pół ceny – zaproponował pan Finch – i niech już stracę.

Michelle miała pomóc Alice i Clodagh przy stoisku z rozmaitościami. Same ją o to poprosiły. A Martin zmajstrował coś w rodzaju gry na czas, w której trzeba było w przeciągu trzydziestu sekund przykryć plastikowymi kubkami jak najwięcej kołków na drewnianej desce. Poprosiła go o to lady Unwin. Gwen razem z Sally Mott miały zajmować się herbatą, a panna Pimm

przyjmować pieniądze. Pani Fanshawe była odpowiedzialna za stoisko z ciastkami, a w tej chwili sądząc po zapachach, pani Finch znajdowała się w kuchni w swym pomiętym nylonowym fartuszkach, robiąc swoją część lukrowanych smakołyków. „Moje specjały”, mówiła o nich. Nawet Michelle, która była w stanie zjeść cztery batony Twix za jednym zamachem, miała ochotę wymiotować na widok tej ogromnej ilości różowego i żółtego lukru. Podczas wypiekania ciast pani Finch czytała partyturę „Wesołej wdówki”. Dotarła właśnie do walca. Stuart Mott wskazał palcem na największą bombonierkę.

– Dam panu dwa funty za tę.

Pan Finch postawił na ladzie małe pudełko krówek, na którym napisane było, że wyprodukowano je z gęstej śmietany domowym sposobem.

– To moja najlepsza oferta. Jedyne sześćdziesiąt pensów.

Z wielką niechęcią Stuart Mott odliczył starannie sześćdziesiąt pensów drobnymi monetami.

– Pomagasz więc pani Jordan? – zagadnął Michelle. Wzruszyła ramionami.

– Może.

– Polubiła cię, co? Ja wszystko wiem. Nic, co się tam u nich dzieje, nie uchodzi mojej uwagi.

Podniósł pudełko krówek. Michelle wciąż stała do niego tyłem, a pan Finch, pamiętając opinię Lettice Deverel na temat plotek, odwrócił się, by wytrzeć nóż do bekonu.

– Ten brat cały czas jeszcze tam jest – ciągnął Stuart. – To dziwny facet. Ma niezły wóz. Spotykasz się później z Carol?

– Nie wiem.

Stuart podszedł do drzwi.

– Do zobaczenia w sobotę.

– Do widzenia – odpowiedział pan Finch wycierając energicznie nóż.

Michelle nie odezwała się. Jediną rzeczą, której nauczyło ją jedenaście lat nauki w szkole, było to, że można być o wiele bardziej niegrzecznym nie otwierając ust.

– Gdybym sam tu nie był – powiedział Anthony do Martina, przyglądając się rezydencji Unwinów tuż przed rozpoczęciem uroczystości – nie uwierzyłbym, że takie imprezy wciąż jeszcze są organizowane.

Martin próbował ustawić stół do kart, by można było rozłożyć na nim grę.

– W całej Anglii – powiedział Martin. – Każdego lata. Setki, tysiące wiejskich festynów. Czy mógłbyś znaleźć mi płaski kamień?

Przydzielono im miejsce na ogromnym trawniku pod drzewem szczodrzeńca. Po ich lewej stronie Lettice Deverel ubrana w niebieski fartuch, który miał z przodu ogromną kieszeń na pieniądze, wyceniała sadzonki geranium i cukinii na dziesięć pensów za sztukę. Panna Payne, pomagająca Lettice przy stoisku, zaniżała ukradkiem cenę do pięciu pensów. Potem ustawiała je zachęcająco na stole przykrytym zielonymi płachtami, które zostały ufarbowane specjalnie na tę okazję dziesięć lat temu i spędzały pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku złożone w schowku w domu panny Payne.

Za stoiskiem z sadzonkami stary kuchenny stół stojący obok żółtej piwonii zavalony był przygnębiającą kolekcją używanych książek: odpadkami wakacyjnych lektur miasteczka. Pani Macaulay, która nigdy nie czytywała niczego poza „Idealną Panią Domu” i podręcznikami hodowli jamników, ułożyła książki według ich grubości, tak więc „Wojna i pokój” oraz stare słowniki medyczne leżały pomiędzy nieprawdopodobnymi historiami szpiegowskimi i pornografią. Pani Macaulay, mając sporo doświadczenia w tego typu imprezach, podeszła realistycznie do całego wydarzenia i przyniosła ze sobą robótkę na drutach. Sprzeda wszystkie historyczne powieści panu Finchowi, wszystko co ma na okładkach uda i piersi Stuartowi Mottowi i będzie jak zwykle z ogromną trudnością próbowała znaleźć cokolwiek dla Unwinów lub pastora, którzy zgodnie z tradycją zobowiązani są dokonać jakiegoś zakupu w każdym stoisku. Oprócz tego będzie miała mnóstwo czasu na zmaganie się z szalowym kołnierzem do

swego nowego swetra.

Najbliżej domu jak tylko się dało – śmiejąc się, że tam ich przydzielono – Geny i Rosie Bartonowie ustawili swoje, jak je nazywali, społeczne stoisko. Oboje odwiedzili każdy dom w miasteczku z prośbą o wsparcie, wyjaśniając z nie gasnącym uśmiechem na twarzy, że pragną, by każdy mieszkaniec Pitcombe poczuł się choć trochę włączony w całą tę imprezę. Dziadek Crudwell, którego Bartonowie odwiedzili w czasie oglądania w telewizji sobotniego meczu bokserskiego, kazał im się odchrzanić. Inni oddawali im resztki zbiorów z ogrodu i słoiki ze spizarek, a panna Pimm obdarowała ich dwiema robionymi na szydełku serwetkami na toaletkę. Tak więc społeczne stoisko Bartonów ozdobione transparentem z napisem: „Stoisko dla ciebie” przypominało bezimienne zbiorowisko przedmiotów, które ludzie z ulgą pozostawiają za sobą przy przeprowadzce.

Rosie i Geny nie zajmowali się nim jednak; pozostawili je pod opieką grubej i zrozpaczonej niemieckiej opiekunki, dla której jedynym celem w życiu wydawało się nieustanne szlifowanie jej pozbawionego życia angielskiego. Bartonowie przemykali się w rym czasie od stoiska do stoiska uśmiechając się, dodając otuchy sprzedawcom i pozwalając sobie na małe żarciki, jak to oni, mieszkańcy, są złączeni przymierzem przeciwko Wielkiemu Dworowi i wszystkiemu, co go symbolizuje. Sally Mott i Gwen podziwiały Rosie Barton. Nie była przynajmniej zarozumiała. Bo byli tu i tacy, powiedziała Sally do Gwen napełniając dzbanek herbatą, którym należałoby przypomnieć, że żyjemy w dwudziestym wieku. Kiedy Rosie założyła grupę Wiejskich Kobiet, Sally Mott zapisała się pierwsza. Jak mówiła, życie ze Stuartem i starym Fredem sprawiało, że człowiek rozpaczliwie poszukiwał takiego miejsca, do którego mężczyźni nie mieliby dostępu.

Stoisko z herbatą z jednej strony graniczyło z loterią Stuarta Motta, a z drugiej z kramem różnaitości prowadzonym przez Alice i Clodagh. Obie niemało się nad nim napracowały. Każdy tandetny drobiazg, który udało im się znaleźć, został naprawiony,



wymyty i wypolerowany. Alice uszyła ogromny, przybity teraz na słupach ponad stoiskiem transparent, na którym wesoło tańczył rząderek białych słoni.

Przygotowanie stoiska wymagało mnóstwa pracy, za co Alice była bardzo wdzięczna, ponieważ w ten sposób znalazła wreszcie zajęcie dla Anthony'ego, który przebywał w Grey House już ponad tydzień i zaczynał ją powoli denerwować. Cały czas obserwował Alice i choć był dla niej serdeczny, ani jego spojrzenia, ani ton głosu nie pasowały do jego słów. Clodagh zostawała teraz o wiele częściej w Parku, a kiedy już przychodziła, by pomóc w przygotowaniu stoiska, była złośliwa i pełna rezerwy. Alice próbowała zmusić ją do rozmowy, dwa razy nawet ukradkiem do niej dzwoniła, ale za każdym razem Clodagh po prostu mówiła: „Poczekaj, aż on wyjedzie, Alice, poczekaj”. Ale dla Alice, która się wreszcie przebudziła, w której rosła wdzięczność i ogromne pragnienie, było to niemożliwością. Postanowiła, że porozmawia z Martinem, by wyprosił jakoś Anthony'ego. W gruncie rzeczy Martin wcale nie chciał gościć brata w domu, to ona sama, przepełniona szczęściem, powiedziała: przyjedź, oczywiście, że przyjedź, będę dla ciebie miła, teraz jestem miła dla każdego. Ale Anthony przywiózł ze sobą coś niedobrego i to coś stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Układając w jednym rzędzie na białej koronkowej serwecie małe butelki z rżniętego szkła, obiecała sobie, że porozmawia z Martinem jeszcze tego wieczoru. Na tę myśl serce podskoczyło jej z radości i odwróciła się, by posłać Clodagh uśmiech pełen szczerzej miłości.

Clodagh podała Michelle kartonowe pudełko z monetami pięcio- i dziesięciopensowymi.

– Pobiegnij z tym do Martina, dobrze? To pożyczka dla niego. Jedno podejście za dwadzieścia pięć pensów lub pięć za funta.

Michelle w swych nowych białych szpilkach ruszyła w stronę stoiska Martina.

– Co za cholerny tydzień – powiedziała Clodagh. – Tęskniłam za tobą. Nigdy za nikim tak bardzo nie tęskniłam. Kiedy ten drań

wyjeżdża?

Alice rzuciła krótkie spojrzenie na Natashę, która zajęta była układaniem monet w starannych kupkach według nominałów.

– Jak tylko będzie to możliwe. Porozmawiam z Martinem.

– On wie. Anthony wie. Domyślił się od razu.

– Tak sądzisz?

Zbliżała się do nich pani Fanshawe z papierowym talerzem pełnym babeczek.

– Nie dbam o to – stwierdziła Alice. – Nie dbam, nawet jeśli cały świat się o tym dowie.

– Przyniosłam trochę ciastek – powiedziała pani Fanshawe – bo o tych, którzy prowadzą stoiska, tak często się zapomina podczas podwieczorku.

Postawiła talerz na stole.

– Dziękuję – rzekła Alice. Czowała ogromną ulgę. Pani Fanshawe rzuciła krótkie spojrzenie na cały kram.

– Czy wiedzą panie, że ta waza należała kiedyś do mojej babki? Dokładnie ją pamiętam. Pomagasz mamusi z drobnymi, moja droga? Niemożliwe, że to pani mały! Jakże on urósł. Muszę lecieć. Wiedzą panie, jak ludzie rzucają się na stoisko z ciastkami, kiedy tylko ich wpuścić. Muszę wracać na moje stanowisko. Babcia Crudwell upiekła ciasto z bakaliami i prawdę mówiąc, czuję zapach brandy aż tutaj...

Ruszyła w stronę stoiska z ciastkami. Clodagh sprawiała zawsze, że czuła się niepewnie. Alice szepnęła:

– Chciałabym jej powiedzieć. Chciałabym powiedzieć wszystkim.

Przy wejściu ozdobionym dwiema brytyjskimi flagami Shadwell dał sygnał gwizdkiem. Natychmiast tłum około trzydziestu osób pospieszył w stronę stoisk, by objąć swe stanowiska. Dwóch chłopców w wieku około dwunastu lat zbliżało się do stoiska Martina. Anthony, zupełnie bez związku z tym, o czym mówili wcześniej, powiedział zdawkowo do Martina:

– Oczywiście Clodagh Unwin jest lesbijką.

– O czym ty mówisz? – zapytał Martin. Bardziej śmiały z

chłopców podał Martinowi pięćdziesiąt pensów, a gdy ten zaczął objaśniać zasady gry, mały powiedział:

– Wiem. Grałem w to już przedtem.

Martin podał mu stertę plastikowych kubków i nastawił stoper.

– Gotowi? Bzdura, Anthony. A zresztą skąd możesz o tym wiedzieć?

Anthony milczał. Poczekał, aż chłopiec zdobył punkt, jego mniej śmiały kolega dwa punkty więcej, a oba wyniki zostały wpisane do notesu. Potem powiedział:

– Wiem, ponieważ ma romans z Alice.

Zapadła cisza, a po chwili Martin odezwał się dobitnie:

– Alice jest moją żoną.

– Alice, twoja żona, i Clodagh Unwin mają romans. Jakaś starsza pani uniosła małą dziewczynkę, by podała Martinowi dwadzieścia pensów. Martin bardzo szczegółowo objaśnił zasady gry. Babcia i wnuczka wolno położyły sześć kubków na kołkach w ciągu trzydziestu sekund, po czym zadzwonił stoper i dziecko zaczęło płakać. Babcia, obiecując dziewczynce łakocie, odeszła obrzuciwszy Martina oskarżycielskim wzrokiem.

– Nie opowiadaj takich cholernych bzdur – zdenerwował się Martin.

– Ale to prawda.

– To kłamstwo. Cholernie bezczelne kłamstwo. Wymyśliłeś je, bo jesteś zazdrosny.

– Mówię prawdę – odpowiedział Anthony. – Przyjrzyj im się, a sam zobaczysz.

Sir Ralph, który wyglądał jowialnie w swym kraciatym garniturze a la księżę Walii, podszedł do nich i zauważył, że powinien chyba wzorem całej reszty też zrobić z siebie głupca. Martin stwierdził, że to bardzo ładnie z jego strony. Starszy pan udawał przez dłuższą chwilę, że nie rozumie reguł gry, a gdy wreszcie zagrał, z ogromną zręcznością i wspaniałym tempem pobił poprzednie trzy wyniki. Wokół niego zgromadził się spory tłumek gapiów. Sir Ralph wyprostował się i poklepał Martina po ramieniu.

– Lubię przechytryć prawniczy umysł, kiedy mam po temu okazję.

Widzowie wybuchli uprzejmym śmiechem. Sir Ralph oznajmił, że powinien chyba kupić jakąś nieprzyzwoitą książkę od pani Macaulay, i odszedł zabierając ze sobą tłumek swej publiczności. Kiedy był już poza zasięgiem głosu, Martin powiedział do Anthony'ego:

– Chcę, żebyś wyjechał. Zaraz. Po prostu wyjedź. Gdziekolwiek się pojawiaasz, zawsze są kłopoty. A ja nie chcę, żebyś tu rozrabiał. Po prostu spieprzaj stąd, rozumiesz, zaraz...

Anthony odsunął się nieco od brata.

– Chcesz, żebym wyjechał, bo myślisz, że wtedy nie będziesz musiał przyjąć do wiadomości, iż twoja żona jest lesbą. – Martin wbił wzrok w kraciaste plecy sir Ralpha pochylające się nad stolikiem z książkami.

– Gdybyśmy nie byli w tej chwili w ogrodzie Unwinów, rozwalilibym ci tę twoją pieprzoną gębę.

Anthony westchnął.

– Rozwalaj, co chcesz. To nie zmieni faktów. Nikt prócz ciebie nie mógłby żyć w takim układzie niczego nie dostrzegając. Ale z drugiej strony ty zawsze widziałeś tylko to, co chciałeś zobaczyć.

Do stoiska zbliżało się kilka osób.

Anthony ociągał się przez chwilę, jakby chcąc jeszcze coś dodać, ale w końcu rzucił tylko: „Cześć!” lekkim tonem i oddalił się w stronę podjazdu. Martin wyprostował się i spojrzał na swoich klientów. Wydało mu się, że dzielą ich mile. Potem pierwszy z nich, traktorzysta sir Ralpha, w podkoszulku z napisem: „Jeśli nie cierpisz słońca i seksu... nie przyjeżdżaj do Grecji”, powiedział:

– Ile punktów muszę zdobyć, żeby pobić szefa?

– To wspaniały człowiek – powiedział Martin z lekką wymówką. Jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

– No to niech pan patrzy – traktorzysta podał mu monetę jednofuntową. – Niech pan patrzy, jak biję jego rekord.

W salonie było prawie ciemno. Siedzieli tak już od paru godzin.

Na zewnątrz powoli zmierzchało się, a zapach lilii, które John Murray-French posadził wiele lat wcześniej, napływał do środka przez otwarte okna. W pokoju byli tylko Martin i Alice. Clodagh poszła do domu, jak tylko dzieci położyły się spać. Nie chciała zostać na kolację. Powiedziała, że wiedzą, gdzie jej szukać, jeśli będzie taka potrzeba. Od długiego czasu siedzieli w milczeniu. Nie zamienili prawie ani słowa od chwili, gdy Martin przestał płakać i nie pozwolił, by Alice pocieszyła go. Był bardzo uprzejmy. Cały wieczór tak się zachowywał. Alice zastanawiała się, czy kiedykolwiek wydawał się jej tak sympatyczny jak dziś. Jest cudowny, pomyślała pełna podziwu.

– Nie jesteś w stanie go pocieszyć – powiedziała jej Clodagh przed wyjściem. – To bezczelność myśleć, że możesz to zrobić.

Zrobił Alice jedną jedyną wymówkę. Odwrócił się w jej stronę w półmroku i zapytał: „Jak mogłaś?” I Alice wiedziała, że nie chodzi mu tylko o siebie, ale też o to, jak mogła zakochać się w kobiecie, jak mogła uprawiać seks z kobietą? Pochyliła się więc do przodu i próbując pomóc mu zrozumieć to, co dla niej było oczywiste, powiedziała:

– Widzisz, to nie dlatego, że Clodagh jest kobietą, lecz dlatego, że Clodagh jest kobietą. Rozumiesz?

Mruknął coś w odpowiedzi.

– Dzięki niej wszystko co mam, lubię bardziej – ciągnęła. A potem z idiotyczną otwartością osoby szczęśliwej dodała: – Nawet ciebie. Lubię cię bardziej dzięki Clodagh.

Wtedy się rozplakał. Nie trwało to jednak długo. Wytarł energicznie nos i od tej pory siedzieli bez słowa w zapadającej ciemności. Balon wszedł do pokoju, miauknął kilka razy pytająco i wskoczył Martinowi na kolana. Zrzucony z nie znaną mu do tej pory furiją, obrażony opuścił pokój z wielką godnością. Wreszcie Martin zapytał:

– A co z dziećmi?

Alice odwróciła głowę w jego stronę.

– A co ma być?

– No cóż... – Poruszył się na krześle. – Ty i Clodagh, wasz

wpływ i tak dalej. No wiesz...

– Nie! – krzyknęła. – Nie wiem. Clodagh je uwielbia. Ja też. Jesteśmy dwojgiem kochających się dorosłych, a nie jakimiś propagatorkami dyskryminowanej mniejszości seksualnej.

– Cicho – próbował ją uspokoić. – Cicho. Przepraszam. Nie chciałem... to znaczy, myślałem... – Przerwał. Po chwili zapytał bardziej stanowczym już głosem: – Czy one wiedzą?

– Wiedzą, że ja kocham Clodagh, a ona mnie. Kochają Clodagh. Nie wiedzą nic o miłości dorosłych, bo nie mają jeszcze nawet ośmiu lat.

Znowu zapadło milczenie. Po chwili odezwał się Martin:

– Nigdy nie potrafiłem tak naprawdę do ciebie dotrzeć, prawda? Nigdy. Może trochę na początku.

– Proszę...

– Pamiętam, jak kiedyś w jakiejś okropnej spelunie w Marlow pomyślałem sobie, oświadczę się jej teraz. I bardzo tego pragnąłem. Po chwili zdałem sobie jednak sprawę, że mogę zmusić nas oboje do czekania. Tak też zrobiłem. Byłem taki szczęśliwy. Podejrzewam, że to był jedyny raz, kiedy miałem nad tobą przewagę.

– Ja cię kochałam – powiedziała Alice. – I nadal cię kocham.

– Ale nigdy nie byłaś we mnie zakochana... Zapadło krótkie milczenie.

– Nie – odrzekła. – Nie zakochana. W nikim.

– Do... teraz – powiedział z bólem.

– Do teraz.

Mruknął coś pod nosem. Usłyszała hałas i sądząc po miejscu, z którego dobiegał jego głos, domyśliła się, że wstał. – Idę do łóżka...

– Martin...

– Nie martw się – powiedział, zmuszając się do czegoś w rodzaju uśmiechu. – Będę przyzwoity i położę się w pokoju gościnnym.

– Jesteś taki... wspaniały...

– Przed nami jeszcze długa droga...

– Nie dziś wieczór.

– Nie – przyznał. – Nie dziś wieczór. – A potem przeszedł cicho przez ciemny pokój i otworzył drzwi. Słaby strumień światła z półpiętra oświetlił jego postać.

– Dobranoc – powiedziała Alice. – Spróbuj zasnąć.

– Ty też.

Drzwi zamknęły się. Alice odchyliła do tyłu głowę. Za chwilę zadzwoni do Clodagh, ale na razie posiedzi sobie tutaj z zamkniętymi oczami i pomyśli o Martinie, o czułości i podziwieniu, jakie w niej wzbudził. To oczywiście nieuchronnie doprowadzi do rozmyślenia nad jej uczuciami do Clodagh, które całą tę radość, pełnię i smutek, całe to życie, uczyniły możliwym. Cokolwiek się teraz stanie, myślała Alice, da sobie radę. Każdym nerwem czuła, że jest w stanie dodawać innym otuchy, stawić czoło przeciwnościom i wybrnąć jakoś z tej sytuacji. Rozłożyła ramiona w ciemności i zacisnęła dłonie. Wiedziała, że przekroczyła jakąś granicę.

Anthony zadzwonił do Cecily, by powiedzieć, że wyjeżdża na dwa tygodnie na Majorkę. Przyjaciel wynajął mu tam swą willę.

– Skąd dzwonicz?

– Z Londynu.

– Sądziłam, że jesteś w Pitcombe...

– Byłem. Wyjechałem w sobotę. Trochę za dużo tam wiejskiego życia.

– Anthony. Co zrobiłeś?

– Nic...

– No to dlaczego wyjeżdżasz na Majorkę?

– Bo jak wiesz, jestem urodzonym darmozjadem. Dostałem dach nad głową na dwa tygodnie w zamian za odmalowanie loggii. Zwróć uwagę, że to luksusowy dach nad głową.

– Nie wątpię. Jak tam wszyscy w Pitcombe?

– Świetnie – powiedział Anthony z zapalem. Zapadła cisza, a po chwili odezwała się Cecily:

– No to jedź sobie. I proszę cię, pomaluj tę loggię.

– Zaufaj mi – powiedział Anthony i odłożył słuchawkę.

Cecily wyszła do ogrodu. Jej biała rabata wyglądała bardzo efektownie. Osiągnięcie takiego rezultatu zabrało jej osiem lat. Obsadziła ją, by uczcić urodziny Natashy, pierwszej wnuczki. Pochyliła się teraz nad kwiatami, przyjrzała im się uważnie i usunęła resztki trawy, która wyrosła pomiędzy łodygami łubinu. Myśli jej krążyły jednak wokół Anthony'ego. Myślała o nim, o Alice i o jego podróży na Majorkę. Po wyjeździe z Wiednia nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zaangażuje się całym sercem i duszą w ludzkie sprawy. Była o tym wciąż przekonana w ciągu pierwszych lat małżeństwa, nawet kiedy synowie byli jeszcze mali. Gdy zajęła się ogrodnictwem, wydawało jej się czymś zupełnie naturalnym, że jakaś namiętność choćby platoniczna powinna wypełnić pustkę, w jakiej żyła od wyjazdu z Wiednia.



Ale jak na ironię to właśnie ogrodnictwo rozbudziło w niej ponownie chęć zbliżenia się do innego człowieka. Wmówiła sobie, że jest już za późno, by dotrzeć do Richarda, i że obaj synowie, każdy na swój sposób, są jej obcy – Anthony był nieobliczalny i niebezpieczny, Martin postępujący zawsze zbyt konwencjonalnie. Wtedy pojawiła się Alice, i to właśnie dzięki niej Cecily mogła wreszcie nawiązać prawdziwy kontakt z synami. Byłaby spróbowała zbliżyć się także do Richarda, gdyby tylko jej na to pozwolił. I oto teraz, więcej niż trzykrotnie starsza od młodej dziewczyny, która opuściła Wiedeń, znalazła się w takiej samej pułapce swych uczuć w stosunku do rodziny, jaką kiedyś były sidła romantycznej i erotycznej namiętności. Odkryła, że emocje te przypominały swą intensywnością i natręctwem jej pierwszą miłość. Ci sami ludzie, dla których pogodziła się z faktem, że do nich nie pasuje – zbieg okoliczności, jak mówiła – byli przyczyną jej niezliczonych bezsennych nocy i niespokojnych dni.

Przy końcu białej rabaty znajdowała się altanka, opleciona złotym chmielem pnącym się naokoło łukowato zakończonej kraty. W środku stała kamienna ławka z oparciem w kształcie liścia akantu. Altanka – wijące się zielonozłote liście, obrośnięty kamień, kępkę białych kwiatów – została sfotografowana do kilkunastu książek o angielskich ogrodach. Nawet w tak ponury dzień jak dziś jej widok sprawiał satysfakcję. Cecily stała przed altanką przez jakiś czas i próbowała przypomnieć sobie, kiedy to ostatni raz miała naprawdę twórczy pomysł. Wyglądało na to, że w życiu można poświęcić swe możliwości twórcze ludziom lub pracy, ale rzadko obu dziedzinom życia naraz. Po prostu nie wystarczało jej dla ludzi i pracy jednocześnie. Mężczyźni wiedzieli o tym. Nawet nie próbowali łączyć tych dwóch rzeczy. Czując, stojąc tak przed ławeczką, że mogłaby płakać, po prostu płakać przygnębiona tym podziałem, tym niepotrzebnym rozdarciem swej osobowości.

– Telefon!

Odwróciła się. Dorothy stała na drugim końcu rabaty machając

chusteczką. Cecily zaczęła szybko iść w stronę domu.

– Bardzo przepraszam! – powiedziała Dorothy – ale wygląda na to, że to pilne. Ten ktoś mówi, że jest pastorem z Pitcombe.

– Pa stor...

– Tak. Jakiś pan Morris.

Cecily zaczęła biec. W holu słuchawka telefonu leżała obok białej hortensji w chińskiej wazie.

– Pan Morris?

– Ach – odezwał się Peter. – Tak się cieszę, że mogę z panią porozmawiać. Nikomu nic się nie stało. Proszę to dobrze zrozumieć. Nikomu z rodziny nic się nie stało. Ale wydaje mi się, że powinna pani przyjechać. Myślę, że jest tu pani potrzebna. Pani syn pragnie pani przyjazdu.

– Co się stało?

– Kryzys emocjonalny – powiedział ostrożnie Peter.

– Jaki kryzys? O czym pan mówi?

– Czy mogłaby pani przyjechać? Byłoby mi łatwiej wszystko pani wyjaśnić.

Była to nieprawda i wiedział o tym. Tego nigdy nie da się łatwo wyjaśnić, ale przez telefon, gdy nie widać rozmówcy, jest jeszcze gorzej. Wykrzywił twarz patrząc na reprodukcję Carpaccia wiszącą na ścianie gabinetu, przedstawiającą świętego Hieronima przy stole z małym pieskiem u stóp.

– Wszyscy czują się dobrze i są pod dobrą opieką, ale rodzina potrzebuje pani wsparcia – powiedział.

– Przyjadę – zapewniła. – Będę za dwie godziny.

– Proszę przyjść na plebanie. Proszę najpierw przyjść do mnie.

– Tak – odrzekła. – Tak. – Słyszał, jak drży jej głos. Odłożył słuchawkę i spojrzał na krzesło, na którym będzie siedziała, gdy powie jej, że jej synowa i Clodagh Unwin zostały kochankami i chyba nie miały najmniejszego zamiaru przerwać swego romansu. Będzie musiał opowiedzieć, jak to Alice przybiegła do niego poprzedniego wieczoru w okropnym stanie i twierdziła, że mąż próbował ją zgwałcić. Zgwałcić, powtarzała w kółko. „Próbował mnie zmusić. On oszalał, oszalał...”

Posadził ją na krzesło w kuchni plebanii i zrobił herbatę. Alice powiedziała mu, jak wyrozumiała był Martin na początku, jak wszystko potrafił zaakceptować. Potem nagle zmienił się, zaczął na nią wrzeszczeć i oskarżać Clodagh o to, że próbowała przekupić go stanowiskiem prawnika rodziny w zamian za odebranie mu Alice. Rzucił Alice na podłogę, zaczął szarpać jej i swoje ubranie. Był wściekły i zachowywał się bardzo gwałtownie, krzycząc bez przerwy i płacząc. Wtedy do pokoju wszedł James i oczywiście wszystko się skończyło. Później Martin zamknął się w gościnnej sypialni i słychać było, jak płacze. Zadzwoiła do Clodagh, która przyjechała natychmiast, by pomóc uspokoić Jamesa. Alice zostawiła ich oboje w domu i przyszła na plebanie, ponieważ sądziła, że potrzeba im lekarza, prawdopodobnie kogoś więcej niż lekarza, nie wiedziała, nie była w stanie myśleć... Kubek w jej dłoni drżał, a gorąca herbata wylewała się na spódnicę, czego zdawała się nie zauważać. Peter wziął więc kubek z jej rąk, usiadł i patrzył na nią, dopóki nie był pewien, że może powiedzieć mu jeszcze raz, powoli, co się stało.

– Ciągłe wrzeszczał – zaczęła. – „Jesteś lesbijką, słyszysz, jesteś lesbijką...”

– Ale przecież tak jest. Jeśli to, co mi pani opowiadała o sobie i Clodagh, jest prawdą, to pani jest lesbijką.

– A czy to tak źle?

– Tak – powiedział Peter Morris. – To bardzo źle. Wpatrywała się w niego. Jej gęste rozpuszczone włosy były w nieładzie.

– Ale życie stało się o tyle lepsze, o tyle szczęśliwsze...

– Nie – zaprzeczył. – To złudzenie. To była egoistyczna krótkotrwała przyjemność. Nie ma nic dobrego w szczęściu, które na pewno kogoś krzywdzi.

– A jeśli przedtem ja byłam ofiarą?

– Wolna wola – odrzekł. – Przez całe życie ma się wybór.

– Nie jestem zła – powiedziała Alice przez łzy. – Nie jestem niedobrą kobietą.

– Wiem o tym. Dobroć jako taka nie chroni nikogo przed złym czynem.

– To nie jest zły czyn! Jakże miłość może być zła?

– Sama w sobie nie może. Złe jest to, co człowiek może z nią zrobić.

Potem zadzwonił do lekarza w King's Harcourt i odprowadził Alice do domu w zapadającym niedzielnym zmierzchu. Za drzwiami gościnnej sypialni panowała cisza, w kuchni było spokojnie, lecz jakoś nieprzyjemnie. Clodagh czytała na głos Jamesowi, a przy stole Natasha uzupełniała diagramy w książce „Połącz kropki”. Clodagh trzymała Jamesa na kolanach, ale kiedy Peter i Alice weszli, postawiła chłopca na ziemi, podeszła do Alice i objęła ją ramieniem. Peter nie mógł na nie patrzeć. Zbliżył się do stołu i zaczął podziwiać pracę Natashy.

– One nie wyglądają oczywiście na prawdziwe – powiedziała dziewczynka nie przerywając rysowania. – To przez te spiczaste zakończenia.

James z kciukiem w buzi podszedł do obu kobiet i oparł się o nie. Miał na sobie pidżamę. Alice pochyliła się, by wziąć go na rękę. Objął matkę za szyję i wystawił swe gołe stopy w bok, tak by Clodagh mogła je trzymać.

– Przyjedzie doktor Milligan – zapowiedziała Alice. – Da tatusiowi lekarstwo, które pomoże mu zasnąć.

– Kiedy miałam ospę wietrzną jako mała dziewczynka – odezwała się Clodagh – doktor Milligan dał mi długopis i kazał obrysować każdą krostę, którą udało mi się znaleźć. Zajęło mi to cały dzień.

James zachichotał.

– Pójdę na górę – powiedział Peter. – Pójdę i poczekam na lekarza.

Alice podeszła z Jamesem do pieca i usiadła trzymając chłopca na kolanach. Clodagh nie ruszyła się z miejsca.

– Alice...

– Tak?

– Nie zaczynasz chyba się wahać? Co ci powiedział Peter?

– Że to, co robimy, jest złe. Clodagh parsknęła.

– Mam nadzieję, że za bardzo się tym nie przejęłaś.

– Muszę się przejmować. Ale nawet jeśli się przejmuję, nie znaczy to, że zmieniłam zdanie.

Natasha zaczęła przyglądać się Clodagh.

– A twoje uczucia? – zapytała Clodagh. Podniosła wysoko głowę. Stała tak wyprostowana, w swojej krótkiej bladoszarej sukience; szczupła postać pod czupryną blond włosów.

– Spośród wszystkich ludzi – zauważyła Alice – ty najlepiej powinnaś znać moje uczucia.

Clodagh podeszła nagle do stołu i oparła się na nim.

– To uczucie jest prawdziwe, wiesz? – powiedziała natarczywym głosem. – Prawdziwe. Nie pour epater le bourgeois\* [*Pour epater le bourgeois* (fr. ) – aby zadziwić mieszczucha (przyp. red.)].

– Wiem.

Clodagh położyła dłoń na rękę Natashy.

– Nie ma w nim egoizmu. Ono daje. Obejmuje innych ludzi. To uczucie to najlepsza rzecz w kobiecie...

– Clodagh. Wiem o tym.

Łzy spływały po twarzy Clodagh. Nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi i zaczęły kapać na stół.

– Musisz o tym wiedzieć – powiedziała. – Wszyscy muszą o tym się przekonać. Muszą zobaczyć, że nasze uczucie jest tak silne i prawdziwe jak zwyczajna miłość. Nigdy sobie przedtem nie zdawałam z tego sprawy, ale teraz jestem tego pewna. Och, Alice...

Wszyscy ją obserwowali. James wyjął kciuk z buzi. Alice wyciągnęła rękę.

– Clodagh. Po co to wszystko, po co się martwić...

– Boję się twego wahania – krzyknęła Clodagh, zakrywając dłonią mokrą twarz. – Boję się tego, boję się, że ono każe ci się wycofać, że nie pozwoli ci przekroczyć tej granicy.

Natasha wstała pospiesznie i podeszła do matki. Alice wzięła ją za rękę. Siedziała wyprostowana, obejmując dzieci, i choć na jej twarzy malowało się ogromne zmęczenie, powiedziała spokojnym głosem:

– Nie musisz się martwić.

Clodagh opuściła ręce, podeszła do kredensu i wytarła mocno nos kawałkiem papierowego ręcznika.

– Alice. Moja kochana Alice. Jesteś taka niewinna.

A potem przyszedł lekarz. Poszedł na górę z Peterem Morrisem. Martin, kompletnie załamany swoim postępowaniem, jak również gorzkimi rewelacjami ostatnich dwudziestu czterech godzin, zachowywał się biernie, jak grzeczny, dobrze wychowany uczeń. Pozwolił ubrać się w pidżamę, położyć do łóżka i zrobić sobie zastrzyk na sen. Na półpiętrze Peter Morris z niechęcią wyjaśnił lekarzowi okoliczności zdarzenia, a potem obaj zeszli na dół do kuchni. Clodagh nie było, a Alice siedziała przy stole grając z dziećmi w szubienicę.

Doktor Milligan powiedział, że zajrzy znowu jutro, ale jego zdaniem Martin powinien wyjechać na jakiś czas.

– Po to, żeby pani – zwrócił się do Alice – mogła doprowadzić swój dom do porządku.

Alice milczała. Wpatrywała się w miejsce na stole, gdzie wisząca lampa rzucała okrągły snop światła.

– To nie F – powiedziała Natasha. – Jeszcze cztery błędy i powieszę cię.

Alice czuła, że mężczyźni patrzą na nią. Obaj byli wysocy, siwowłosi, w wygodnych niedzielnych garniturach. Przypomniała sobie słowa Clodagh: „Dlaczego niby mężczyźni mają tobą gardzić? Naprawdę jesteś chodzącym stereotypem. Czy kobiety pogardzają gejami? Alice, Alice...”

Podniosła z trudnością głowę.

– Jutro rano zadzwonię do pani teściowej – stwierdził Peter Morris.

– Och...

– Tak – powiedział stanowczo. Doktor Milligan ruszył w stronę drzwi.

– Na pani miejscu położyłbym dzieci do łóżka. Pani też powinna odpocząć. – Otworzył drzwi. – Pada – zauważył i wyszedł. Peter Morris podeszedł do stołu i położył na krótką chwilę

dłoń na główkach dzieci.

– W każdej chwili może pani do mnie zadzwonić...

– Tak.

– Martin będzie spał przez całą noc.

– Tak.

– Proszę iść teraz do łóżka.

Kiedy wyszedł, Natasha powiedziała wzdychając:

– To wszystko przez wujka Anthony’ego, prawda?

– No cóż, częściowo...

– Czy tatuś będzie się rano czuł lepiej?

– Trochę lepiej.

– Kto nas jutro zawiezie do szkoły?

– Pani Alleyne – odpowiedziała Alice po chwili zastanowienia.

Usteczka Jamesa zadrżały.

– Nie...

– To jej kolej...

– Ja chcę Clodagh...

– Tak, tak. Wiem. Wstała i wzięła syna za rękę.

– No już. Do łóżka.

Powlókł się, ciągnięty przez matkę. Powoli wspięli się na górę, obok wymownie zamkniętych drzwi gościnnej sypialni, i weszli do pokoju Jamesa, gdzie pod kolekcją modeli samolotów czekało na niego jego łóżeczko. Kiedy położył się, wydał się Alice bardzo mały i wąty. Widok jego małego karczka przeraził ją. Pocałowała go pospiesznie, bojąc się, że się rozpłacze, zanim wyjdzie z pokoju. Po raz pierwszy nie błagał jej, by została, ale włożył kciuk do buzi i przekręcił się posłusznie na bok.

W sąsiednim pokoju Natasha układała do snu Księżniczkę Elegancję w jej różowym plastikowym zamku. Nie oglądając się, zapytała matkę:

– Może powinnam powiedzieć tatusiowi dobranoc?

– Myślę, że tatuś mocno już śpi. Wyjęłaś strój na jutrzejszą lekcję baletu?

Natasha skinęła potakująco głową. Jutro, pomyślała Alice. Poniedziałek, lekcja baletu, pomoc w sklepie, Clodagh do opieki

nad dziećmi w czasie podwieczorku, Martin się obudzi, przyjedzie Cecily, przyjdzie Gwen, każdy się dowie. A przedtem noc, którą trzeba jakoś przetrwać. Podeszła do Natashy i pocałowała ją.

– Jak tylko Księżniczka będzie gotowa, wskakuj do łóżka, Tashie. Przyjdę do ciebie później, jak się wykąpię.

– Chciałabym – powiedziała dziewczynka – mieć też Elegancki Powóz.

– Może na urodziny...

Natasha zaczęła cicho i tajemniczo przemawiać do wnętrza lustrzanej sali tronowej. Alice wyszła i zamknęła drzwi. Stała przez chwilę słuchając, co dzieje się w pokojach dzieci. Przemogła się i zatrzymała też na chwilę pod drzwiami gościnniej sypialni. Potem poszła do siebie, zdjęła buty i położyła się na łóżku. Nie zapalała światła. Leżała tak w półmroku, wpatrując się w ciemność. Za oknem, w letnią noc, deszcz uderzał o twardą suchą ziemię.

– Co mi pan opowiada? – zapytała Cecily, ale udawała tylko oburzenie. Wiedziała.

Peter Morris nie dodał nic więcej. Wstał, podszedł do okna i wyrztał na swój mokry ogród.

– A lekarz?

– Był w Grey House dziś rano. Uważa, że powinna pani zabrać Martina na kilka dni do siebie. Potrzeba mu opieki. – Odwrócił się do niej. – Skutek szoku, rozumie pani. Coś, co sto lat temu nazwano by rozstrojem nerwowym.

Cecily miała zamknięte oczy.

– To wszystko jest takie groteskowe.

– Ale prawdziwe.

Otworzyła oczy i rozłożyła szeroko ręce.

– Ale tutaj...

– W Pitcombe?

– Tak.

– Natura ludzka jest wszędzie taka sama. Tutaj może jedynie okolica jest ładniejsza niż, powiedzmy, w Solihull. I nie ma tłumów, wśród których można się ukryć.



– Na pewno wyda się to panu absurdalne – powiedziała Cecily nieco sztywno – ale ja nigdy jeszcze nie zetknęłam się z taką... taką... sytuacją.

– Ja też nie – odrzekł Peter. – Między mężczyznami tak. Ale nie między kobietami. Z kobietami jest zupełnie inaczej.

Cecily ponownie zamknęła oczy.

– Nie wątpię...

Peter Morris podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

– Musimy iść do Grey House.

– Ale dzieci...

– Dzieci są w szkole.

– Ale nie mały.

– Mały jest tam, gdzie być powinien – powiedział Peter. – Z matką.

Pomógł Cecily wstać i wyprowadził ją z domu. Na głównej ulicy nie było nikogo poza Stuartem Mottem, który przycinał krzewy ligustru oddzielające mały ogród panny Pimm od chodnika. Skinął głową, gdy ich zobaczył, dając do zrozumienia, że absolutnie nie może wypuścić z rąk nożyc, by do nich pomachać. Wiedział, kim jest Cecily. Sposób, w jaki szła, wskazywał, że miała jakieś złe wiadomości do przekazania w Grey House. Może ojciec pana Jordana umarł albo coś się stało z jego bratem. Zobaczyła ich również panna Pimm, odkurzająca sekretarzyk swej zmarłej matki we frontowym pokoju na piętrze. Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru widziała Petera Morrisa prowadzącego w taki sam sposób Alice: wydawać by się mogło, że podtrzymuje chorą osobę. Panna Pimm wzięła do ręki fotografię matki. Tej nocy, kiedy matka miała śmiertelny atak, panna Pimm poszła prosto na plebanię, a właściwie pobiegła tam, zanim jeszcze zadzwoniła po lekarza. To był jedyny raz w życiu, kiedy spróbowała brandy.

– Czy... czy ludzie w miasteczku wiedzą o tym? – zapytała Cecily.

– Jeszcze nie.

– A muszą?

– Nie da się tego uniknąć.

– Dlaczego to Alice nie może wyjechać? – zapytała wściekła, spoglądając na Petera. – Dlaczego to musi być biedny Martin?

– Dzieci.

– Tak...

– Wydaje mi się, że Martin i Alice muszą dojechać do siebie osobno, zanim znów się zjedną, by uzdrowić swoje małżeństwo.

Cecily parsknęła.

– Swoje małżeństwo! Mój drogi panie Morris, już dawno po nim...

– Wcale nie.

Chwycił ją za ramię, gdy przechodzili przez jezdnię.

– Taka zdrada – powiedziała Cecily myśląc nie tylko o Martinie.

– Nie gorsza moim zdaniem niż zwyczajne cudzołóstwo. Obie są grzechem. Żadna z nich nie musi jednak zniszczyć małżeństwa, jeśli ma się wystarczające wsparcie.

Na drodze prowadzącej do Grey House spotkali najpierw furgonetkę z mlekiem, a później małą ciężarówkę wiozącą do naprawy kosiarkę do trawy Martina. W ostatnim ogrodzie przed Grey House powiewało na sznurze gumowe prześcieradło i kilka par ogromnych spodni od pidżamy. W bramie Peter wziął Cecily mocniej pod ramię i poprowadził ją wzdłuż fasady domu do kuchennych drzwi. Górna ich połowa była otwarta, a w środku przy stole siedział Martin w dżinsach i kraciastej koszuli i czytał gazetę. Włosy miał gładko zaczesane i był bardzo blady.

Podniósł głowę, gdy ich sylwetki pojawiły się w drzwiach, wstał i powiedział: „Dzień dobry, mamó”. Podeszedł do drzwi, otworzył je i pocałował matkę w policzek. Potem przywitał się z Peterem i cofnął uprzejmie, jakby nic więcej nie był w stanie zrobić.

Cecily objęła go mocno. Stał tak i pozwalała! się przytulać. Potem zapytał:

– Macie może ochotę na kawę? Chyba jeszcze trochę zostało.

– Kochanie – powiedziała Cecily. – Kochanie.

– Proszę cię... – Wysunął się z jej objęć.  
– Przyjechałam zabrać cię do domu, kochanie. Przyjechałam zabrać cię ze sobą na trochę do domu...  
– Bardzo bym tego chciał – rzekł Martin.  
– Mój samochód jest na plebanii... Rozejrzała się po pokoju.  
– Gdzie jest Alice?  
– Poszła z Charliem na spacer – wyjaśnił ostrożnie Martin. – Byłaby zadowolona, gdybym wyjechał na jakiś czas do Dummeridge.

Cecily parsknęła z wściekłością.

– Tego jestem pewna!

Twarz Martina natychmiast wykrzywiła się w bólu. Peter Morris podszedł do niego i wziął go za ramię.

– Oczywiście, że byłaby zadowolona. Chce, żeby poczuł pan się lepiej. Wszyscy tego chcemy.

– Bóg jeden wie, co Milligan dał mi zeszłej nocy – powiedział Martin. – Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie obuchem po głowie.

– Dotknął ręką twarzy. – Dzwoniłem do biura. Alice powiedziała...

Cecily objęła go ramieniem.

– Nie martw się o to. O nic się nie martw. My się wszystkim zajmujemy.

– Moja torba – przypomniał sobie. – Spakowałem torbę.

Peter poszedł jej poszukać. Na półpiętrze spotkał Gwen wkładającą brudne prześcieradła do poszewki na poduszkę.

– To jego matka?

– Tak.

Gwen uważała, że duchowni mają trzy obowiązki wobec wiernych: chrzcić ich, żenić i grzebać. Do reszty nie powinni się wtrącać.

– Przypuszczam, że to pan ją tu sprowadził?

– Szukam torby pana Jordana.

– Jeśli chciał się pan na coś przydać – stwierdziła Gwen, wpychając do poszewki prześcieradła z wizerunkiem Misia Paddingtona – trzeba było odprawić stąd Clodagh kilka tygodni

temu. – Ruchem głowy wskazała na otwarte drzwi.

– Tam znajdzie pan torbę pana Jordana.

– Gwen. Mam nadzieję, że tu zostaniesz. Przynajmniej do powrotu pana Jordana.

– To zależy – odpowiedziała – co będę musiała robić. Prawda?

– Nie przypominam sobie – zauważył ostro Peter – żebyś miała jakiegokolwiek obiekcje co do przyjaciółek majora Murraya-Frencha.

Gwen ściągnęła wypchaną poszewkę.

– To było co innego, no nie? To było normalne.

– Ruszyła w stronę schodów. – Jeśli zostanę, to tylko ze względu na dzieci. Dziećmi nie można przecież za to gardzić, prawda?

Alice, spacerując z Charliem nad rzeką, widziała, jak samochód Cecily jedzie główną drogą miasteczka, przejeżdża przez most i wspina się z łatwością na przeciwległe wzgórze. Dostrzegła dwie głowy w samochodzie. Kiedy zniknął, wsadziła Charliego do wózka razem z jego więdnącym bukietem jaskrów i zaczęła pchać go energicznie po ulicy, mówiąc do dziecka z ożywieniem. Wychodząca właśnie ze sklepu Cathy Fanshawe dostrzegła ją i podbiegła, by oznajmić zdyszczanym głosem, że na festynie zarobiono dziewięćset pięćdziesiąt jeden funtów. Nie do wiary, prawda? Alice powiedziała, że to wspaniale. Cathy podziękowała jej wylewnie za zorganizowanie stoiska z różnaitościami i pobiegła w stronę samochodu. Już wkrótce Cathy Fanshawe będzie wiedziała, dlaczego matka zabrała Martina z Pitcombe.

W kuchni Clodagh smażyła parówkę na lunch dla Charliego. Gwen ostentacyjnie poszła do domu. Clodagh również poczekała, aż samochód Cecily ruszy spod plebanii. Nie miała nic do roboty przez cały ranek prócz czekania. Miała zamiar porozmawiać z matką, ale Margot pojechała wcześniej do Londynu do dentysty i na lunch w klubie Pod Papugą. Będzie musiała porozmawiać z nią dziś wieczorem, w przeciwnym razie Margot usłyszy w miasteczku zniekształconą wersję wypadków. Clodagh chciała również, żeby matka wiedziała, że wkrótce wyjeżdża do Windover

i zabiera ze sobą Alice i dzieci. Nie mówiła jeszcze Alice o swoim planie. Czekala, aż będą same.

Alice weszła i posadziła Charliego w jego wysokim krzeselku, podeszła do Clodagh i objęła ją. Żadna z nich nie odezwała się słowem. Charlie, chcąc się czymś zająć, dosięgnął kabla od telefonu i pociągnął go. Słuchawka upadła z łoskotem i Alice musiała przyjść na ratunek.

– Okropny chłopiec. Twarzyczka Charliego rozpromieniła się.

– Jestem tchórzem – powiedziała Alice. – Nie byłam w stanie spojrzeć Cecily w oczy.

– Tutaj jest sporo tchórzy – zauważyła Clodagh, przewracając parówkę na drugą stronę – ty nie jesteś jedynym.

Przełożyła parówkę na miseczkę Charliego obok pokrojonego pomidora. Zniosła małemu jedzenie i podzieliła na małe kawałeczki.

– Nie – powiedział Charlie.

– Nic innego nie dostaniesz.

Chłopczyk zaczął rozgrzebywać łyżką jedzenie. Clodagh położyła rękę na ramieniu Alice.

– Kanapkę?

– Nie, dzięki. Nic nie chcę. Nie jestem głodna.

– Alice – powiedziała Clodagh. – To nie jest odpowiednia chwila na smutek. Właśnie zaczyna się nam coś udawać.

– To nie smutek. To po prostu brak snu i mnóstwo rzeczy do przemyślenia. I tak muszę już iść. Pomagam dziś w sklepie.

Clodagh otworzyła drzwi.

– Będę tu, kiedy wrócisz. Wszyscy będziemy. Będziemy na ciebie czekać.

Stały i patrzyły na siebie. Alice pocałowała przyjaciółkę i poszła przez ogród w stronę podjazdu.

Furgonetka z napisem „Sklep Społeczny” znajdowała się jak zwykle na podwórzu za pocztą. Również jak co poniedziałek pan Finch stał na aluminiowych stopniach i mył szyby trzymając plastikowe wiadro w jednej ręce, a gąbkę w drugiej. Tylne drzwi furgonetki były otwarte i co nie było już codziennym widokiem,

pani Finch ubrana w kwiecistą bluzkę z falbankami ustawiała w środku towary na półkach. Pani Finch była dumna z tego, że nie pracowała fizycznie w sklepie, choć skrupulatnie pilnowała ksiąg rachunkowych. Kiedy zaś zdarzyło jej się zajmować sprzedażą i kiedy klient prosił na przykład o ziemniaki, wkładała gumowe rękawiczki. Swoimi uwagami i pełnymi dezaprobaty uśmiechami dawała jednocześnie do zrozumienia, jak bardzo jest nieprzyzwyczajona do takiego aspektu świata handlu, jak to nazywała.

Alice weszła po stopniach do furgonetki.

– Dzień dobry, pani Finch. Nie ma Michelle?

Pani Finch zatrzymała się, trzymając w ręku dwie butelki octu winnego.

– Nie, pani Jordan. Nie ma Michelle.

– Jest chora? Jeszcze w sobotę czuła się zupełnie dobrze.

– Jest zdrowa. Obsługuje dziś w sklepie.

– Rozumiem – stwierdziła Alice, choć nic z tego nie rozumiała.

– No cóż, pomogę pani. Wiem, jak pani nie lubi tego robić.

– Pani Jordan – powiedziała pani Finch, ściskając mocniej butelki. – Nie jestem osobą, która boi się mówić to, co myśli.

Wzięła głęboki oddech. Od czasu zdumiewającej wizyty Gwen w sklepie niedługo po dwunastej, powtarzała sobie ten tekst kilka razy. Postawiła butelki na wyznaczonym miejscu i odwróciła się w stronę Alice, trzymając dłonie złożone na swej obszernej plisowanej spódnicy.

– Pani Jordan, jestem pewna, że pani mnie źle nie zrozumie. Jestem również przekonana, że zrozumie pani, dlaczego mówię to pani ja, a nie mój mąż. Michelle nie pojedzie dziś z panią w furgonetce, ponieważ jej matka o to prosiła.

Alice zaczęła się śmiać.

– Ależ to idiotyczne... Pani Finch przyglądała jej się.

– Trochę już w życiu przeżyłam, pani Jordan. Mało jest rzeczy, których nie widziałam. Nie mnie je osądzać. Ale powiem pani, że takich osób jak ja, które nie sądzą innych, jest bardzo mało. Niezwykle mało.

– Nie zostaniesz tu ani minuty dłużej – powiedział sir Ralph uderzając pięścią w otwartą dłoń. – Nie zostaniesz. Wyjedziesz z Pitcombe.

Jego twarz była purpurowa. Margot i Lettice Deverel, której przerwano spokojną kolację z papugą wzywając ją do Parku, usiłowały wtrącić słowo, ale sir Ralph ruchem ręki nakazał im milczenie.

– Zaufałem ci całkowicie. Całkowicie. A ty zdradziłaś mnie i odrzuciłaś zasady moralne, w jakich cię wychowano...

– Ralph – zawołała Margot. – Ralph. Nie przesadzaj. To nic nie pomoże. Clodagh to wciąż Clodagh.

– Ze wszystkich ludzi – powiedział sir Ralph. – Ze wszystkich drogich mi ludzi.

Clodagh siedziała wyprostowana na małej sofie w bibliotece ojca. Poszła porozmawiać z matką tuż po powrocie Margot z Londynu około siódmej, a teraz było już po dziesiątej. Pani Shadwell jak zwykle zostawiła w kuchni zimną kolację, ale nikt jej nawet nie tknął. Kiedy Clodagh zaczęła mówić, okazało się, że ma rodzicom o wiele więcej do powiedzenia, niż myślała, szczególnie że niektóre rzeczy musiała powtarzać, a inne wyjaśniać. Jej życie intymne, które uważała za coś nietykalnego, nie wydawało się już takie; jej niezależność była na jej własnych oczach niszczone przez gwałtowną rozpacz i odrazę. Margot bez względu na to, co wtedy czuła, nie powiedziała jej ani jednego złego słowa. Ojciec dał jasno do zrozumienia, że preferencje seksualne córki oburzają go i oszałamiają. Czuł się osobiście obrażony, że przyjechała zaspokajać je właśnie do Pitcombe. Clodagh próbowała wytłumaczyć mu, że tu chodzi o miłość i właśnie jego reakcja na te słowa kazała matce zadzwonić po Lettice Deverel.

Sir Ralph zawsze darzył Lettice sympatią. Prywatnie podziwiał

jej umysł i silną osobowość, a publicznie nazywał ją czule „naszą starą, wesołą cygańską duszą”. Kiedy Lettice weszła do pokoju, wciąż ubrana w swe ogrodniczki, żałośnie wyciągnął do niej rękę i zapytał:

– Co my teraz zrobimy? Och, moja droga, co się z nami stanie?

Lettice wzięła jego dłonie w swoje i ucałowała go. Potem podeszła do Clodagh i ją też pocałowała.

– Nie możemy tracić głowy – powiedziała.

– Ty nie rozumiesz...

– Rozumiem, drogi Ralphie. Rozumiem was wszystkich.

Wtedy był jeszcze dość spokojny i kiedy Lettice rozmawiała z nim, Clodagh siedziała z opuszczoną głową i myśląc o Alice, próbowała opanować rosnącą wściekłość. Postanowiła, że nie da powiedzieć na przyjaciółkę złego słowa. Ale potem ojciec, nie mogąc się powstrzymać, krzyknął, że to na pewno wszystko wina Alice i Clodagh zaczęła wrzeszczeć na niego z wściekłością. Wtedy właśnie powiedział jej, że musi wyjechać z Pitcombe w przeciągu godziny. To wszystko było takie melodramatyczne, takie brutalne, głupie, ale ludzkie i co najważniejsze, działało się naprawdę.

– Nie ma końca tym okropnościom – rzekł sir Ralph. – Wszystko piorunem rozejdzie się po miasteczku i po hrabstwie. Dobrze od tylu stuleci imię...

– Ralph – powiedziała ostrzegawczo Lettice.

– Ale kiedy tak właśnie będzie – upierał się.

– To będzie krótkotrwała sensacja. A ty myślisz, że co się dzieje w wielu z twoich domów? Jeśli chodzi o sprawy intymne – stwierdziła Lettice kładąc dłonie na kolanach – twoi dzierżawcy mają nieskończenie więcej doświadczenia niż ty.

Spojrzał na nią wściekły.

– Jak śmiesz. Niewiele się tym przejęła.

– To nie będzie długo trwało. Jeszcze krócej, jeśli Clodagh szybko stąd wyjedzie. Margot cicho jęknęła.

– Obie wyjeżdżamy – odezwała się Clodagh. – Alice i ja. Będziemy razem.



– Mam nadzieję, że nie.

– Przecież Alice ma dzieci – powiedziała Margot.

– One też z nami jadą.

– Mam nadzieję, że nie – powtórzyła Lettice. Spojrzała na Clodagh. – Nie tak powinna wyglądać przyszłość. To w ogóle nie ma żadnej przyszłości. Powinnaś w tej chwili po raz pierwszy w życiu zastanowić się nad kilkoma sprawami. Nic by ci się nie stało... – przerwała. – Nic by ci się nie stało, gdybyś nauczyła się być sama.

Clodagh odwróciła głowę.

– To, że cię rozpieszczano – ciągnęła Lettice – nie znaczy, że dalej możesz sobie bezkarnie folgować.

Clodagh zacisnęła zęby.

– Myślę tylko o Alice.

– Czyżby? I pewnie też o jej dzieciach. Jakże one będą żyły, biorąc pod uwagę ich wychowanie, jeśli zabierzecie je do Dorset i będziecie oczekiwały, że lokalna społeczność zaakceptuje was jak normalną parę? Ludzie na prowincji tego nie potrafią. Może w mieście by się wam udało, ale w to też wątpię. Uważam, że w mieście ludzie są równie obłudni. A co takiego zrobił Martin poza tym, że jest mężczyzną? Może to i nudny człowiek, nieciekawym, z zahamowaniami, ale nie żadne bydlę. Po prostu człowiek. Potrafiłabyś żyć z tą myślą? Cały świat stracony z powodu miłości, tak? – Lettice pochyliła się do przodu i ciągnęła dalej: – Gdyby Alice była wolną kobietą, powiedziałabym, a jedźcie sobie, gdzie chcecie, i powodzenia. Cicho bądź, Ralph. Ale ona nie jest wolna, więc nie mogę tego powiedzieć.

Clodagh czuła teraz nie tylko złość, ale i strach. Choć bardzo się starała, nie mogła oszukiwać samej siebie, że Lettice jest nudną, przestrzegającą konwenansów starą purytanką o konserwatywnych poglądach i jeśli to Lettice powiedziała, że nie mogą być razem z powodu dzieci...

Podniosła głowę. Bzdura. Oczywiście, że mogą. Walka będzie po prostu bardziej zacięta. Powiedziała to na głos.

– I nigdy nie będę mógł wziąć twych dzieci na kolana –

odezwał się sir Ralph, ignorując jej ostatnią uwagę.

Margot, wzburzona, nie mogła zmusić się do spojrzenia na Lettice.

– Jeśli tylko to cię martwi – powiedziała brutalnie Clodagh – z łatwością mogę w t y m celu znieść mężczyznę...

Sir Ralph krzyknął. Margot wstała z krzesła, podeszła do Clodagh i uderzyła ją po ręce.

– Jak ty się zachowujesz!

– Do łóżka – powiedziała Lettice wstając.

– No cóż, dosyc tego...

Clodagh również podniosła się i podeszła szybko do drzwi. Były ogromne, całe w drewnie i pomalowane na białe. Zanim je otworzyła, spojrzała na matkę znajomym wzrokiem dwunastoletniej dziewczynki, której dziecięce psoty zmieniły się już w krnąbrny wiek dojrzewania.

– Nie zaczniesz chyba – powiedziała Lettice obserwując Margot – zastanawiać się teraz, gdzie popełniłaś błąd.

Clodagh weszła na górę nie zapalając światła. Panował tu błękitny półmrok, ale nie było ciemno. Na półpiętrze ogromne porcelanowe słoje na imbir, przywiezione w osiemnastym wieku przez lubiącego przygody Unwina, błyszcząły jak wielkobrzucho pogańskie bożki. Było ich osiem na palisandrowych podstawach, a Clodagh będąc dzieckiem nadała każdemu z nich imię. Teraz przeszła koło nich, jakby były jej zupełnie obce. Minęła osiemnastowieczną sofę, na której co roku w swe urodziny pozowała do zdjęcia, naiwnie realistyczny obraz przedstawiający świnię, za który zawsze groziła Georginie, że ją zabije (i siostra częściowo w to wierzyła), i ikonę przedstawiającą świętego Mikołaja, który, jak kiedyś wierzyła, potrafił czytać w jej myślach. Przeszła też obok gabloty z wachlarzami i kredensu z tabakierkami, minęła drzwi sypialni matki. Z podestu wyściełanego pluszowym dywanem skręciła w korytarz wiodący do jej własnej sypialni, której południowe okna wychodziły na las buków. Tych samych, które skrywały teraz Alice przed jej wzrokiem. Uklękła na siedzeniu pod oknem i popatrzyła

wyświetlonym wzrokiem na drzewa. Tam była Alice. Alice, która jej potrzebowała. Alice, którą ona uratowała. Odkrycie, że przyjaciółka tak naprawdę nie wierzy w siebie, było najradośniejszym wydarzeniem w życiu Clodagh. Kiedy stało się to dla niej jasne, kiedy zobaczyła, że mimo swej inności, mimo swego stylu, Alice czuje się bardzo niepewnie, że wątpi w wartość tego, kim jest, próbując sprostać wymogom życia na prowincji – wtedy ogarnęło ją prawdziwe upojenie. Oto ona, Clodagh, mogła machnąć magiczną różdżką. Mogła uczynić dla Alice to, czego ona sama nie była w stanie dla siebie zrobić.

I udało jej się. Alice zmieniła się, ale zmieniła się też ona sama. Przyłożyła policzek do gładkiego drewna okiennic. Potrzebowała Alice. Nie miała takiego zamiaru; ponieważ nigdy na nikim jej nie zależało, a jedynie chciała mieć kogoś na krótko, nie przyszło jej do głowy, że taka potrzeba może się kiedyś w niej narodzić. Na myśl, że może stracić Alice, chciało jej się krzyczeć i rozbijać przedmioty. Nikt nie powinien zmuszać jej do znoszenia takiego bólu. Alice należała do niej. Będzie się o nią starała po raz drugi. Namówiła Alice, by była jej, teraz namówi, żeby była jej już na zawsze, żeby z nią wyjechała.

Pochyliła się do przodu, tak że czołem opierała się o szybę. Była już prawie noc. Gdyby stanęła teraz przed świętym Mikołajem z ikony, mogłaby patrzeć bez drżenia na jego krnąbrną bizantyjską twarz. Uczyniła dobrą rzecz. W ciągu dwudziestu pięciu lat swego życia nie zawsze postępowała słusznie, ale teraz była przekonana, że kroczy po właściwej drodze. Dała szczęście kobiecie nieszczęśliwej i ogarnęło ono również jej dzieci, przyjaciół, całe miasteczko. Jeśli chodzi o Martina – no cóż, rzeczywiście był jakąś ofiarą, wartą jednakże wszystkich korzyści. Clodagh zastanowiła się przez chwilę nad nim, drobiazgiem w stosunku do całości. Martin przecież, świadomie bądź nieświadomie, wyrządził żonie krzywdę. I to właśnie Clodagh uzdrowiła Alice.

Podeszła do łóżka i zapaliła nocną lampkę. Kosmata ćma o czarnych skrzydełkach natychmiast zaczęła objać się

bezsensownie pod kloszem. Clodagh przyglądała się jej. Potem włożyła dłonie w snop światła i zaczęła na nie patrzeć. Na serdecznym palcu nosiła srebrną obrączkę, którą dała jej Alice. Ona również podarowała przyjaciółce obrączkę cieniutką jak nitka i Alice wsunęła ją pod pierścionek, który dostała od Martina. Nie odezwały się słowem podczas tej małej ceremonii. Siedziały po prostu pewnego popołudnia naprzeciwko siebie przy stole, trzymając się za ręce. Na podłodze Charlie uderzał drewnianą łyżką o dno plastikowego kubka i coś do niego mówił. I tak było między nimi zawsze, naturalnie i bez zbędnych sentymentów. Tak prawdziwie. I tak będzie już zawsze.

– Przykro mi – powiedziała Alice – ale chyba nie bardzo rozumiem. Może wejdzie pani do środka?

Rosie Barton powiedziała, że z przyjemnością. Podążyła za Alice przez hol do kuchni i ta, nawet odwrócona, niemalże czuła jej entuzjazm.

– Kawy? – zapytała.

– Z przyjemnością. Co za ranek!

Rosie usiadła przy stole, na którym wciąż stały talerze ze śniadania, oparła się na założonych ramionach i zapytała z ogromną troską w głosie:

– I jak się pani czuje?

Alice odwrócona była do niej plecami stawiając na piecu czajnik.

– W porządku, dziękuję – odpowiedziała.

– Alice... – zaczęła Rosie.

Alice odwróciła się do niej. Rosie nie uśmiechała się, ale cała jej twarz i postawa wyrażały sympatię.

– Niech pani posłucha – Rosie rozłożyła ręce na stole. – Ja wiem, że się zbyt dobrze nie znamy, ale mam nadzieję, że szybko to naprawimy. – Uśmiechnęła się. – Bardzo bym tego chciała. Bardzo byśmy tego chcieli. Alice, przyszedłam zaofiarować pani nasze poparcie, moje i Gerry'ego. Może być go pani całkowicie pewna.

Alice mocno złapała uchwyt piekarnika. Boże, dlaczego nie

było tu Clodagh? Ale Clodagh odwoziła dziś dzieci do szkoły. Powiedziała, że będzie musiała być bardziej niż Alice bezczelna w stosunku do Sary Alleyne.

– Obawiam się – powiedziała Rosie Barton miłym głosem – że takie miejsce jak Pitcombe ma raczej archaiczne nastawienie do pewnych spraw. Nie da się tego zmienić od razu, ale mogę pani obiecać, że się nie poddamy. Martwiliśmy się z Gerrym, że czuje się pani trochę odizolowana. Wydaje nam się, że świadomość, iż nie jest się samemu, bardzo pomaga.

Alice podeszła do kredensu i wyjęła dwa kubki. Potem wsypała kawę do zaparzarki, zalała ją gorącą wodą i razem z kubkami postawiła na stole pomiędzy pudełkami płatków śniadaniowych i słoików z dżemem.

– Nic pani nie musi mówić – stwierdziła Rosie. – Wyobrażam sobie, jak się pani teraz czuje.

Najłagodniej jak potrafiła, Alice powiedziała, że chyba jednak nie. Rosie nie zwróciła na to uwagi i zaczęła opowiadać o wszystkich przyjaciółach homoseksualistach, których mieli, i to od dawna; mówiła o tym, jak bardzo ich cenią i jakimi cudownymi są ludźmi. Jeden z nich jest nawet ojcem chrzestnym ich najmłodszego dziecka. To wspaniały człowiek i utrzymują z nim stosunki od lat.

– Oboje z Gerrym uważamy to za zupełnie naturalne. Alice bardzo wolno wcisnęła tłok zaparzarki.

– I tu się pani myli. To nie jest naturalne, ale swoją siłą przypomina związki naturalne. Dla niektórych ludzi związek homoseksualny jest o wiele silniejszy i lepszy od związku naturalnego.

– Właśnie – przytaknęła Rosie Barton. Alice naląła kawy.

– To miłe, że chcą państwo nam pomóc, ale nie sądzę, żeby było to możliwe. My chyba nie chcemy pomocy.

– Ale ludzie w miasteczku...

– Wiem – ucięła Alice. Musiała jeszcze stawić czoło klientom w sklepie, a dziś Gwen powiedziała jej, że nie będzie przychodziła do Grey House, jeśli Alice i Clodagh będą w nim razem. Alice

roześmiała się z tej niedorzeczności, co bardzo Gwen rozgniewało. Wtedy Alice dostrzegła, że kobieta ma oczy pełne łez, zmuszona wybierać pomiędzy przesądem a przywiązaniem. Zrobiło jej się przykro i przeprosiła ją.

– Obawiam się – rzekła Rosie, wsypując cukier do kawy – że ludzie mówią.

– Oczywiście, że mówią. Ale to nie będzie trwało długo. Rosie wyglądała na rozczarowaną, ale rzekła dzielnie:

– No cóż, podziwiam pani wspaniałą odwagę.

– Nie jest wspaniała. To raczej rodzaj akceptacji pewnego faktu.

– A pani mąż? Alice spojrzała na nią.

– To naprawdę nie pani sprawa.

– Strasznie mi przykro, chciałam tylko pomóc.

– Już pani mówiłam – powiedziała Alice – że nie może pani, a ja pani pomocy nie chcę.

Rosie wstała.

– Alice, wiem, że jest pani zdenerwowana. Któż nie byłby w takiej sytuacji? Źle, że przyszłam za wcześnie. Ale muszę pani jedno powiedzieć. Mam doświadczenie w prowadzeniu kampanii. Duże doświadczenie. Nie da się organizować ich w pojedynkę, to po prostu nie jest możliwe. Tak więc za tydzień lub dwa, proszę pamiętać, że my czekamy. Jeśli jest cokolwiek, co moglibyśmy zrobić, cokolwiek...

– Ja nie jestem kampanią – przerwała jej Alice. – My nie jesteśmy kampanią. I nigdy nie będziemy. Jesteśmy ludźmi.

– Tak, oczywiście.

Rosie zaczęła iść w stronę kuchennych drzwi. W myśli formułowała już na temat Alice pełne wyrozumiałości teorie, którymi podzieli się z Gerrym. To była oczywiście wina miasteczka. Jawna nietolerancja i głupota mieszkańców wystarczały, by każdego nastawić wrogo. W drzwiach uśmiechnęła się i pomachała ręką.

– Zawsze na panią czekamy. Proszę nie zapomnieć.

– Niech nawet całe miasteczko żąda mojej głowy – Alice

opowiadała później Clodagh – całe hrabstwo, jeśli chcesz.

Cokolwiek, cokolwiek, bylebym nie musiała mieć już więcej do czynienia ze współczuciem i zrozumieniem Rosie Barton. Zaczęła udawać, że wymiotuje. Jedzące właśnie podwieczorek dzieci były tym zachwycone i przyłączyły się entuzjastycznie do matki.

Panna Payne tak bardzo lubiła Alice. Układanie z nią kwiatów w kościele było prawdziwą przyjemnością po wszystkich tych latach spędzonych z Cathy Fanshawe i jej zamiłowaniem do sztucznych kwiatów. Przecież w ogrodzie było tyle cudownych prawdziwych kwiatów, nawet jeśli nie trzymały się długo i zaczynały tracić płatki już po trzech dniach. Kiedy panna Payne usłyszała o Alice i Clodagh, tak się zdenerwowała, że musiała po siedmiomiesięcznej przerwie zażyć znów proszki na serce. Oczywiście nie miała zamiaru rozmawiać o tym z ludźmi, ale chodziła po miasteczku wyglądając zupełnie jak niezamężna ciotka z karykatury Gilesa, ta o wiecznie zgorszonej minie. Lecz Buntie Payne była raczej przygnębiona niż zgorszona. Za każdym razem gdy zastanawiała się nad Alice – bo choć próbowała, nie mogła przestać o niej myśleć – przypominała sobie jej małe dzieci i wszystko, co Alice i Martin zrobili razem w domu. Myślała o tym, jaka Alice była dla niej słodka, gdy Buntie rozbiła doniczkę ostróżek; myślała też o życiu w miasteczku. To sprawiało, że zaczynała płakać, wkładała więc białą tabletkę pod język i zmuszała się do siedzenia bez ruchu.

Lecz kiedy tak tkwiła, miała jeszcze więcej czasu na rozmyślanie. Myślała więc o miłości, która w dziewiczym stanie była o wiele bardziej interesująca i prawdziwa niż seks. Właściwie nigdy nie kochała żadnego mężczyzny poza członkami rodziny, ale za to na pewno kochała – i nadal kocha – kobiety. Czując, jak tabletkę rozpuszcza się jej pod językiem, zastanawiała się, co też zrobiłaby bez swojej siostry Marjorie, nawet jeśli ta mieszkała w Taunton, i bez Phyllis, przyjaciółki z King's Harcourt, którą widywała przynajmniej dwa razy w tygodniu. Porozmawiała trochę na ten temat z Lettice Deverel, którą spotkała na polnej drodze na tyłach domów. Lettice powiedziała wtedy:

– To jedno z przekleństw naszego wieku. Seks zastąpił przyjaźń.

Buntie zapytała, czy ma na myśli lata sześćdziesiąte i społeczeństwo permissywne\* [Społeczeństwo permissywne – termin dotyczący przemian społecznych w Wielkiej Brytanii od 1967, w tym – żądania wolności seksualnej, praw dla homoseksualistów, zniesienia cenzury obyczajowej itd. (przyp. red. )]. Lettice odpowiedziała, że częściowo tak, ale rozkład zaczął się o wiele wcześniej, razem z Grupą Bloomsbury\* [Bloomsbury Group – grupa pisarzy i intelektualistów (inspirowana na pocz. XX w. przez Virginie Woolf) – awangardowa, politycznie lewicująca, propagowała m. in. odwagę przekonań, potępiała przesady i uprzedzenia; wyraz buntu przeciwko mieszczańskiej ciasnocie poglądów i nietolerancji wobec odmiennych postaw (przyp. red.).]

– W momencie gdy intelektualiści zaczynają teoretyzować na temat pobłażania samym sobie – mówiła – społeczeństwo jest jak statek bez sternika. Teraz wstrzeźliwość uważana jest za burżuazyjny wymysł.

Buntie nie rozumiała za bardzo, o czym mowa, ale oszołomiona i przepełniona nagłym współczuciem dla Alice, wykrzyknęła:

– Nie wolno im być okrutnymi dla Alice!

Lettice odpowiedziała, że nie da się ich powstrzymać. Jedyne co można zrobić, to nie przyłączać się do nich.

– Skoro obłuda jest w tym kraju narodową rozrywką... Tego nie trzeba było Buntie mówić. Sama słyszała, jak Sally Mott i Janet Crudwell wymieniały w sklepie uwagi na temat Alice, dzień po tym jak najstarsze córki Janet zostały przyprowadzone do domu przez policję wojskową z obozu w Larkhill o trzeciej nad ranem. Buntie ogarnęło wzburzenie i kiedy Sally z Janet wyszły ze sklepu, a ona sama podawała panu Finchowi torebkę cebuli, usłyszała swój własny głos:

– Więc? Głód miłości czy żądza pieniędzy. Co by pan wybrał?

Lecz pan Finch, którego wyobraźnia została ostatnio tak nadwyreżona, że nie był w stanie przywołać w pamięci żadnego



fragmentu poezji ani zdobyć się na jakąkolwiek opinię, wytrzeszczył po prostu na nią oczy i zapytał:

– Słucham?

– To straszne z mojej strony – powiedziała Juliet Dunne do męża, zakrywając dłońmi twarz – ale cała ta sprawa przyprawia mnie po prostu o mdłości.

Henry z ogromną precyzją wycinał filety z łososia.

– Ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać...

– Wiem, kochanie, ale ty nigdy nie chcesz rozmawiać o rzeczach, które choćby w niewielkim stopniu dotyczą spraw osobistych. Nie mogę sobie właściwie przypomnieć, jak dałeś mi do zrozumienia, że chcesz się ze mną ożenić. Czy ułożyłeś dla mnie ankietę?

Henry w milczeniu smarował chleb masłem.

– Chodzi o to, że muszę z tobą rozmawiać, ponieważ chcę zrzucić z siebie cały ten ciężar, a ty jesteś moim jedynym słuchaczem. Proszę cię, przestań chrząścić.

Henry odłożył tost z miną męczennika.

– Jak możesz w ogóle jeść? Spojrzał na swój zakazany tost.

– Z ogromną trudnością.

– Henry – powiedziała Juliet i rozplakała się znowu. Płakała przez większą część poprzedniego wieczoru i nocy.

Nie chodziło o to, że Henry'emu nie było jej żal. Współczuł jej, ale sam miał w tym okresie duże kłopoty ze swoimi uczuciami i dopóki się z nimi nie upora, nie będzie w stanie poświęcić Juliet wiele uwagi.

– Nie robi ci się niedobrze?

Henry'emu udało się ukradkiem zwędzić kawałek łososia. Odczuwał niesmak, mniejszy co prawda niż gdyby Alice i Clodagh były mężczyznami, ale jednak cała ta afery budziła w nim wstręt. Był też zakłopotany, ogromnie zakłopotany. I w jakiś sposób zawiedziony, prawie zdradzony, na Boga, prawie że poniżony.

Juliet wytarła nos.

– Wiem, że to z mojej strony niewiarygodnie staroświeckie, ale

taka jest prawda. Cała ta sprawa wywraca wszystko do góry nogami. Sprawia, że sposób, w jaki zostaliśmy wychowani, wydaje się jedną wielką niedorzecznością. Nie mogę tego znieść. Czuję się chora i zagubiona.

Henry podniósł tost jedną ręką, a drugą poklepał Juliet po ramieniu.

– Znam Clodagh przez całe życie – mówiła Juliet. – Nie mogę w to uwierzyć. Całe życie i przez cały ten czas ona taka była. I Alice. Ja kochałam Alice. Przy nikim innym nie mogłam sobie tak ponarzekać jak przy niej...

– Ona nie umarła – zauważył Henry.

– Jak może cokolwiek – powiedziała Juliet idąc po maszynkę do kawy – być takie samo jak kiedyś?

– Nie takie sam o...

– Traci się zaufanie – powiedziała Juliet. – A kiedy go nie ma, to już koniec. Dlatego właśnie nie mogłabym w żadnym razie być z tobą, gdybyś sypiał z kimś innym. Nie byłabym w stanie nigdy ci już zaufać, więc nie mielibyśmy na czym budować naszego związku.

Henry spojrzał na swój talerz i pomyślał o Alice, o tym, co do niej czuł. A tu w dodatku Juliet zachowuje się tak, jakby Alice osobiście ją oszukała i w ten sposób zniszczyła niezbędne w przyjaźni zaufanie.

– Alice jest twoją przyjaciółką – powiedział Henry – nie mężem.

Juliet zaczęła nalewać kawę trzęsącą się ręką, drugą wycierając chusteczką nos.

– Była dla mnie kimś wyjątkowym. – Przestała napełniać kubki. – Nienawidzę Clodagh. Nienawidzę jej.

– Nie powinnaś tak mówić.

– Ale kiedy tak jest. Henry odsunął talerz.

– To nic Alice nie pomoże.

– Ona n i e chce pomocy.

– Skąd wiesz?

– Rosie Barton poszła ją odwiedzić i Alice rozprawiła się z nią

raczej krótko.

– A czy kiedykolwiek ty sama zgadzałaś się na jakiś temat z Rosie Barton?

Juliet skryła twarz za kubkiem.

– Henry. Prawda jest taka, że ja nie wiem, co mam Alice powiedzieć, ponieważ nie wiem, co czuję...

– Dlaczego po prostu nie zadzwonisz i nie powiesz, że wciąż jesteście przyjaciółkami?

– Jesteśmy? – krzyknęła Juliet. – Jesteśmy? Czy możemy się przyjaźnić po tym wszystkim?

Henry wstał i zaczął cicho pobrzękiwać pieniędzmi w kieszeniach spodni.

– Mam zamiar odwiedzić Martina – powiedział. Juliet spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Co mu powiesz?

– Nie wiem. Prawdopodobnie nic lub bardzo niewiele.

– Biedny Martin.

– Tak.

Podszedł do Juliet, a ona oparła się zmęczona o niego.

– Zachowujesz się o wiele lepiej niż ja – stwierdziła. – Prawda? Objął ją i nachylił się, by pocałować czubek jej głowy.

– Nie – powiedział.

Poza Henrym Martina odwiedziło kilka osób z Pitcombe. Przyjechał sir Ralph Unwin, John Murray-French i Peter Morris. Jedynie sir Ralph mówił o Alice i Clodagh wprost, ale Martin domyślał się, że wynikało to bardziej z tego, iż Unwina dosłownie rozpieęły własne uczucia, niż z chęci szczerzej rozmowy. Martin był wstrząśnięty, ale nie potępiał sir Ralpha za tę otwartość bardziej niż Henry'ego, Johna czy Petera za jej brak. Podczas ich odwiedzin sam był bardzo opanowany. Dopiero kiedy sobie poszli, a Cecily była w ogrodzie czy też w swoim gabinecie, poddał się trawiącej go, niemej wściekłości. W nocy przybierała ona formę odrażających snów pełnych przemocy, brutalności i zabijania. Pojawiali się w nich ludzie, o których nie myślał od lat, jak na przykład starszy uczeń ze szkoły, który mówił mu, jakim

ładnym jest chłopcem, i który później – ponieważ Martin ze strachu nie zgadzał się robić tego, co tamten chciał – urządził mu cudownie subtelny pokaz znęcania się.

Wściekłość była najbardziej wyczerpującym uczuciem, jakiego Martin kiedykolwiek doznał. Żywiła się każdym, wszystkim i nie dawała się ujarzmić rozumowi. Gotowała się w nim jak jakaś wrząca ciecz, kipiel zła, a gdy panował nad nią lub dawał jej upust spacerując z psami po nadmorskich skałach, nie przynosiło mu to wcale ulgi. Czasami wydawało mu się, że wybuchnie, i często o tym marzył, uwięziony w tym wrzącym kotle. Cecily mówiła wtedy ze smutkiem, że nie powinien dusić tego w sobie. Gdyby tylko wiedziała! Podejrzewał, że gdyby stracił całkowitą kontrolę nad sobą, umarłby, a przez większość dni tego właśnie pragnął. Oczyma wyobraźni widział chłodną, spokojną, mroczną otchłań, ponieważ gdy zaczął myśleć o niebie, odkrył, że nie chce wierzyć w jego istnienie. Nie mógł znieść myśli o dalszej egzystencji. Nicość, w której – jak sądził – nie istnieje cierpienie, była w tej chwili stanem najbardziej pożądanym.

Jedyne pocieszenie przyszło z najmniej spodziewanej strony – od ojca. Kiedy Richard przyjechał do domu z Australii, Martin zauważył ku swemu zdziwieniu, że ojciec dostrzegł jego wściekłość. Richard krzątał się koło niego o wiele mniej niż Cecily, ale okazał się jednocześnie bardziej wrażliwy. Sprawił, że Martin czuł się nie zrozpaczonym dzieckiem, ale równym mu mężczyzną. Usłyszał kiedyś, jak ojciec mówi gniewnie do Cecily:

– Na miłość boską, pozwól mu zachować choć trochę godności!

Nie słyszał słów matki. Był pewien, że coś mówiła, bo nigdy nie pozostawiała oskarżeń bez odpowiedzi, zawsze musiała się bronić. Wyglądała teraz na starą zmęczoną kobietę. Zresztą tak jak i on sam, myślał Martin oglądając się rano w lusterku. Starał się patrzeć na siebie tylko podczas golenia, ponieważ widok własnej twarzy sprawiał, że zaczynał rozpaczliwie tęsknić do dzieci, w szczególności zaś do Charliego, jego niemowlęcej naturalności i pogody ducha. A nie mógł wspominać dzieci, ponieważ myśli te prowadziły do Alice, do niego i Alice, do mężczyzny i kobiety, a

stamtąd ich nurt biegł prostą drogą do jaskini bólu i wściekłości.

Z powodu Martina Richard odwołał podróż do Australii. Powiedział synowi, że w zamian rozbiorą we dwóch kamienny składzik, w którym trzymano kiedyś prymitywny hydrofor, i wykorzystają kamienie do naprawy muru w jednym końcu słynnego warzywnika. Na polach ciągnących się wzdłuż lasu w stronę morza zaczęli obaj wczesne żniwa. Ogromny kombajn, jak wielki statek, sunął spokojnie po złotych zboczach wzgórza, zostawiając za sobą nagą ziemię i ogromne snopki zboża. W południe robili sobie godzinę przerwy i jakiś odważny zajęć przeskakiwał zawsze pospiesznie przez pole, znikając w leśnej kryjówce. Powietrze przesycone było zapachem rozgrzanej gleby i kurzu, bo słońce, choć rzadko się pojawiało, przesunęło się uwięzione za grubą zasłoną chmur utrzymującą ziemię w spokoju i ciepłe. Martin i Richard pracowali zazwyczaj w milczeniu.

– Już zapomniałem, jak świetnie sobie radzisz przy tego typu pracach – zauważył Martin.

A Richard, obracając w dłoniach kamień, powiedział:

– Ja też o tym zapomniałem. Czasami wydaje mi się, że mam całkiem sporo talentów, których nigdy nie wykorzystałem. Zazwyczaj z własnej winy.

Kiedy mur został naprawiony, Martin oświadczył, że chciałby wrócić do pracy. Cecily była wstrząśnięta i przez cały czas powtarzała, że to niemożliwe. Pytała, gdzie będzie mieszkał, kto będzie się nim opiekował, czy zamierza rozwieść się z Alice. Odpowiedział, że nie jest pewien co do rozwodu, tak naprawdę na nic się jeszcze nie zdecydował. Pragnął jedynie przestać czuć się nieużytecznym dziwologiem i wrócić do pracy. Zamieszka z Dunne'ami. Henry i Juliet zaprosili go na tak długo, na ile będzie chciał.

– Ale mnie już zupełnie nic nie zostanie – powiedziała gwałtownie Cecily do Richarda.

– Jestem jeszcze ja...

– Ty! Ty nikogo nie potrzebujesz. I nigdy nie potrzebowałeś.

– „ Mam dokładnie takie same potrzeby jak ty – stwierdził

Richard.

A potem wyszedł z pokoju i pchany jakimś instynktem poszedł na górę do dawnego pokoju zabaw na strychu. Znalazł tam płaczącego bez skrępowania, siedzącego ze szklanką whisky w ręku Martina, który sądził, że nikt go tu nie usłyszy.

Każdego prawie dnia jedno z dzieci pytało, kiedy Martin będzie na tyle zdrowy, by wrócić do domu. Zazwyczaj Alice odpowiadała, że wkrótce. Raz w tygodniu przyjeżdżała Juliet i zabierała dzieci w odwiedziny do ojca. W nocy po każdych takich odwiedzinach James zazwyczaj moczył łóżko. Były wakacje i trzeba było jakoś wypełnić czas. Alice sporządziła listę obowiązków i zgodnie z nią Natasha miała chodzić do sklepu. Dziewczynka bardzo to lubiła, ponieważ ludzie na ulicy zatrzymywali się, by z nią porozmawiać i zapytać, jak się dziś ma. Pani Finch wychodziła ze sklepu tylnymi drzwiami, dawała jej słodycze, a czasami całowała, pozostawiając ostry zapach perfum „EAimant” firmy Coty. Reszty dnia Natasha nie lubiła. W domu pozbawionym ojca panowała osobliwa atmosfera, a poza tym tęskniła za szkołą i za Sophie, którą rodzina zabrała na Korfu. Spędzała dużo czasu w sypialni, rysując garderobę dla Księżniczki Elegancji, a na drzwiach przykleiła ogromną kartkę z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Ostrzeżenie to znajdowało się na tyle nisko nad ziemią, by James nie miał kłopotu z jego odczytaniem. Poza rysowaniem sporo czasu zajmowało jej też malowanie paznokci u stóp szkarłatnym lakierem Clodagh.

Kiedy Cecily zadzwoniła i zaproponowała, że razem z Martinem i Dorothy zabiorą dzieci do Kornwalii – tak jak zawsze, dodała z naciskiem – Natasha była niezmiernie zdziwiona, że Alice zostaje. James cały we łzach powiedział, że bez matki nie pojedzie. Natasha zapytała, dlaczego nie mogą jechać wszyscy razem: Alice, Martin, Clodagh, wszyscy. Alice odpowiedziała, że trudno to wytłumaczyć, ale czuje się teraz wykończona, jak się to czasem zdarza dorosłym, i chce pobyć trochę sama.

– Więc Clodagh mogłaby z nami pojechać – powiedziała Natasha.

– No cóż...

– Clodagh nie jest zmęczona.

– Clodagh nie może jechać. Ma teraz coś bardzo ważnego do zrobienia.

– Poproszę ją, żeby z nami pojechała – zdecydowała dziewczynka. – Pokażemy jej skałę więdźm.

Oczy Jamesa zrobiły się ogromne na to wspomnienie.

– Nie mogę – powiedziała Clodagh. – Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Muszę pomyśleć o swojej przyszłości, rozumiesz. Muszę znaleźć pracę.

Wtedy Natasha stwierdziła, że wyjazd wyleczy przynajmniej tatusia i będzie mógł wrócić do domu. Po chwili wybuchła płaczem. Alice, próbując ją objąć, powiedziała:

– Obiecuję ci, że kiedy wrócisz, wszystko będzie jak dawniej.

Ale dziewczynka wyrwała się matce. Krzyknęła: „Nienawidzę cię” i wybiegła do ogrodu. Podniosła z ziemi łopatkę Charliego i cisnęła nią o wiele dalej i mocniej, niż miała zamiar. Łopatka wybiła szybę w dachu cieplarni i spadła na ziemię. Natasha krzyknęła przerażona, a James, stojąc w drzwiach do kuchni i obserwując siostrę, zaczął siusiać w spodnie, nie mogąc się powstrzymać.

Cecily osobiście przyjechała zabrać dzieci. Zobaczywszy synową pomyślała, że Alice wygląda okropnie, ale byłaby jeszcze bardziej wściekła, gdyby ta wyglądała kwitnąco. Miała nawet ochotę powiedzieć lub zrobić coś miłego, ale Alice, chociaż bardzo uprzejma, uniemożliwiła jej to całkowicie. We dwie włożyły rzeczy dzieci do bagażnika, zainstalowały fotelik, a Charliego w foteliku i kazały dzieciom szybko wsiadać do samochodu. Nikt nie płakał, ale wszyscy byli tego bardzo bliscy.

– Przywieźcie mi kilka muszelek – powiedziała Alice przez okno samochodu.

– Mamusiu – wyszeptał James. Nie śmiał nic powiedzieć, bojąc się, że zacznie szlochać.

– Może znajdziecie rozgwiadę... Cecily wrzuciła bieg.

– Na pewno. A James jest już na tyle duży, by móc spróbować jazdy na nartach wodnych...



– James! Czyż to nie cudownie?

Samochód ruszył. Trzy zmartwione twarze obejrzały się do tyłu, a Cecily pokiwała przez okno ręką. Alice stała i machała do nich, dopóki auto nie zniknęło pomiędzy grabami. Potem odwróciła się i weszła do pustego domu.

– Gdybyśmy mieszkały w mieście – powiedziała wolno Alice – mogłybyśmy prowadzić zupełnie inny tryb życia. Życie na prowincji tak wszystko utrudnia...

Przerwała. Clodagh nie sprawiało najmniejszej różnicy, czy to miasto czy wieś. Gdziekolwiek się znalazła, była zawsze sobą.

– To znaczy, mnie wszystko utrudnia – poprawiła się Alice. – Nawet gdybym przeniosła się do miasta, nadal byłabym kobietą z prowincji. Wciąż czułabym się widoczna.

– Jesteś widoczna, bo jesteś sobą.

– W tej chwili czuję się zbyt widoczna.

Tego ranka doszło w sklepie do przykrego incydentu, kiedy to Cathy Fanshawe zignorowała powitanie Alice i odwróciła się, by porozmawiać ze Stuartem Mottem. Stuart kupował właśnie papierosy i przyglądał się Alice z tak obrzydliwym zainteresowaniem, że zrobiło jej się słabo. Kiedy wyszła ze sklepu, z podwórza wybiegła Michelle i nie mówiąc ani słowa objęła ją kurczowo. Gest ten nie mógł jednak wynagrodzić Alice milczących zniewag Cathy Fanshawe i Stuarta Motta. Idąc wolno po ulicy, z wysoko uniesioną głową, miała wrażenie, że nawet fasady domów wydają o niej sąd, wstrzymując oddech, aż je minie.

– Musisz wyjechać – orzekła Clodagh.

Leżały w sadzie pod starą jabłonią. Clodagh zaproponowała, żeby posadziły w tym miejscu jakiś rozłożysty krzew, który okryłby powykrzywiane gałęzie drzewa spóźnionym kwieciami.

– Nie – powiedziała wolno Alice.

– Tak. Tak!

Clodagh przekręciła się na bok i podparła dłonią głowę. Palcem drugiej ręki przesunęła po profilu Alice.

– Jedź ze mną. Pojedziemy do Windover. Zaczniemy tam nowe

życie, ty, ja i dzieci. Znajdę pracę. Ty będziesz malować. A1 i c e...

Alice spojrzała na Clodagh.

– W Windover będzie tak samo jak tutaj.

– Nie. N i e. Tutaj każdy wie, że jesteś mężatką. Tam przyjedziemy jako dwie kobiety, ty i ja, bez przeszłości. Możemy to zrobić. Możemy zrobić wszystko, co chcemy. – Przysunęła twarz do twarzy Alice. – Nie musisz mieć pieniędzy. Ja je mam. Niczego nie musisz mieć, po prostu jedź ze mną. Kocham cię. Słyszysz? Kocham.

Alice wciąż na nią patrzyła. Po bardzo długim, jak się Clodagh wydawało, czasie powiedziała:

– I ja cię kocham. Nikogo nigdy tak nie kochałam.

– Więc jedź ze mną, je d ź...

Alice spojrzała w niebo. Wyrwała z ziemi źdźbło trawy i wsunęła jego soczysty koniec między zęby.

– Miłość do ciebie utrudnia mi wszystkie decyzje. Tak już jest z miłością.

Clodagh parsknęła.

– Mówisz jak Lettice.

Lettice zatrzymała niedawno Clodagh, gdy ta wychodziła z Parku, wzięła ją za ramię i powiedziała bardzo dobitnie: „Jeśli kochasz Alice Jordan, moja panno, musisz pozwolić jej odejść”. Clodagh była zdumiona. I wciąż tak się czuła. Bardzo lubiła Lettice, ale niektóre jej opinie wydawały się okropnie staroświeckie. Odrzucić najlepszą rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przydarzyła w życiu? Dobrowolnie? Zadać sobie aż taki ból? Też coś.

Alice zmarszczyła brwi.

– Alice – powiedziała Clodagh cicho, próbując zwrócić znów jej uwagę.

– Mm?

– Spójrz na mnie... Alice obróciła głowę.

– Patrzę...

– Powiedz mi, dlaczego mnie kochasz. Na twarzy Alice pojawił

się leniwy uśmiech.

– Kocham twoją wesołość. Kocham twój niezależny charakter. I twoją arogancję, twoją siłę i szaloną odwagę. I kocham twoją miłość do mnie.

– Nie musimy jechać do Windover – odezwała się po chwili Clodagh. – Mogę sprzedać folwark. Sądzę, że jest wart miliony. Pojedziemy za granicę. Dokądkolwiek. Na przykład na południe Francji?

– Świetnie – powiedziała Alice z pewnym roztargnieniem.

– Musisz ze mną pojechać. Wiesz o tym. Beze mnie będziesz tylko połową człowieka. Tak jak ja bez ciebie.

– Wiem.

– No to kiedy jedziemy?

Alice usiadła, przerzuciła warkocz przez ramię i zaczęła wybierać z niego źdźbła trawy.

– Ty powinnaś jechać.

– Zamknij się! – krzyknęła Clodagh w popłochu, zrywając się z ziemi.

– Uspokój się – powiedziała Alice. – Chodzi mi o to, że powinnaś na trochę wyjechać. Muszę być przez jakiś czas zupełnie sama...

Clodagh pochyliła się i chwyciła ją za ramiona.

– Nie zobaczysz się z Martinem, przysięgnij...

– Martin jest w Kornwalii.

– Ani z Juliet. Ani z moją matką. Ani z...

– Clodagh...

– Przysięgnij! – krzyknęła. Alice wymierzyła jej policzek.

– Zamknij się!

– Przepraszam – powiedziała Clodagh płacząc. – Boże, Alice. O mój Boże!

Upadła na kolana obok przyjaciółki.

– Zabiję się, jeśli mnie zostawisz. Alice zakryła dłońmi twarz.

– Pomyśl o tym, co razem przeżyliśmy – mówiła Clodagh. – Pomyśl o wszystkich tych rzeczach, które razem robimy. Nikt inny nie jest w stanie tego dla ciebie zrobić, nikt inny. Tylko ja.

Pojedziemy do Francji. Będziemy miały dom, będziemy chodziły nago w słońcu. Będziemy miały ogród z lawendą i tymiankiem i taras wychodzący na dolinę. Nigdy się nie rozdzielimy, zawsze razem, we dnie i w nocie. Dzieci będą dwujęzyczne, brązowe jak Murzynki i dwujęzyczne. Będziemy się kochały, kiedy przyjdzie nam na to ochota, na słońcu i przy świetle księżyca. Będiesz żyła taką pełnią, że sama się zdziwisz, jak mogło kiedykolwiek być inaczej...

Ręce Alice trzęsły się.

– Bądźże uczciwa – powiedziała.

– Uczciwa?

– Pewnie pomyślisz, że to drobnomieszczańskie przesady, ale ja nie mogę wejść do raju nieuczciwie...

– Nieuczciwie? Co jest w nas do diabła nieuczciwego? To właśnie twoja cholerna uczciwość niemal cię zabija.

– Clodagh. Nie mogę myśleć, kiedy tu jesteś.

– Przerazają mnie twoje myśli...

– A co ty byś zrobiła – spytała Alice – gdybyś miała troje dzieci? – Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

– I męża?

– To są wymówki – odpowiedziała prędko Clodagh.

– Tylko wymówki...

– Nazywaj to, jak chcesz. Nic nie zmieni faktu, że w moim życiu są rzeczy, których w twoim nie ma.

Clodagh znów się zdenerwowała.

– Rozumiem, rozumiem. Masz zamiar stać się kozłem ofiarnym, rezygnując szlachetnie ze szczęścia, którego nigdy być może już nie zaznasz...

– Nie powiedziałam ani słowa o rezygnowaniu z czegokolwiek. Myślałam dużo o ofierze i będę o tym jeszcze myśleć. Ty też mogłabyś się nad tym zastanowić. Mogłabyś zastanowić się nad wieloma sprawami i przestać wreszcie na mnie krzyczeć.

– Alice – powiedziała Clodagh. – Boję się jak cholera.

Alice wzięła ją za rękę.

– Pamiętam dzień, w którym powiedziałaś mi, że twój

kochanek był kobietą. Byłyśmy wtedy na łące nad rzeką. Dzieci zrobiły sobie łódkę ze zwałonego pnia drzewa, a ty miałaś na sobie swój płaszcz czarownika. Nigdy nie zapomnę tamtej rozmowy. Nigdy nie zapomnę, że zobaczyłam nagle przed sobą wolność i wszystkie możliwości, które mogły stać się moim udziałem. „Wszyscy możemy wybierać”, powiedziałaś mi wtedy, „ty, ja, każdy”. No cóż, ty wybrałaś, a potem zrobiłam to ja. Nikt nas do tego nie zmuszał, wybrałyśmy same. I oto jesteśmy tu teraz ze skutkami naszego wyboru i musimy wybrać od nowa.

– Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę!

– Oczywiście, że możesz. Wiesz, że to prawda. „Jeśli nie potrafisz stawić czemuś czoła, nie bierz się do tego”, mówiłaś.

Clodagh wyrwała dłoń z ręki Alice.

– Ale ty nie chcesz zabrać się do tego ze mną!

– Tego nie powiedziałam. Jeszcze niczego nie zdecydowałam. Ale musimy pobyć przez jakiś czas z dala od siebie. Nie chcę tego, ale nie potrafię w ogóle myśleć, zarzucana pretensjami przez ciebie, dzieci czy kogokolwiek. Bo widzisz, tu nie chodzi tylko o chwilę obecną, przyszłość też jest ważna. Świat nie stoi przecież w miejscu, prawda? – Spojrzała na Clodagh. – Ty też powinnaś pomyśleć o swojej przyszłości. Dla twego własnego dobra.

Clodagh wstała. Miała na sobie dziwaczną kolorową spódnicę z długimi kawałkami materiału przyszytymi do jej brzegu. Te końce ocierały się teraz o nagie ramię Alice, która spojrzała z miłością na trójkąt biało-żółtej bawełny dotykającej jej skóry.

– Tylko na tydzień – powiedziała.

– Pojadę do Londynu.

– Tak.

– Kto wie – rzuciła wyzywająco – kogo tam spotkam? Alice nic nie odpowiedziała. Clodagh odsunęła się od niej trochę i oparła o pień drzewa.

– Nie przejęłabyś się?

– Oczywiście, że tak...

– Nie byłabyś zła?

– Nie.

– Smutna?

– Bardzo.

– Alice, dlaczego ty się do diabła nigdy na nikogo nie obrażasz?

– Obrażam się.

– Nieprawda.

– Ależ tak. Po prostu nie mogę obrażać się na kogoś za coś, co sama zrobiłam.

– Idź do diabła! – krzyknęła Clodagh. Odsunęła się od drzewa, aż zawirował jej cygański strój. – Ty ograniczona, zacofana, cholerna kołtunko! Idę sobie, idę, a ty nigdy nie dowiesz się dokąd!

A potem wybiegła z ogrodu i Alice usłyszała, jak uruchamia samochód, objeżdża w szaleńczym tempie dom i oddała się w stronę bramy. Po chwili, skacząc wśród długiej trawy, zjawił się Balon, aby przypomnieć Alice, że niezależnie od kryzysu czas najwyższy na kocią kolację.

Kiedy Unwinowie usłyszeli, że Clodagh jedzie do Londynu, oboje rozpaczliwie próbowali ją zatrzymać.

– Ale przecież chcieliście, żebym wyjechała. Właściwie to nawet kazaliście mi...

– Ale nie do Londynu...

– A dlaczego nie do Londynu, na miłość boską?

Nie mogli jej na to pytanie odpowiedzieć. Nie byli w stanie powtórzyć tego, czego niedawno dowiedzieli się o Londynie. Clodagh obserwowała przez chwilę ich wewnętrzną walkę, po czym powiedziała:

– Boicie się, że jadę do Londynu na podryw?

Nawet jej zrobiło się przykro. Zobaczyła najczystsze cierpienie na ich zazwyczaj zadowolonych, pewnych siebie jowialnych twarzach i zrobiło jej się ich żal.

– Nie jadę tam po to – powiedziała łagodniejszym już tonem. – To mnie nie interesuje. I tego właśnie nie jesteście w stanie zrozumieć. Ale muszę się stąd wyrwać, muszę pojechać gdzieś, gdzie mnie nikt nie zna. Może – dodała, chcąc jakoś naprawić

swój nietakt – może poszukam pracy.

Margot odwiozła ją na stację w Salisbury, a po drodze słuchały w radio adaptacji powieści Arnolda Bennetta. Była tam jedna scena pomiędzy apodyktyczną matką i zbuntowaną, marzącą o niezależności córką. Ani Margot, ani Clodagh nie odważyły się wyłączyć radia bojąc się, że w ten sposób przyznałyby się do tego, iż scena ta ma dla nich jakieś wyjątkowe znaczenie. Był to dzień targowy w Salisbury. Padał drobny ciepły deszczyk i drogi zrobiły się śliskie. Iglica katedry sięgała niewzruszenie szarych chmur, a turyści z torbami Stowarzyszenia Ochrony Zabytków rozbiegali się po wąskich chodnikach w poszukiwaniu toalet, domu towarowego Marksa i Spencera oraz innych atrakcji. Margot patrzyła na te ich banalne zajęcia z ogromną zazdrością, a Clodagh z zajadłą pogardą. Na stacji dziewczyna kupiła bilet w jedną stronę.

– Kochanie, nie powrotny?

– Nie – odpowiedziała Clodagh. – Nie dlatego, że nie mam zamiaru wrócić. Po prostu w tej chwili nie mogłabym znieść myśli, że mam ze sobą bilet powrotny.

Do przyjazdu pociągu zostało dziesięć minut.

– Nie czekaj...

– Ale ja chcę.

– Mamo. Proszę cię, nie czekaj.

– Nie mogę znieść myśli, że jesteś taka nieszczęśliwa – powiedziała Margot, a na jej twarzy malowała się rozpacz.

– To nie do wytrzymania...

– Och, Clodagh...

– Nie – ucięła Clodagh. – Nie zaczynaj od nowa. Jeśli będzie ci lżej, udawaj, że jestem zakochana w mężczyźnie.

Margot ogarnął gniew.

– Jeśli masz zamiar tak się do mnie odzywać, to n i e zostanę na pewno.

Clodagh patrzyła, jak matka oddala się, wyprostowana, w letniej kremowej sukience. Widziała, jak zatrzymuje się, by porozmawiać ze starszym już bagażowym, który przez piętnaście

lat nosił szkolne walizki Unwinów, jak uśmiecha się do niego na pożegnanie, mija żelazną barierkę i idzie do samochodu, by wrócić do Pitcombe, gdzie była Alice.

Po przyjeździe do Londynu Clodagh pojechała taksówką do Highgate. Mieszkała tam pisarka, która była jej pierwszą prawdziwą kochanką. Miała już nową przyjaciółkę, też pisarkę, i obie przyjęły Clodagh bardzo serdecznie, ubolewając nad jej cierpieniem i obawami. Przebywanie w ich mieszkaniu, w którym akceptowano ją i rozumiano, dodawało Clodagh otuchy. Mówiła o wiele za dużo, a one były bardzo cierpliwe.

Podczas kolacji jedna z nich powiedziała, bardzo zresztą delikatnie, że jej zdaniem zdrada nie byłaby w tej chwili najlepszym wyjściem. Clodagh zgodziła się i dodała, że najgorsze w tym wszystkim było właśnie to, iż nie potrafiłaby zranić Alice.

– Mam wrażenie – wyznała – że to właśnie ja nauczyłam ją śmiałości, by zachowywała się w taki sposób. Rozumiecie więc, dlaczego jestem taka wściekła.

Rozumiały. Zrobiły jej rumiankową herbatę i położyły do łóżka w małej wygodnej sypialni. Zostawiły ją z egzemplarzem „Złowieszczej mądrości”, którą jedna z nich przywiozła niedawno z Ameryki. Powiedziały, żeby spróbowała zasnąć, a potem wyszły. Clodagh słyszała, jak chodzą po mieszkaniu, sprzątając ze stołu i rozmawiając przyjaźnie. Rozejrzała się po pokoju z jego biało-niebieskimi jedwabnymi zasłonami, mosiężną lampą i szorstkim białym dywanikiem na podłodze i poczuła tak ogromną tęsknotę i zawiść, że wtuliła głowę w poduszkę i zaczęła płakać, jakby jej miało zaraz pęknąć serce.

W kuchni Juliet Dunne udawała, że robi zupę z rzeżuchy. Pokroiła cebulę, zrobiła bulion, trochę nuciła pod nosem, ale to nic nie dawało. Zaczęła gotować tę zupę tylko dlatego, że znalazła bardzo stary pęczek rzeżuchy kryjący się w lodówce za olejem z orzechów włoskich i jogurtami Danone. Pomyślała więc, że robi z niego jakiś użytek w nadziei oderwania choć na chwilę myśli od Alice i Martina, którzy siedzieli właśnie na jej tarasie w odległości jakichś ośmiu stóp od siebie, prowadząc rzekomo rozmowę.



Zawsze uważała rolę żony i matki za kompletne dno, ale oboje z Henrym czuli się całkowicie wykończeni rolą przyjaciół rozjemców. To było okropne. Zaproponujesz gościom drinka, a oboje powiedzą, nie, dziękuję, wystarczy woda mineralna, zapytasz, gdzie chcieliby usiąść, a odpowiedzą, że gdziekolwiek, jest im wszystko jedno; powiesz, próbując ich jakoś rozweselić, że przerwiesz im za jakieś dziesięć minut, a oboje wyglądają na śmiertelnie obrażonych. Wypychasz ich więc na taras i zachęcasz do obejrzenia twoich herbacianych róż, nie sądzicie, że są prawie tak obrzydliwe jak herbata, a oni kompletnie cię ignorując, wzdychają i siadają tak daleko od siebie, jakby bali się zakażenia. Tak więc kręcisz się koło nich idiotycznie przez chwilę, po czym mówisz, o mój Boże, moje coś tam w piekarniku, i pędzisz do kuchni, by jeszcze raz wykrzyknąć na głos swą złość, i myślisz sobie, muszę czymś się zająć, nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać. Znajdujesz więc trochę niemal skamieniałej już rzeżuchy i myślisz, aha, ugotuję zupę. Ale tak naprawdę chcesz dalej wrzeszczeć, a w przerwach podchodzić na paluszkach do okna i spoglądać na tych nieszczęśników i ich oddalone od siebie plecy. Nie cierpię lubić ludzi, pomyślała Juliet, mieszając trzonkiem noża rozpuszczającą się powoli kostkę rosółu. O wiele bardziej wolałabym ich nienawidzić, tak jak nienawidzę Clodagh. Przynajmniej wiadomo wtedy, na czym się stoi.

Po jakichś dwudziestu minutach w drzwiach kuchni pojawiła się Alice.

– Martin poszedł na spacer. To bardzo miłe z twojej strony, że go wzięłaś do siebie.

Juliet stała odwrócona do niej plecami, mieszając zupę.

– Wiesz, że nie jestem miła.

– Miłe jest również to, że zgodziłaś się przyjąć nas tu oboje...

– Zamknij się – przerwała jej Juliet. – I skończ z tymi gównianymi frazesami. – Odwróciła się do Alice. – Doszliście do czegoś?

– Nie. Chce chyba, żebym go przeprosiła. Chce, żeby to była wyłącznie moja wina.

Juliet nie odpowiedziała. Zdjęła zupę z ognia i przyjrzała jej się.

– Henry w życiu tego nie tknie. Przypomina muł ze stawu.

– Pójdę już do domu. Ale dziękuję ci – powiedziała Alice.

Juliet trzasnęła rondlem o blat kuchenki.

– Czego ty do diabła od niego oczekujesz? Co on takiego zrobił, biedne stworzenie, oprócz tego, że jest starym nudnym Anglikiem, którym był zawsze – i którego poślubiłaś?

– To nie jest takie proste...

– Proste? A pewnie, że nie jest proste. – Podeszła do Alice trzymając w ręku drewnianą łyżkę. – Allie. Jak mogłaś!

Alice patrzyła na nią.

– Jak mogłaś potraktować Martina w taki sposób? Jak mogłaś być tak zupełnie normalna przez wszystkie te lata, a potem nagle... Boże, Allie, czyś ty oszalała?

– Abyś mogła przynajmniej zacząć rozumieć – powiedziała Alice – musiałybyś najpierw tego chcieć.

– A czy ty starasz się zrozumieć Martina?

– Tak.

– Tak?

– To, że staram się go zrozumieć, nie znaczy niestety, że mogę ot tak machnąć magiczną różdżką i wszystko naprawić. Oznacza to jednak, że staram się brać wszystkich pod uwagę.

Juliet wróciła do kuchenki.

– Jakże szlachetnie z twojej strony.

Alice wyszła. Na zewnątrz synkowie Juliet bawili się w ogrodzie na drabinkach. Wsiadła do samochodu. Na podłodze poniewierały się klocki lego, taśma z „Charliem i jego Fabryką Czekolady” i purpurowo-złota bransoleta Clodagh, którą Natasha pożyczyła kiedyś, by zadziwić nią w szkole Sophie. Leżało też sporo papierków po cukierkach.

– Chcę, żebyś była niechlujna – powiedziała jej raz Clodagh. – Moja piękna, seksowna niechlujna Alice. Chcę, żebyś się rozluźniła. Niech żyją zmysły, śmierć rozumowi.

Uruchomiła samochód i ruszyła wolno w stronę drogi. Ciężka

sierpniowa zieleń przygniatała ziemię. W niektóre bezwietrzne dni miało się wrażenie, że pola nie mogą oddychać. Bujne zielska obrastały drogi i Alice pomyślała, że czuje się tak jak one: wymęczona, przygnieciona, dojrzała do żniw. Wzięła w dłoń swój warkocz i trzymając kierownicę drugą ręką pojechała do Grey House.

Kiedy weszła do domu, dzwonił właśnie telefon. Ogarnęła ją radosna pewność, że to Clodagh. Wyjechała już tydzień temu, a byłoby to bardzo w jej stylu dzwonić wczesnym wieczorem po to, żeby Alice nie musiała zastanawiać się przez całą kolejną noc, gdzie ona teraz jest. Pewna siebie, nie spieszyła się z odebraniem telefonu, a kiedy podnosiła słuchawkę, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Halo?

– Alice – odezwał się Richard. – Richard...

– Nie będę pytał, jak się masz, bo na pewno okropnie.

– Tak.

– Chciałbym się z tobą zobaczyć.

Zamknęła oczy. Nie uroniła ani jednej łzy tak długo, a teraz poczuła wilgoć pod powiekami.

– Alice?

– Tak, tak. Słucham cię...

– Chciałbym się z tobą zobaczyć. A ty chciałabyś się ze mną spotkać?

– Tak.

– Przyjedź więc do Londynu. Przyjechałbym sam do Pitcombe, ale nie chcę stać się ośrodkiem zainteresowania miejscowych plotkarzy. Postaraj się być tu, zanim wrócą dzieci. Miałaś od nich jakieś wiadomości?

– Pocztywki...

– Do zobaczenia we wtorek. W moim mieszkaniu. Zjemy razem lunch.

– Tak – odpowiedziała Alice płacząc.

– No już, kochanie. Daj spokój.

– Przestań być dla mnie miły, to nie ma sensu... Roześmiał się.

– Do zobaczenia we wtorek.

W niedzielny poranek odprawiano w kościele nabożeństwo. Świeciło słońce, a kępki malw przy cmentarnej bramie unosiły radośnie swe jakby papierowe trąbki. Mieszkańcy Pitcombe woleli chodzić do kościoła o tej porze, bo godzina była przyzwoita i nie musieli zastanawiać się, czy można jeść przed komunią. Było to szczególnie ważne dla panny Payne, która często czuła się upokorzona swoim porannym burczeniem w żołądku podczas najcichszych i najbardziej doniosłych momentów nabożeństwa. Pewnego razu zmuszona była nawet wyjść i stanąć zaczerwieniona ze wstydu przy czyimś grobie na kościelnym cmentarzu.

Sierpień był zazwyczaj kiepskim miesiącem dla parafii z powodu wakacji, ale ta szczególna niedziela wypadła pomiędzy końcem sezonu europejskiego a początkiem sezonu szkockiego w wakacyjnym kalendarzu Pitcombe. Wąska nawa kościelna ozdobiona była ogromnym białym floksem przysłanym z Pitcombe Park i błękitnymi sztucznymi ostróżkami od Cathy Fanshawe.

– Dobry Boże – powiedział Henry Dunne polując na klęcznik.

– A cóż to za tłum?

Kościół wypełniał się powoli ludźmi o twarzach rumianych od zniw i wakacji spędzanych w Kornwalii lub brązowych po pobycie w Umbrii i na Teneryfie. Panna Pimm w brązowym perkalu, z drżącymi nagimi ramionami, zasiadła przy organach. Członkowie chóru, mieszanina Mottów, Crudwellów i niezadowolone dziecko Bartonów, które zmuszone zostało przez rodziców do uczestnictwa, usiedli obok panny Pimm, dłubiąc w nosach i szepcząc ze sobą.

Rosie i Gerry Barton usiedli w pierwszej ławce po prawej stronie, naprzeciwko ławki Unwinów. Bartonowie uśmiechali się, Unwinowie usiłowali robić to samo. Za Unwinami, jak wierna świta, siedzieli Dunne'owie – Henry w kurtce ze starymi pułkowymi guzikami, Juliet w niebieskiej kwiecistej sukience. Chłopcy, których Henry miał zamiar krótko trzymać przez

większą część nabożeństwa, mieli na sobie identyczne podkoszulki i szorty. Buntie Payne siedziała po drugiej stronie nawy uśmiechając się do dzieci, co ośmielało je do strojenia przerażających min. W dalszej części nawy siedzieli po dwie, trzy osoby w ławce: państwo Fanshawe, miejscowy farmer, na sąsiedniej ławce John Murray-French ze swoją panamą, w której bywał na rozgrywkach krykieta, kilku gości, Michelle ze swą przyjaciółką Carol, nowa rodzina, która skromnie wybrała jedną z tylnych ławek, oraz Fred Mott na wózku inwalidzkim. Przywiózł go tu pan Finch, uważając przypadek starego za idealną okazję do wypróbowania boskiej obietnicy powszechnego zbawienia. Fred siedział sapiąc cicho, macał się po spodniach i ssał cukierka.

Peter Morris wyszedł z zakrystii w zielonej stule Trójcy Świętej i rozejrzał się z zadowoleniem po kościele. Przeszedł się wzdłuż nawy witając ludzi, a potem wszedł na górę, by przekazać chórzystom kilka przestroóg. Często myślał, że byłby w stanie wybaczyć im wiele, gdyby chociaż potrafili śpiewać. Potem wrócił do zakrystii i poświęcił ostatnie minuty przed nabożeństwem, by pomodlić się w skupieniu. Dziwił się zawsze, jakże łatwo mu to wtedy przychodziło. Po chwili znowu pojawił się w kościele i zobaczył Alice Jordan siedzącą samotnie dwie ławki za Dunne'ami. Wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie. Zamiast rozpocząć modlitwę, Peter podszedł do niej i powiedział wśród absolutnej ciszy: „Jak miło panią widzieć, Alice”. Podziękowała mu. Wtedy wszedł na stopień prezbiterium, rozłożył szeroko ramiona i zaczął odprawiać nabożeństwo.

Alice, klękając, siadając i znów się podnosząc, powiedziała sobie, że musi przez to jakoś przejść. Odmówiła „Ojcze nasz”, ale nie przyłączyła się do wyznania grzechów ani do hymnów, które wszyscy zdawali się śpiewać z nieco przesadnym zapalem. Przyszło jej do głowy, że atmosfera w kościele przypomina tę, jaka musi panować w samolotach na chwilę przed katastrofą: opanowanie przeciwstawiające się milcząco narastającej hysterii. Sir Ralph jako członek komitetu parafialnego i pomocnik kościelny zbierał pieniądze podczas „Prowadź mnie, Niebieski

Ojczy, prowadź”. Alice wrzuciła swe monety nie podnosząc na niego wzroku. Podczas kazania chłopcy Dunne’ów, którzy znali Alice przez całe swoje życie, odwrócili się do tyłu i uśmiechnęli do niej szeroko. Ojciec szturchnięciem przywołał ich do porządku. Pod sam koniec nabożeństwa Alice zabrakło jednak odwagi i w czasie śpiewania ostatniego hymnu wymknęła się pospiesznie z kościoła. Buntie Payne, która miała zamiar ucałować ją na oczach wszystkich po przekazaniu sąsiadowi znaku pokoju, odwróciła się gotowa to uczynić i krzyknęła rozczarowana:

– Och, jakie to przykre! Poszła sobie!

– Miałem zamiar zaprosić cię gdzieś na lunch – powiedział Richard – ale pomyślałem sobie, że gdy tylko któreś z nas zdoła wreszcie powiedzieć coś, co chciało, pojawi się kelner pytając, czy życzymy sobie trochę pieprzu do sałatek. Poszedłem więc do supermarketu i kupiłem to.

Alice spojrzała na stół w niedużej bawialni Richarda. Znajdowała się na nim butelka wina, paczka wędzonego łososia, ciemny chleb i cytryna.

– Czy masz zamiar urządzić mi przesłuchanie? – zapytała Alice.

– Boże drogi, nie. Dlaczego miałbym to robić?

– Bo jesteś ojcem Martina.

Podniósł butelkę wina i poszedł po korkociąg.

– Jestem również człowiekiem. Musiałbym być kimś wyjątkowo niesympatycznym, żeby ciągnąć cię taki szmat drogi tylko po to, by zrobić awanturę.

Zniknął w maleńkiej kuchni, by po chwili wrócić z kieliszkami.

– Nie wolno ci cały czas przybierać postawy obronnej. Alice podniosła głowę.

– Nie chcę tego – powiedziała. – Ale cały czas czuję się do tego zmuszana.

Jakże cudownie było wiedzieć, że nikt jej nie zna w pociągu do Londynu. A w metrze, wciśnięta między obce osoby, Alice była jeszcze bardziej szczęśliwa.

– Londyn to czysta rozkosz po Pitcombe – zauważyła biorąc od Richarda kieliszek wina.

– Tak – odpowiedział. – Na pewno.

Położył dłoń na jej ramieniu i zaprowadził do fotela.

– Jesteś głodna?

– Nie za bardzo.

– No to pij. Mamy przed sobą cały dzień.

– Ale biuro...  
– Może poczekać.  
– Martin mówił, że naprawiliście razem mur.  
– Widziałaś się z nim?  
– Tak. U Juliet. Niewiele to dało.  
– Nie – powiedział Richard. – Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Biedny chłopak.

Alice milczała.

– Biedny – powtórzył. – Przez całe życie był w pewien sposób zwodzony. Niczego nie chciał pojąć. Jest wściekły, bo nic nie rozumie.

– Nie winię go – powiedziała Alice. – Sama bym nic z tego wszystkiego nie zrozumiała. Przed spotkaniem Clodagh.

– Porozmawiaj ze mną – poprosił Richard. Pochylił się do przodu i dolał jej wina. – Porozmawiaj.

– Nie...

– Tak. Może jestem jedną z niewielu osób, które mogą ci pomóc. Kocham Martina. – Przerwał. – Kocham ciebie. Myślę, że Martina rozumiem. Chciałbym teraz zrozumieć ciebie.

– Ale ja tego nie chcę – stwierdziła. – Nie chcę, żebyś wspaniałomyślnie naprawiał moje małżeństwo.

– Nie chcę go naprawiać.

– Nie?

– Nie – odpowiedział. – Ale chcę jakiegoś rozwiązania. Dla niego, dla ciebie, dla moich wnuków. – Spojrzał na Alice. – Opowiedz mi o Clodagh.

– Nie mogę...

– Dlaczego?

– Bo jesteś mężczyzną.

– Alice – powiedział Richard. – Nie sądzę, żebyś wiedziała zbyt dużo o mężczyznach, bo inaczej nie mówiłabyś takich rzeczy. Ufasz mi?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie wiem...

– Bądź tak miła i zaufaj mi. Ja ci uwierzę i postaram się



zrozumieć, co chcesz mi powiedzieć.

Alice wstała. Przeszła się po pokoju dotykając różnych rzeczy: popielniczki na kredensie, marmurowego jajka na drewnianej podstawie, głupiej zabawki dla dorosłych składającej się z masy magnetycznych spinaczy do papieru na czarnej szklanej podstawie. Po chwili podeszła do krzesła i znów usiadła.

– Wszystko utrudnia fakt, że miłość między kobietami nigdy nie była doceniana. Prawda? Tak było od wieków. W najlepszym razie traktowano ją jak coś niemądrego, jak... jakieś głupie nieszkodliwe hobby.

Odstawiła kieliszek na stół i wzięła do ręki cytrynę. Obracała ją w dłoniach i wahała.

– Ale ja czuję – a może nigdy już się nie zakocham – że to, co ofiarowała mi Clodagh, wzbogaciło mnie. Niczego mi nie odebrało, nie zubożyło mnie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Miłość ta sprawiła, że dorosłam. Że prawdziwie pokochałam wszystkich dookoła. I z tego co widzę, jedynie druga kobieta mogła ofiarować mi tak kształcący rodzaj miłości, ponieważ tylko ona była w stanie dostrzec, że tego właśnie potrzebuję, zrozumieć, że macierzyństwo i moje własne ja ciągle się równoważą. Tylko druga kobieta – powtórzyła stanowczo – była w stanie zrozumieć i... i pomóc.

Richard uklęknął przy stoliku i zaczął fachowo robić kanapki.

– Jeśli cię to interesuje – ciągnęła Alice wciąż obracając w dłoniach cytrynę – łóżko nie jest najważniejszą rzeczą. To znaczy, było takie na samym początku. Myślę, że seks jest o wiele ważniejszy dla Clodagh niż dla mnie. Jeśli mówię szczerze. Ale to, co kocham i bez czego boję się już obyć, to energia życiowa. Jest dla mnie jak eliksir. Rozumiesz?

Skiną! potakująco głową, wyjmując łososia z celofanowego opakowania.

– Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak dobrze nam jest ze sobą, jak zupełnie inaczej patrzę teraz na siebie dzięki niej. To jest jak objawienie.

Richard wziął od niej cytrynę, pokroił i zaczął wyciskać sok na

kanapki.

– Byłam taka samotna – mówiła Alice. – Nie obwiniam Martina. Nie wiedział, jak ma ze mną postępować i ja sama tego nie wiedziałam. Ale Clodagh wiedziała. Przebudziłam się. Kiedy spoglądałam wstecz na nasz ślub, miodowy miesiąc i potem małżeństwo, wydaje mi się, że po prostu spałam. Musiało tak być. Dwanaście lat zmarnowanych w jakimś półżyciu.

Richard położył talerz z kanapkami na kolanach Alice.

– Jedz.

Spojrzała na talerz, a potem na niego.

– Czy rozumiesz coś z tego, co mówię?

– Tak.

– Wiesz, o co mi chodzi?

– Oczywiście. Ja też czułem coś takiego. Ale w moim przypadku chodziło raczej o płęć przeciwną.

– O kogo?

– O Cecily, naturalnie – odpowiedział.

– Cecily!

– Tak.

Alice bez apetytu ugryzła kawałek kanapki.

– Teraz ty mów – zażądała.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Richard powiedział ostrożnie:

– Gdyby u twego boku był kochający, pewny siebie mężczyzna, coś takiego nigdy by się nie wydarzyło. Pomyślisz pewnie, że przemawia przeze mnie typowa męska arogancja. Tak nie jest. Pomiedzy kochaniem się a seksem istnieje kolosalna różnica. Nigdy nie byłem w stanie kochać się z Cecily tak, jak tego pragnąłem, ponieważ jej myśli były przede mną całkowicie zamknięte. Szczyt jej życia uczuciowego przypadł na Wiedeń i potem nigdy już nie pozwoliła nikomu się do siebie zbliżyć, na wypadek gdyby nowe uczucie okazało się tylko złudzeniem i zniszczyło jej tajemnicze, romantyczne wyobrażenie o życiu.

Przerwał i dolał Alice wina. Czekwała obserwując go.

– Ale ja byłem w stanie ją kochać, gdyby mi tylko na to

pozwoliła. Ryzykując posądzenie o kazirodcze skłonności, powiem ci, że mogłem pokochać ciebie, ponieważ tak jak Clodagh wiem, jaka jesteś i czego potrzebujesz.

Spojrzał na Alice.

– Nie jestem zazdrosny o Clodagh. Jest mi po prostu przykro, że musisz przez to wszystko dla niej przechodzić. Rozumiem doskonale, co masz na myśli mówiąc o samotności. Od lat, dokładnie od piętnastu, mam kochankę, ponieważ jestem czułym, namiętym mężczyzną, a Cecily nie pozwala mi być takim. Nie chce przyjąć do wiadomości, że ja lubię kobiety.

– Martin... – powiedziała Alice.

– Cecily nie wychowała chłopców tak, by lubili kobiety. Nawet nie próbowała. Obaj boją się kobiet. Ja też nie próbowałem. Zauważyłem to, kiedy było już za późno. Jestem więc temu tak samo winny jak Cecily.

Alice pochyliła się nad stołem i wzięła Richarda za rękę.

– To takie smutne – powiedziała. – Takie smutne. Jesteś rzeczywiście najodpowiedniejszym mężczyzną dla Cecily.

Uśmiechnął się.

– Och, wiem o tym. Od czterdziestu lat. Alice spuściła głowę.

– Czterdzieści lat! Z czym to też człowiek potrafi żyć...

– Czasem się musi. Jeśli tak naprawdę w głębi serca nie chce się niczego innego.

– Ale twoja kochanka...

– Czy sznur dziewczyn na telefon byłby lepszym wyjściem?

Alice spojrzała na niego. – – To znaczy... ?

– Tak.

– Jezu – powiedziała Alice z intonacją Clodagh.

– Już prawie od dwudziestu lat Cecily nie pozwala mi się do siebie zbliżyć.

– Ale ty we iąż...

– Tak, wciąż.

– I nie żałujesz, że nie przestałeś? Kochać jej, oczywiście.

– Teoretycznie tak. Czasami. Może jestem po prostu koszmarne uparty i nie chcę przyznać się do przegranej. A może

to miłość.

Alice wyprostowała się gwałtownie.

– Miłość – powtórzyła.

Później, w drodze na stację Paddington, Richard powiedział od niechcenia, że chciałby kupić jej małe mieszkanie lub dom w Salisbury w pobliżu szkoły. Dodał, że byłaby to ich wspólna tajemnica i że nie stawia żadnych warunków. Może tam mieszkać przez miesiąc, rok, jak długo zechce. Alice, oszołomiona tą propozycją, spytała odwracając od niego wzrok: „Ale dlaczego?”, na co odpowiedział, że robi to w pierwszej kolejności dla dzieci, a potem dla niej i dla Martina.

– Dla Martina?

– Jeśli będziesz choć trochę niezależna, nie będzie czuł się tak zagrożony. Następny krok będzie wtedy łatwiejszy. Martin nie może znieść myśli, że zgodnie z prawem będzie musiał dawać pieniądze kobiecie, która jego zdaniem zdradziła go. Jeśli nie będziesz potrzebowała od niego tyle pieniędzy, to już mniej powodów do kłótni. A to może wyjść dzieciom tylko na dobre.

– Ale ty nie możesz, dlaczego miałbyś...

– To już nie twoja sprawa – powiedział Richard. – Po prostu daj mi znać, kiedy się namyślisz.

W pociągu ogarnęło Alice ogromne zmęczenie. Oparła głowę o pomarańczowy tweedowy podgłówek, nowy prezent dla pasażerów od Kolei Brytyjskiej, i zamknęła oczy. Jej myśli wypełniła procesja postaci: Clodagh, dzieci, Martin, rodzice, teściowa, Unwinowie. Wszyscy przesuwali się wolno, twarze wyłaniały się z miękkiej ciemności i zaraz znów w niej tonęły. Jestem ogniwem w tym łańcuchu, pomyślała Alice. Przyszłość wszystkich tych osób związana jest ze mną. Mam wielką władzę. Należy do mnie. Nawet jeśli tego nie chce. Nic mi się teraz nie stanie, ponieważ ode mnie zależy, co się będzie dalej działo. J a muszę wybrać. Jestem o wiele dalej, niż byłam przedtem, i nic mnie już nie chroni. Jestem wysoko, w jakimś odsłoniętym, pełnym cierpienia miejscu...

– Przepraszam – odezwał się ktoś tuż obok niej – czy to pociąg

do Didcot Parkway?

Elizabeth Meadows otworzyła drzwi domu w Colchester i zobaczyła za nimi Richarda Jordana. Była tak zdumiona, że z przerażenia o mało nie zatrzasnęła ich znowu.

– Zastanawiałem się – odezwał się z uśmiechem Richard – czy zapomniała już pani, jak wyglądam.

– Tak – odpowiedziała Elizabeth. – Nie...

Z bawialni odezwała się siostra Elizabeth, Ann, która polerowała właśnie mosiężny pogrzebacz do kominka:

– Kto to? Mogłabyś wreszcie zamknąć drzwi.

– Niech pan wejdzie – powiedziała Elizabeth.

Wszedł za nią do pomalowanego na kremowo holu, a potem do bawialni. Ann Barlow miała na sobie kwiecisty fartuch z wielką kieszenią na przodzie, a na rękach ochronne rękawiczki. Zerwała się na nogi marszcząc brwi. Jediną rzeczą, której nienawidziła bardziej od niespodziewanych gości, była nagła wizyta mężczyzny.

– Pamiętasz Richarda Jordana. Teścia Alice...

Ann zawsze kojarzyła Jordanów z rozpadem małżeństwa swojej siostry. Zdjęła teraz rękawiczkę i obojętnie przywitała się z Richardem, proponując przez grzeczność filiżankę kawy. Richard skłamał, że z przyjemnością się napije. Usiadł w kwiecistym fotelu, z którego mógł obserwować uporządkowany ogród, białą ławeczkę i rozwieszoną na sznurze bieliznę. Elizabeth nie wiedziała, jak się zachować. Gniewało ją, że przyszedł i czuje się tak swobodnie. Usiadła naprzeciwko niego i zaczęła wpatrywać się w jego eleganckie buty. Postanowiła, że pierwsza nie zacznie mówić.

Zdawał się nie przejmować tą wrogością. Poinformował ją, że James nauczył się pływać w Kornwalii, na co nie zareagowała, skoro Alice nie uważała nawet za stosowne zawiadomić ją, że dzieci tam jadą. Zachwyci! się ostróżkami i powiedział, że Cecily jest przeciwna sadzeniu nowej różowej odmiany. Poskarżył się na okropną drogę A12, na co Elizabeth odpowiedziała, że już nie jeździ samochodem. Weszła Ann z kawą i po chwili zaczęła się

normalna krzątanina wokół stolika, łyżeczek i talerzyków na okruchy. Elizabeth pogardzała małomiasteczkową dbałością siostry o dom. Kiedy zamieszanie dobiegło końca, Richard zaczął mówić zupełnie innym tonem. Powiedział, że przyszedł tu bez wiedzy i pozwolenia Alice, która i tak ma teraz sporo kłopotów. Sam podjął więc decyzję o odwiedzinach, za którą prawdopodobnie zostanie ukarany. Ze spokojem, który oburzył Elizabeth, powiedział, że Alice rozstała się z Martinem, ponieważ ma romans z kobietą. W chwili obecnej stara się powziąć jakąś decyzję co do swojej przyszłości, a Martin po załamaniu próbuje wrócić do zdrowia. Po chwili dodał niezbyt mądrze, że ma nadzieję, iż obie panie nie będą sądziły nikogo zbyt surowo. W tym momencie Ann Barlow odstawiła swoją filiżankę i wyszła z pokoju.

– Chyba – powiedział Richard – nie zgorszyłem pani siostry.

– Oczywiście, że tak.

– A panią? Czy panią też to zgorszyło?

– Nic mnie tak naprawdę nie gorszy – odparła ze złością. Po raz pierwszy od jego przyjścia spojrzała mu prosto w oczy. – Jest pan wścibski – stwierdziła. – I wątpię w szczerą pańskich intencji.

Wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko pomóc Alice i Martinowi... Parsknęła.

– Nie jestem głupia. Kiedy myślę o pańskiej wizycie, natychmiast przychodzi mi na myśl słowo „lubieżny”.

Schylił głowę. Wydało jej się, że się zaczerwienił.

– Bóg jeden wie – powiedziała – jakie są i były pańskie motywy.

Nie podnosił głowy.

– Czy nie mogą być po prostu altruistyczne? – zapytał cicho.

– Teoretycznie oczywiście, że tak. Ale w pana przypadku wątpię w to. Jestem dotknięta pańską wizytą. Oburza mnie brutalny sposób, w jaki powiedział mi pan o mojej córce. Oburza mnie pański stosunek do wnuków, które są tak samo moje jak i pana. Czuję się dotknięta pańskim protekcjonalnym traktowaniem. Winię pana i pańską rodzinę za rozbicie mojej rodziny.

Richard wstał niezdarnie z krzesła.

– Lepiej już pójdę.

Nie odpowiedziała. Richarda ogarnęła wściekłość.

– Opowiem o tym Alice...

– Myli się pan sądząc, że będzie panu współczuła. A już na pewno nie będzie wdzięczna.

Chciał krzyknąć, że rozumie teraz doskonale, dlaczego Sam Meadows opuścił ją i dlaczego Alice widziała w Cecily matkę, którą Elizabeth być nie chciała. Zaczął nawet, ale przeszła obok niego otwierając po kolei wszystkie drzwi, aż znalazł się nagle na zewnątrz domu, tuż obok ogromnej begonii, wrzeszcząc sam do siebie na spokojnej willowej uliczce. Nie pozostawało mu nic innego, jak wracać do Londynu.

Dwa dni później Alice otrzymała dwa listy. Jeden z nich był od matki.

„Twój teść złożył mi wizytę – pisała Elizabeth – podczas której dowiedziałam się o wiele więcej o nim niż o tobie. Może napiszesz. Może nawet przyjedziesz, żeby się ze mną zobaczyć. Nie bój się, nie będę próbowała udzielać ci rad”.

List podpisano: „Pozdrawiam – twoja matka, Elizabeth”. Drugi list był jak pocztówka. Bez daty i podpisu, zawierał tylko jedno zdanie skreślone niewyraźnym charakterem pisma Clodagh: „Kobiety potrzebują mężczyzn jak ryby rowerów”.

To było wszystko. Następnego dnia dzieci wróciły do domu i Alice, obejmując je z ulgą i miłością, zdała sobie sprawę, że w ciągu dwóch tygodni ich nieobecności nie podjęła absolutnie żadnej decyzji.

– „Co robisz? – zapytał James. Trzymał w ręku plastikowy karabin i pół herbatnika.

– Piszę do dziadka.

– A ja też mogę?

– Tak, ale nie na tej kartce. Weź jakąś inną.

James położył karabin na liście Alice. Od jakiegoś już czasu robił tak ze wszystkim: kładł swoją łyżkę na jej talerzu, swoją książkę na jej gazecie, a swoją szczoteczkę do zębów w jej usta.

– Jamie...

Położył rękę na karabinie. Milcząco prowokował ją, by go odsunęła.

– Nie umiem pisać...

Podniósł drugą rękę i próbował włożyć jej do ust nadgryziony kawałek herbatnika.

– Kochanie. Przestań.

– Zjedz!

– Nie, Jamie, nie, jest cały obśliniony... Spróbował jeszcze raz i herbatnik złamał się na pół.

– Złamałaś mój herbatnik.

– To ty go złamałaś. Jesteś niemądry. Zabieraj ten karabin, bo nie mogę pisać.

Trzymając rękę na karabinie, rozdeptał nogą kawałek herbatnika, który spadł na podłogę.

– Masz.

Alice nie zwróciła na to uwagi. Upuścił drugi kawałek i zrobił to samo. Alice uchwyciła jedną ręką krawędź stołu, a drugą pióro i usiłowała skoncentrować się na tym, co napisała.

„Po głębokim namyśle doszłam do wniosku, że muszę odrzucić Twoją propozycję. Jej cena – fakt, że musiałabym zdać się na ciebie – jest zbyt wysoka. Nie mogę tego uczynić. Zbyt duże rościsz sobie prawo do decydowania. Nie mogłabym oddychać. Nie jestem pewna, czy Ci ufam”.

Powinnam mu to powiedzieć osobiście, pomyślała, a nie pisać do niego. Ale jeśli zacznę z nim rozmawiać, będzie się ze mną spierał i próbował nakłonić, bym się zgodziła. I tak jak ostatnim razem zacznę pewnie wygadywać rzeczy, których nie powinnam mówić.

– Karabin – powiedział głośno James. – Karabin, karabin, karabin.

Pchnął go mocno i uderzył ją w dłoń, którą pisała. Objęła ją drugą ręką, wściekła i obolała. James obserwował matkę.

– Karabin – powtórzył mniej pewnym już głosem.

– Odejdź – powiedziała Alice. – Nie przeszkadzaj mi, dopóki



nie skończę pisać listu. Idź pobaw się z Tashie.

Potrząsnął przecząco głową, ale widok czerwonej plamy na dłoni matki trochę go zmieszał. Wczołgał się pod stół, położył na podłodze i oparł policzek na stopie Alice. Pa chwili poczuła, jak jej sandał zaczyna robić się mokry od łez. Poruszyła stopą tak, by James to poczuł, i z wielkim wysiłkiem wzięła do ręki długopis.

„Nie mogę – pisała – stać się dla Ciebie cudownym lekarstwem na wszystkie twoje frustracje. Nie chcę już nigdy czuć się zobowiązana. Jestem Ci wdzięczna, ale wolę być taka na odległość, na równych prawach”.

Poczuła rękę Jamesa na swej drugiej nodze.

– Jamie? Łaskoczesz mnie... Zachichotał cicho.

„Podszedłeś mnie, prawda? – pisała dalej. – Zmusiłeś do mówienia. Wolę nie zastanawiać się, co Tobą kierowało i dlaczego chcesz mi pomóc. Ale to, co mi się przytrafiło, sprawiło, że z przedmiotu w tej historii stałam się jej podmiotem i teraz nikt nie może mną dysponować”.

Podpisała; „Pozdrawiam – Alice”. Kiedy list został już przez Jamesa zaklejony, a znaczek nalepiony, wsadziła Charliego do wózka i poszła szukać Natashy. Dziewczynka ozdabiała parapet na piętrze muszelkami przywiezionymi z Kornwalii. We czwórkę poszli na pocztę. Po drodze spotkali Lettice Deverel, która zachowywała się bardzo miło i naturalnie i zaprosiła ich do siebie na herbatę i spotkanie z papugą. Kiedy wrócili do domu, Alice przygotowała na lunch kanapki z serem. Jedli je w ogrodzie, a dzieci rozmawiały o tych wszystkich rzeczach, które będą robiły, kiedy tatuś i Clodagh wrócą znów do domu.

– . Widziałaś się z nią? – spytała Clodagh.

Lettice trzymała słuchawkę w pewnej odległości od ucha.

– Tak. Widziałam.

– I? I C O?

– Nie rozmawialiśmy na twój temat, jeśli o to ci chodzi.

– Jak wyglądała?

– Trochę zmęczona, to wszystko.

– Lettice – krzyknęła Clodagh. – Jak możesz być dla mnie tak

okropna?

Zapadła cisza. Papuga cmokała z zadowoleniem trzymając winogrono.

– Kiedyś myślałam – odezwała się po chwili Lettice – że jesteś obiecującą i oryginalną młodą dziewczyną. I do tego odważną. Teraz sama już nie wiem. Cała ta historia bardzo mnie przygnębia. Wydajesz mi się drugą Heddą Gabler – nic oprócz stylu i płytkiego egoizmu.

Siedząc na stole w londyńskim mieszkaniu swych szczęśliwych przyjaciółek, Clodagh zaczęła płakać.

– Tylko że ty masz serce – ciągnęła Lettice. – Wiem, bo widzę, że zostało zranione. Och, droga Clodagh, błagam cię, zrób coś wreszcie ze swoim życiem.

– Nie! – zaskrzeczała papuga. – Nie. Nie. Nie. Nieładna.

Wyrzuciła z klatki ogonek winogrona.

– Nie mogę z tego zrezygnować – powiedziała Clodagh.

– Nie mogę. Umrę.

– Wręcz przeciwnie, będzie ci się żyło o wiele lepiej.

– Czy ona za mną tęskni? Czy wygląda, jakby tęskniła?

– Nie zadawaj mi głupich pytań. Zapytaj lepiej, jak się mają twoi biedni rodzice.

– No więc?

– Czekają niecierpliwie na wiadomość od ciebie. Powinnaś zadzwonić do nich, nie do mnie.

– Ich nie mogłabym spytać o Alice.

– Nikogo nie powinnaś o to pytać.

– A co z dziećmi? Wspomniały o mnie choć raz?

– Nie. Rozmawialiśmy tylko o papudze.

– O, papuga – odezwał się ptak. – Kochana papuga. Aj, aj, aj.

– Tak bardzo chciałabym wrócić – powiedziała Clodagh słabym głosem.

– Nie wątpię.

– Ale nie mam zamiaru przed nikim się płaszczyć...

– Jeśli nie zaczniesz działać, Clodagh Unwin – stwierdziła Lettice – i nie podejmiesz sama jakiejś decyzji, może się okazać,

że Alice o wszystkim już za ciebie zadecydowała.

– O czym ty mówisz? Co tam się dzieje? Co Alice... ?

– Chodzi mi tylko o to, że Alice ma troje dzieci i żadnych pieniędzy i nie może próżnować tak jak ty.

– Czy Martin był u niej?

– Nie. Martin mieszka z przyjacielem w Salisbury.

– Jadę do domu. Nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą...

– Zastanów się! – krzyknęła Lettice w słuchawkę. – Sama spróbuj trochę pomyśleć!

Papuga wczepiła dziób w druty klatki i zaczęła podciągać się w górę. Kiedy była pod samym sufitem, zawisła na chwilę do góry nogami, po czym z ogromnym spokojem powiedziała: „Psiakrew!” Lettice zaczęła się śmiać. Zachwycona papuga przyłączyła się do niej. A Clodagh, słysząc te wesołe odgłosy z Pitcombe, zrozpaczona odłożyła słuchawkę.

Martin po prostu czekał. Przestał rozmawiać na temat Alice z kimkolwiek, a szczególnie z matką. Miał bardzo wygodny pokój w domu przyjaciela na skraju Close w Salisbury, ciężko pracował i raz w tygodniu odwiedzał dzieci. Alice wychodziła z domu, gdy miał przyjść. Starał się grać często w tenisa i czasem w golfa, przyjął również zaproszenie na polowanie do Sutherland w październiku. Po cichu czynił plany, by sprzedać Grey House. Cokolwiek miało się stać, absolutnie nie mogli tam zostać.

Pobyty w Kornwalii w jakimś stopniu wrócił mu siły, a już na pewno zbliżył go do dzieci. Lubił z nimi przebywać, ale zdumiewało go, że wymagały wielu starań, ciągłej opieki i były tak bezradne. Poza krótkim okresem po narodzinach Charliego nigdy nie był za nie odpowiedzialny. Nie lubił tego, ale gdyby musiał, umiałby pomóc Alice. W tej chwili był gotowy do robienia wielu rzeczy. I na tym właśnie polegał cały kłopot.

Nic go już teraz nie doprowadzało do wściekłości, nie było rzeczy, której nie mógłby stawić czoła lub którą warto było się przejmować. Kiedy zastanawiał się, co tak naprawdę ma w tej chwili dla niego znaczenie, nic nie przychodziło mu do głowy. Doszedł więc do wniosku, że będzie żył po prostu z dnia na dzień,

na tyle zwyczajnie i przyjemnie, na ile się da, i poczeka. Wtedy Alice będzie musiała wykonać pierwszy ruch. I tak będzie najsprawiedliwiej. Nieprawdaż?

W piątkowe wieczory Sam Meadows chodził na zakupy. Polubił te cotygodniowe wyprawy głównie dlatego, że sklep pełen był ludzi, którzy właśnie skończyli pracę i oczekiwali nadchodzącego weekendu z ulgą i podnieceniem. Wraz z upływającymi latami swej samotnej egzystencji odkrył z rozbawieniem, że starał się nie mieć żadnych obowiązków uniwersyteckich w piątkowe wieczory, by móc bez przeszkód chodzić na zakupy. Zauważył również, że zaczął kupować co tydzień te same rzeczy: whisky, biały chleb, dżem wiśniowy, makaron i słoiki z sosem pomidorowym. Co tydzień również podchodził do tej samej kasy, ponieważ siedziała przy niej milutka kobietka, która – gdy się do niej zbliżał – spuszczała oczy, starając się bez powodzenia ukryć uśmiech.

Od czasu gdy opuścił Elizabeth, wiele kobiet próbowało z nim zamieszkać. Dwóm z nich pozwolił na to, ale obie miały zbyt zdecydowane poglądy na temat tego, jak należy żyć, i nie były w stanie zachować ich dla siebie. Jedyna kobieta w przeciągu tych dziesięciu lat, której pozwoliłby zamieszkać ze sobą i kierować jego życiem, odmówiła. Lubiła jego łóżko, ale poza nim wolała własne życie. Właśnie dlatego Sam wciąż ją kochał i zaprzestał kolekcjonowania swych uczennic, jakby to były lale Barbie. Nadal z nim flirtowały, szczególnie gdy spóźniały się z pracami, ale teraz mógł im na to pozwolić. Poza tym na uniwersytecie zaczął właśnie działać groźny kobiecy Komitet do Walki z Molestowaniem Seksualnym.

Do emerytury zostało Samowi pięć lat. Postanowił, że po skończeniu pracy zamieszka w wiosce rybackiej w Walii i napisze pracę o potędze słowa, a książka stanie się obowiązkowym podręcznikiem w szkołach. Następnie zajmie się pisaniem uproszczonych przewodników po Biblii i literaturze klasycznej. Po trzydziestu latach pracy uniwersyteckiej wciąż wyprowadzał

go z równowagi fakt, że inteligentni studenci literatury byli ignorantami w obu tych dziedzinach i nie potrafili przebrnąć przez jedną linijkę Milтона bez korzystania ze źródeł. A potem prawdopodobnie umrze i zostanie pochowany na surowym walijskim stoku pod kołującymi nad nim mewami. Nie chciał nagrobka, ale pragnął, by był tam jakiś znak dowodzący, że przez całe życie miał zamiar być poetą. Zależało mu na tym, żeby potomność wiedziała, iż mimo pozorów lenistwa i lubieżności dążył do bardziej wzniosłych celów.

Pewnego sierpniowego piątku, stojąc w kolejce do kasy, został poczęstowany przez jakieś towarzyskie niemowlę bardzo małym i mokrym cukierkiem. Przyjął go z wdzięcznością i zjadł. Cukierek smakował jak perfumowane mydło i przypominał słodczyce jego dzieciństwa. Niemowlę skojarzyło mu się z Charliem. Przypomniało o istnieniu wnuka. Wczesną wiosną Alice przysłała Samowi zdjęcia Grey House i napisała, że dom będzie gotowy na jego coroczne letnie odwiedziny. Potem już się nie odezwała. Nie przejmował się tym specjalnie, tłumacząc sobie, że Alice jest prawdopodobnie bardzo zajęta, podobnie zresztą jak on sam. Teraz jednak stojąc w kolejce i uśmiechając się do obcego dziecka (nie było wcale ładne, miało wysokie zaokrąglone czoło, a jego mała bródka lśniła od śliny, ale podzielenie się cukierkiem było prawdziwie wspaniałomyślnym gestem u kogoś tak młodego), pomyślał, że może milczenie córki zaczyna stawać się nieco dziwne. Minęło już pół wakacji, a ona nawet nie zadzwoniła. Nie winił jej za to, w końcu sam też nie telefonował. Myśląc o Alice odkrył nagle, że chciałby zobaczyć ją i dzieci, a wkładając zakupy do samochodu poczuł, że pragnie tego coraz bardziej.

Kiedy dotarł do domu, położył paczki na kuchennym stole obok resztek wyśmienitego lunchu składającego się ze szkockiej zapiekanki i guinnessa, i podszedł do telefonu. Odebrała Alice, a w jej głosie wyczuwało się podniecenie. Gdy jednak usłyszała, kto dzwoni, natychmiast się opanowała.

– Co słyhać? – zapytał Sam. Przez chwilę panowała cisza.

– No, Allie. Czy coś jest nie tak?

– Mnóstwo rzeczy się wydarzyło...

– Dobrze się czujesz?

– O, tak. Doskonale.

– A dzieci?

– Świetnie. Naprawdę.

– Przystań przede mną grać – rzekł Sam. – Wiesz przecież, że nie jestem wścibski. Czuję, że coś jest nie tak.

– Martin już tu nie mieszka...

– Allie...

– Zakochałam się w kimś. Martin mieszka w Salisbury. Sam przycisnął słuchawkę do skroni, aż zaboląło, i zamknął oczy.

– Przyjadę...

– Proszę cię. Nie musisz. Naprawdę daję sobie radę. Muszę podjąć jeszcze wiele decyzji i powolutku to robię.

– A gdzie jest ten drugi facet? Z tobą?

– To nie jest facet – odpowiedziała Allie. – To dziewczyna.

Bardzo powoli Sam podniósł zaciśniętą pięść i zaczął uderzać się nią rytmicznie w czoło, buch, buch.

– Dziewczyna.

– Tak.

Sam jęknął cicho.

– Allie...

– Nie mogę wytłumaczyć ci tego przez telefon. Ani przekonać cię, że czuję się naprawdę dobrze. Smutno mi oczywiście, ale poza tym wszystko jest w porządku.

– A dzieci, jak dzieci...

– Tęsknią za Martinem i tęsknią za Clodagh – tak ma na imię – ale jakoś dajemy sobie radę...

– Myślałaś, że to Clodagh dzwoni...

– Tak – odpowiedziała Alice. – To prawda. Nie miałam od niej wiadomości od trzech tygodni.

– Jutro do ciebie przyjadę.

– Bardzo bym tego chciała – powiedziała po krótkiej chwili milczenia.

– Trzymaj się. – Był bliski łez.

- Trzymam się. Obiecuję ci, że z niczego nie spadnę.
- Będę u ciebie koło piątej po południu. Albo nie, przyjadę wcześniej, na lunch.

Odłożył słuchawkę. W kuchni panowała zupełna cisza poza bzyczeniem muchy latającej koło celofanowego opakowania makaronu. Sam podszedł do stołu, wyciągnął z kartonu dopiero co kupioną butelkę whisky i zaniósł ją w ramionach do sypialni. Wciąż obejmując butelkę, położył się na łóżku i zaczął płakać, płakać jak dziecko.

Pan Finch rozpakowywał nowozelandzkie jabłka z niebieskiej bibułki. Powinna robić to Michelle, ale złożyła wymówienie, oświadczając, że nie podoba jej się jego stosunek do pani Jordan. Musiała powiedzieć coś podobnego matce, bo po krótkim czasie opuściła Pitcombe i zamieszkała ze swą zamężną siostrą w Poole, a Gwen kupowała dwa razy tyle papierosów co zwykle i chodziła przygnębiona. Pomoc w sklepie zaproponowała jedna z córek Crudwellow, Heather, która nosiła tak obcisłe marmurkowe dzinsy, że człowiek zastanawiał się, jak w ogóle włożyła w nie stopy. Pan Finch jednak odmówił, panicznie bojąc się zarówno jej rozwiązłości, jak i lepkich rąk. Heather przyprowadzała więc do sklepu swoje dwie przyjaciółki, żeby się z niego naśmiewać, i Finch czuł się bardzo nieszczęśliwy. Nawet pani Finch, której sympatia dla męża ulotniła się dawno temu z powodu jego złych manier, szczerze mu teraz współczuła.

- To wszystko wina Alice Jordan. Gdyby nie ona, do czegoś takiego nigdy by nie doszło.

Mówiła tak teraz bardzo często, w przerwach przypominając mężowi, że jako kobieta doświadczona nie wydaje nigdy sądów nad bliźnimi. W opinii pana Fincha prawie wszyscy osądzili już Alice Jordan. Wydawało się, że tylko on tego nie uczynił, nie dlatego jednak, że nie miał zdania w tej kwestii, lecz ponieważ był tak bardzo tym wszystkim oszołomiony. Nie potrafił ocenić tak odmiennego romansu, ponieważ nigdy przedtem z czymś takim się nie spotkał. Najbardziej wstrząsnął nim fakt, że te specyficzne uczucia i namiętności mogły się spełnić, co widać było wyraźnie



po twarzy Alice Jordan. To wszystko rzeczywiście się działo i wprowadzało pana Fincha w osłupienie. Chociaż bowiem Alice robiła dobrą minę do złej gry, wyraźnie widać było, że naprawdę cierpi bez Clodagh, że odczuwa taki ból, jak młode żywotne korzenie wrywane z ziemi, w chwili gdy przyjęły się i zaczęły wzrastać. Często przychodziło do głowy panu Finchowi, że rozumie poezję o wiele lepiej niż życie, ponieważ życie było częstokroć zbyt dziwne, by je pojąć.

Kilka osób czuło podobnie jak on. Domyślał się tego na podstawie ich uczynków. Słyszał, że pani Macaulay odwiedziła Grey House, by podarować Alice szczeniaka. Mówiła mu o tym Gwen, pełna pogardy dla pani Macaulay i oburzona na Alice, która podziękowała za psa, a potem poszła do toalety i zaczęła tam rozpaczliwie płakać. Buntie Payne, choć zmartwiona, ilekroć ktoś wspomniał imię Alice w sklepie, rzuciła się pewnego razu rozwścieczona na Sally Mott, która powiedziała, że w miasteczku nie ma miejsca dla osób dających swym zachowaniem zły przykład.

– Niech się pani nie waży powiedzieć złego słowa na Alice Jordan! – krzyknęła Buntie.

Sally Mott wybiegła ze sklepu, a panna Payne, cała we łzach, zmuszona była usiąść, napić się wody i wyjaśniać bez końca, że jest mocno przekonana, chociaż nie potrafiła powiedzieć, o czym.

W pubie, w którym pan Finch pijał raz w tygodniu piwo, o wiele prościej traktowano całą sprawę. Może dlatego, że nie przychodziło tam zbyt wiele kobiet. Przy barze rzadko mówiło się o Alice i Clodagh, a bezceremonialne dyskusje rozpoczynane zawsze przez Stuarta Motta skończyły się wraz z początkiem sezonu piłkarskiego. Jeśli chodzi o kościół – no cóż, tu pan Finch, którego krucha wiara zrodziła się z zamiłowania do rytuału i z silnego pragnienia, by pewnego dnia regularne chodzenie do kościoła czymś zaowocowało, bardzo się rozczarował. Spodziewał się kazania o grzechu, pełnego słów dotyczących zła i występku. Nie chciał, by potępiono Alice, ale potrzebował mocnego moralnego wsparcia dla samego siebie. Zmuszony był zaś

zadowolić się kazaniem o świętym Barnabie. Dziwną rzeczą było to, pomyślał pan Finch wpatrując się w trzymane w dłoni jabłko, że cała ta afera z Alice Jordan i Clodagh Unwin spowodowała, iż człowiek zaczynał zastanawiać się nad sobą. Wydawało się, że stoisz na pewnym gruncie, a on nagle zaczął usuwać ci się spod nóg. Pan Finch położył jabłko na półce i zmarszczył brwi. Za jego plecami Sam lekko odkaszlnął.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak mogę się dostać do Grey House?

Finch odwrócił się wolno. Sam miał na sobie pogniecioną niebieską koszulę i czerwoną apaszkę na szyi. Wyglądał, jakby obracał się w kręgach artystycznej cyganerii, co wzbudziło w panu Finchu zawiść. Miał nadzieję, że jego własne spodnie z poliestru nie są zbyt widoczne.

– Z wielką przyjemnością – odparł.

Wyszedł z Samem na chodnik i wskazał na wzgórze.

– Proszę jechać prosto pod górę, aż dojedzie pan do domu ze studnią w ogrodzie – studnia jest tylko ozdobą – i tam proszę skrócić w prawo. Brama Grey House będzie wprost przed panem.

Chciał, żeby gość powiedział, kim jest i po co tam jedzie, ale Sam podziękował tylko, wsiadł do samochodu – w środku panował bałagan, jak zauważył z podziwem pan Finch – i odjechał zgodnie ze wskazówkami. Niepocieszony pan Finch wszedł z powrotem do sklepu stwierdzając, że taki jest już los osób pracujących w usługach – ci, którym służą, w ogóle ich nie zauważają.

Alice, która nawet jako dziecko nie była wylewna, teraz chciała, by Sam ją przytulał. Trzymał ją więc w objęciach bardzo długo, a ona nie płakała ani nie mówiła zbyt wiele. Powiedziała tylko, że cieszy się z jego przyjazdu i że nie zdawała sobie sprawy, iż przebudzenie będzie aż tak bolesne. Potem bez słów objęła ojca i oparła policzek na jego piersi. Sam poczuł się tym bardzo wzruszony. Po wielu długich minutach westchnęła, odsunęła się powoli i poszła do spiżarki po butelkę wina. Sam oparł się o drzwi i przyglądał stojącemu pod jabłonią wózkowi,

który co jakiś czas kołysał się gwałtownie. Jedną z rzeczy dotyczących ludzkiej natury, która nigdy nie przestała zadziwiać Sama, było to, że bez względu na tragedię życie toczyło się nadal. Uczucia rwały się na strzępy, zdrowie i umysł podupadały, życie legło w gruzach, ale maszyna codzienności wciąż nieubłaganie działała, posiłek po posiłku, pranie, zamiatanie, spanie. Może, pomyślał biorąc od Alice kieliszek wina, to właśnie wszystkie te monotonne obowiązki powstrzymywały człowieka przed szaleństwem. Może konieczność wyprania ubrań ratowała zdrowie psychiczne.

– Może powinnam była ci powiedzieć – zaczęła Alice siadając na rogu stołu – ale nie mówiłam nikomu. Nie chciałam. Czułam się taka wolna. Rozumiesz, po tylu latach ciągłego powinnam to, muszę tamto, pojawiło się nagle czyste, wyraźne, silne chęć. To była taka ulga. Nie miałam po prostu innego wyjścia. – Spojrzała na Sama. – Społeczeństwo nie zawsze wie, co jest naprawdę dla człowieka dobre.

Sam napił się trochę wina.

– W większości przypadków wie. Większość ustala zasady i wtedy nazywamy ją społeczeństwem. Jedna z moich koleżanek mówi, że ma za złe społeczeństwu ułatwienia w otrzymaniu rozwodu. To obopólna uraza. Najprawdopodobniej będzie sama.

– I tak jest zawsze, prawda? To ciężka walka, uczenie się jak żyć samemu...

– Nie sądzę – Sam popatrzył na nią – że należy dążyć do wygrania tej walki.

– Cierpię – powiedziała Alice. – I to bardzo. Nie ma chyba takiego miejsca na moim ciele, które by mnie nie bolało. Ból sprawia mi każde uczucie, którego doświadczam, najbardziej zaś miłość, której pragnę i którą chcę dawać.

Sam podszedł do Alice i wziął w rękę jej warkocz. Oparła na jego ramieniu głowę.

– Coś ci zacytuję.

– Poezję?

– George Eliot.

- Przeczytałam tylko „Młyn nad Flossą” – powiedziała ponuro.
- To z „Adama Bede”. Spojrzała na gors jego koszuli.
- Powiedz.

„Przyzwyczajamy się przecież – zaczął Sam spoglądając gdzieś w przestrzeń – tak samo do moralnego jak do fizycznego bólu, chociaż nie przestajemy go odczuwać, staje się on przywyknieniem tak dalece, iż przestajemy rozumieć stan wolny od niego. Pragnienia zamieniają się w poddanie, i radzi jesteśmy z dnia, który byliśmy w stanie przenieść w milczeniu, i działać tak, jakby nas nie tłoczył ciężar cierpienia”\* [George Eliot „Adam Bede” w przekł. Walerii Marrene, Wwa 1891.]

Zapadła cisza. Milczeli przez długą chwilę i żadne z nich się nie poruszyło. Z holu doszedł ich jakiś hałas, drzwi do kuchni otworzyły się i stanęła w nich Clodagh trzymając w ramionach piszczącego z uciechy Jamesa.

– Wiesz, po co wróciłam – spytała Clodagh, kiedy przygotowywały kolację. – Prawda?

– Tak.

– Ale i tak ci przypomnę. Przyjechałam, żeby cię stąd zabrać. Ciebie i dzieci. Wszystko sprzedaję. Możemy jechać, dokądkolwiek chcemy.

Alice nie przerywała krojenia pieczarek. Na górze Sam czytał dzieciom „Kubusia Puchatka”, naśladowując australijski akcent przy partiach Kangurzy i Maleństwa. Do kuchni docierały od czasu do czasu wybuchy śmiechu. Charlie, ubrany w śpioszki, siedział na swoim wysokim krzeselku i jadł palcami maliny. Balon, najedzony, spał przy piecu. Przez otwarte kuchenne drzwi widać było letni pejzaż oświetlony złotawym blaskiem zachodzącego słońca.

– Nie przeciągajmy tego – powiedziała Clodagh. – Właśnie to zrobiłaś, zanim wyjechałam. Powiedziałaś, że musisz pomyśleć. Nie było mnie tu przez miesiąc i czułam się koszmarne. Ty też?

– Tak – Alice wrzuciła pieczarki do rondla. – Głupia byłam sądząc, że znajdę trochę spokoju. Byłam sama, ale nie miałam kiedy pomyśleć. Czułam się jak w jednej z tych obrotowych

maszyn do polerowania kamieni. Tylko że ja byłam jedynym kamieniem, który nie dawał się wypolerować.

– Potrzebowałam mnie – stwierdziła Clodagh. Zapadło milczenie, a po chwili Alice powiedziała:

– Pragnęłam ciebie.

– Potrzebowałam.

– Sprawdziłam słowo „potrzebować” w słowniku. Było napisane, że jest to stan, w którym człowiek potrzebuje pociechy. Wydało mi się to dość kiepskie.

Clodagh położyła dłonie na ramionach Alice i odwróciła ją twarzą do siebie.

– Jeśli nie będzie mnie przy tobie, przestaniesz żyć.

– T y tak mówisz.

W oczach Clodagh pojawiły się łzy.

– Alice. Och, Alice, zmiłuj się. Zdjęła ręce z jej ramion.

– Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak okropnie czułam się w Londynie. Eleanor i Ruth były dla mnie bardzo miłe, ale one mają siebie. Mama i tata próbują zachowywać się życzliwie, ale nie mają o niczym pojęcia. Miłość do ciebie sprawiła, że nigdzie dobrze się nie czuję, bo nie nadaję się dla nikogo prócz ciebie. Przez ciebie nie potrafię już współżyć z innymi. Nie pragnę niczego oprócz uczynienia cię szczęśliwą. Ciebie i twoich dzieci. Zrobiłabym dla nich wszystko.

Spojrzała na Charliego, który włożył sobie malinę na palec jak napałek i przyglądał się jej ze zdumieniem.

– Uwielbiam Charliego – powiedziała. Usiadła na krześle i oparła łokcie na kolanach.

– Nie cierpię skamlać w ten sposób. Ale to takie ważne. Pragnę dawać tobie i dzieciom. Wiem, że stanę się lepszym człowiekiem, jeśli to zrobię. Myślałam sobie, kiedy byłam w Londynie, że chciałabym dla was wszystkich pracować. Czułam się wtedy taka szczęśliwa.

Alice usiadła koło niej. Wyciągnęła rękę i pogładziła ją po rozwichrzonych włosach. Pomyślała, nie po raz pierwszy zresztą, że kiedy Clodagh była zmartwiona, wyglądała jak zraniony

egzotyczny ptak z wystrzępionymi przepięknymi piórami i połamanymi kruchymi kośćmi.

– Clodagh.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Clodagh, nie chciałam mówić tego teraz, ale wydaje mi się, że dotarliśmy do momentu, w którym muszę to powiedzieć. Inaczej nie będziemy w stanie ze sobą rozmawiać. Nie wyjadę z tobą. Jeśli może cię to jakoś pocieszyć, wiedz, że do Martina też nie wrócę. Powiesz pewnie, że zachowuję się pretensjonalnie, ale podjęłam taką właśnie decyzję, bo życie z którymkolwiek z was nie byłoby uczciwe. I nie chodzi tu wcale o pożądanie, ale o wszystkie te resztki uczuć, które musiałabym ciągnąć za sobą do każdego z tych związków i od których nigdy nie byłabym w stanie się uwolnić. Nie ma sensu nikogo winić, a tym bardziej mnie.

Po jakimś czasie Clodagh uniosła twarz i spojrzała na Alice z wściekłością.

– Zastanawiam się czasem, czy ty w ogóle masz serce... Alice wstała, podeszła do Charliego i wzięła go na rękę.

– Nie mogę cały czas mówić ci, że cię kocham. Jeśli będę to bez końca powtarzać, słowo to straci jakiegokolwiek znaczenie, jak jakiś głupi wierszyk. Ale kocham cię. Jeśli naprawdę cierpisz, tak jak mówisz, powinnaś być w stanie wyobrazić sobie, jak ja się czuję. Boję się przeraźliwie życia bez ciebie. Ale tak być musi. – Oparła głowę o szyję Charliego. – Nie mówię ci tego w sposób, jaki sobie zaplanowałam, ale to chyba nieuniknione. Rozmawiając z Martinem też na pewno wszystko zagmatwam.

Clodagh płakała. Charlie patrzył na nią, a jego twarzyczka zaczęła się marszczyć.

– Widzisz – powiedziała Alice. – Musimy z tym skończyć. Musimy skończyć z tymi nie przespanymi nocami, płakaniem, sprawianiem sobie nawzajem bólu...

– Wszystko ma być tak jak ty chcesz, tak?! – wykrzyknęła Clodagh.

Alice poczuła rosnącą irytację.

– Jakże ty nie znosisz, kiedy coś nie jest po twojej myśli!

Charlie zaczął płakać. Próbując go uspokoić, Alice zaniósła go na górę. Z pokoju Natashy doszedł ją głos Królika wyjaśniający coś wytrwale Tygrysowi, który go wcale nie słuchał. Alice zaniósła Charliego do łóżeczka, gdzie natychmiast z zadowoleniem ułożył się do snu. Włączyła pozytywkę i w pokoju rozległy się zmienne tony kołysanki. Przypuśćmy, pomyślała pochylając się nad dzieckiem, które ssało z zapalem swe małe paluszki, że zamiast przychodzić tu i próbować na siłę dopiąć swego, Clodagh oznajmiłaby mi, że wszystko skończone i że spotkała kogoś innego? Co wtedy? Czy byłoby łatwiej? Łatwiej, ale gorzej. Jeśli coś się raz zaczęło, nie było już możliwości odwrotu. Clodagh wiedziała o tym przez całe życie, dlatego właśnie tak teraz cierpiała, bezsilna i pozostawiona sama sobie.

W nagłym odruchu litości zbiegła do kuchni, ale Clodagh już tam nie było. Na stole noże i widelce rozrzucone były jedne na drugich, w dziecinnym geście miłości i gniewu.

– Więc chcesz rozwodu – powiedział Martin.

– Tak.

– Muszę ci powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

– Tak. Wiem.

– To nie moja wina.

– To zbyt skomplikowane, by mówić o czyjejkolwiek winie – odpowiedziała Alice. – Lub zadośćuczynieniu.

– Ja tak tego nie widzę.

– Wiem o tym. Myślisz, że gdybym upokorzyła się teraz i zaczęła nieszczerze cię przeproszać, od razu poczułbyś się lepiej i wszystko byłoby w porządku. No cóż, nie stałoby się tak, ponieważ n i c w życiu nie jest takie proste, a już szczególnie to.

Martin przeprowadził się do mieszkania z widokiem na rzekę. Bardzo nalegał, by spotkali się u niego. Nie wiedziała, czy chciał w ten sposób dowieść swej niezależności, czy też zademonstrować, jak puste jest teraz jego życie. Słoneczne mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze dużego domu w stylu regencji i było urządzone nieodpowiednimi nowoczesnymi meblami. Siedzieli w dwóch obitych brązowym sztruksem

fotelach i obserwowali rzekę, po której płynęła łabędzia rodzina z trojgiem młodych o czarnych dziobach i beżowych piórach.

– Nie możesz zaprzeczyć, że to ja jestem ofiarą.

– Mówisz, jakby moim zamiarem było zranienie cię, ukaranie. Jakbym wszystko to zrobiła przez złośliwość.

– Bo tak było. Nudziłem cię. Rozczarowałem. Alice milczała.

– Pewnie żałujesz, że w ogóle za mnie wyszłaś. I tym razem nie odpowiedziała.

– Ty w ogóle nie powinnaś była za nikogo wychodzić – ciągnął rozgorączkowany. – Do tego musisz się przyznać, choćbyś nawet nie chciała dostrzec innych rzeczy.

Alice nie odrywała wzroku od łabędzi.

– Nie sędzę, żeby sędzia miał ogromną ochotę przekazać ci opiekę nad dziećmi.

– Dlaczego upierasz się, że jestem twoim wrogiem?

– Bo jesteś. Upokorzyłaś mnie w najgorszy sposób, w jaki kobieta może upokorzyć mężczyznę. To twoja sprawka.

– Wolałbyś więc, żebym przespała się z mężczyzną, wyjawiając w ten sposób, że nie jesteś najlepszym kochankiem?

– Tak – powiedział Martin. – Nie. – Zakrył twarz dłońmi.

– Przestań myśleć o seksie. Tu tak naprawdę nie chodzi o seks. Seks nie liczy się aż tak bardzo.

– Nie mogę...

– Nie chcę rozwodu po to, by żyć z Clodagh. Chcę go, ponieważ mam zamiar mieszkać sama. Jeśli wydaje ci się, że poczujesz się lepiej utrudniając mi to, no cóż, nie mogę cię powstrzymać. Masz po swojej stronie mnóstwo ludzi. Ale ja nie zamierzam prowadzić wojny. Wolę być twoim przyjacielem niż wrogiem. Wolałabym być... przyjaciółką Clodagh niż jej wrogiem. Ale mimo to nie będę udawała, że żałuję tego, co się stało, bo byłoby to kłamstwo.

– Chyba oszalałaś.

– Łatwiej myśleć, że tak jest.

– Łatwiej!

– Jeśli powiesz wszystkim, że oszalałam, nie będziesz musiał



zastanawiać się, kim jestem i co zrobiłam. Nie będziesz próbował zrozumieć, że to było jak najbardziej ludzkie. Nie będziesz nawet musiał szukać w tym czegoś pozytywnego.

Wstała.

– Muszę iść. Dość tego pouczenia. Zdaje się, że mam teraz okropną skłonność do robienia ludziom wykładów.

Martin spojrział na nią. Nie chciał, żeby odchodziła, a nie wiedział, jak ją zatrzymać.

– Odwiedzę dzieci w sobotę...

– Oczywiście.

– Jak dużo wiedzą?

– A czego można się spodziewać w ich wieku – odpowiedziała.

– Chcą po prostu, żeby wszystko wróciło do normy.

– A czyja to wina, że tak nie jest? – krzyknął Martin nie mogąc się powstrzymać. – No, czyja?

Kiedy wyszła, poszedł do łazienki i patrzył przez okno, jak idzie przez dawne podwórze kuchenne do samochodu. Jego samochodu, tak naprawdę; to on go przecież w końcu kupił. Alice miała na sobie długą dzinsową spódnicę, czerwoną koszulę i zamszową kamizelkę. Przerzucony na plecy warkocz był prosty i ciężki. Martin oparł czoło o szybę. Alice otworzyła drzwi samochodu i wsiadła do środka przytrzymując spódnicę. Martin zamknął oczy. Ogarnęło go dzikie, przerażające uczucie niepowetowanej straty.

Sam, siedząc w ogrodzie Grey House z egzemplarzem „Times Literary Supplement”, starał się pilnować wnuków. Zajęcie to kojarzyło mu się z nadzorowaniem egzaminów szkolnych, z wyjątkiem tego że dzieci nie wbijały w niego udręczonego, pełnego wyrzutu spojrzenia kandydatów obezwładnionych przez treść lub niedostateczne przygotowanie. Zamiast tego wydawały się zaabsorbowane jakimś niezwykłym obrzędkiem, który odprawiały pod kocem rozwieszonym między kuchennymi krzesłami. Co jakiś czas uroczyście przynosiły mu na małym talerzyku główki stokrotek, które Charlie miał wyraźną ochotę zjeść. Sam nie zabraniał mu. W końcu w elżbietańskiej kuchni

stosowano z powodzeniem fiołki i nagietki.

Jego obecność w domu przez ostatnie kilka dni wprowadziła pewną stabilizację. Powstał cały rytuał dotyczący traktowania go: jako dziadka i jako mężczyzny. Instynktownie wyciągano ku niemu ręce prosząc o opiekę. Lubił to. Myślał sobie, że sprawiało mu to większą przyjemność teraz, niż gdy sam był ojcem, zupełnie do tej roli nie przygotowanym. Wnuki budziły jego ciekawość; zadziwiała go powaga towarzysząca rozwojowi Charliego. Przykro mu było, że jego własne dzieci niezbyt go interesowały, co jak mu się teraz wydawało, było świadectwem niedojrzałości. Dostrzegał typowo kobiecy praktyczny zmysł Natashy i cierpienia Jamesa, któremu brakowało takiego życiowego realizmu. Alice miała w sobie obie te cechy, co – jak sądził – było chyba normalne u osób naprawdę dojrzałych. Zauważył również ku swej wielkiej radości, że zaczął pełnić w domu córki jakąś funkcję. Rodzina zżyła się z nim w sposób, w który nigdy nie zbliżyła się do Martina, jak zauważyła pewnego razu ze smutkiem Alice.

– On jest za młody – odpowiedział wtedy Sam. – Tak jak ja byłem. Nadal zbyt dużo myśli o sobie.

Była zdecydowana odwiedzić męża. Sam ostrzegał, że to nic nie da, a Alice odpowiedziała, że teraz rzeczywiście nie, ale być może w przyszłości będzie miało jakieś znaczenie. Sam postanowił przedstawić jej swój plan, kiedy córka wróci. Zamieszkają razem. Pieniądze, które Alice otrzyma w udziale za Grey House i to, co jemu uda się dostać za mieszkanie, pozwoli kupić dom dla nich pięciorga niedaleko Reading. Wyobrażał już sobie, że będzie panował w nim spokój, każdy będzie miał miejsce dla siebie. Jeśli na przykład, jak już się urządzią, będzie chciała ich odwiedzić Clodagh, no cóż, nie będzie się sprzeciwiał. Martin też oczywiście mógłby przychodzić, kiedy tylko by zechciał.

Charlie przyczołgał się po trawie do dziadka i wspinał na jego nogę.

– Cześć, staruszk.

Twarcyzka Charliego rozpromieniła się. Sam pomyślał o swoich cotygodniowych wyprawach do sklepu i obiecał sobie, że

w przyszłości będzie wsadzał Charliego do wózka na zakupy. Posadził małego na kolanach.

– Chciałbyś mieszkać z dziadkiem?

Charlie był w tej chwili całkowicie pochłonięty guzikiem przy koszuli Sama.

– Moglibyśmy wziąć sobie psa.

Na drodze prowadzącej do domu rozległ się dźwięk klaksonu oznajmiający powrót Alice. Trzymając Charliego na rękach, Sam wstał i zawołał dzieci. Razem poszli pod garaż, by przywitać matkę.

Dom był bezspornie brzydki. Zbudowany z żółtawej cegły, z dachem pokrytym niebieską dachówką, stał w długim ogrodzie dotykającym drogi. Ogród był zaniedbany, rosły w nim bujne krzewy ostróżek, malwy i ozdobnego modraka morskiego. Była też jabłoń uginająca się pod ciężarem owoców: najwyraźniej zdarzało jej się to co roku, bo jedna z niskich ciężkich gałęzi oparta była na grubym drewnianym palu wbitym w ziemię.

Dom był brzydki i nie dało się z nim nic zrobić. Na górze znajdowały się cztery pokoje, na dole dwa, a w wąskim skrzydle z tyłu była łazienka nad ponurą kuchnią. Poprzedni właściciele byli zwolennikami płyt paździerzowych. Przybili je nad kominkiem, na drzwiach, nad poręczami i belkami i pomalowali na fiołkowy róż albo na morelowo, tak by zlewały się z sąsiadującymi ścianami. W bawialni kominek zbudowany był z lekko mieniących się kafelków, a pod każdym kranem w mieszkaniu widniały zielono-brązowe plamy.

Dwie mile dalej był na sprzedaż ładny dom z kamienia, z belkowym przytulnym wnętrzem. Naciskano na Alice, by go kupiła – nie ze względu na nią samą, ale na dzieci, które mogłyby mieszkać w jakimś przyjemniejszym miejscu. Alice była jednak nieugięta. Ostatnio wykazywała stanowczość w wielu sprawach, również przy wyborze Wschodniego Domu. Podjęła decyzję, że będzie mieszkała sama i że ze względu na dzieci nie wyjedzie z okolicy Salisbury. Przeniesie się na drugi koniec miasta, ale oboje z Martinem muszą być przygotowani na przypadkowe spotkania od czasu do czasu. Obstawała również przy tym, by dzieci często widywały się z ojcem.

Nowy dom wydał się Natashy ohydny. Jej sypialnia była wielkości kredensu i pachniała grzybami. Ściany oklejone były płową tapetą, a na suficie widniała jakaś szara plama. Alice obiecała, że pokój już wkrótce będzie wyglądał zupełnie inaczej,

ale Natasha nie chciała czekać, podobnie jak nie chciała wyjeżdżać z Pitcombe. Mówiła teraz matce dość często, że jej nienawidzi. Kiedy odkryła, że to nie pomaga, czuła się zażenowana i nieszczęśliwa. Mówiła to więc jeszcze raz, tym razem głośniej, żeby sprawdzić, czy skutkuje. Nawet szkoła nie była już taka sama jak dawniej, bez Grey House, do którego wracało się po południu, i bez Sophie w tym semestrze. Natasha zaprzyjaźniła się więc z powolną i pozbawioną wdzięku Charlotte Chambers, która miała w domu basen i ogromny salon z białym dywanem. W bawialni we Wschodnim Domu nie było żadnego dywanu, tylko kawałek słomianej maty na podłodze. Alice powiedziała, że ten pokój też wkrótce będzie śliczny, więc Natasha spędziła weekend z Charlotte, żeby matkę ukarać. Ale kara ta obróciła się przeciwko niej samej, ponieważ cały weekend tęskniła za rodziną. Wróciła w poniedziałek wieczorem, krzyknęła: „Nie cierpię tego domu”, po czym rozplakała się i przyłgnęła do matki.

– Wiem, że trudno to dostrzec, ale z każdym dniem posuwamy się naprzód – powiedziała jej Alice.

– Ale ja chcę wrócić.

– To by była najsmutniejsza rzecz, jaką mogłabyś w tej chwili uczynić. Nic nigdy nie jest takie, jakie ci się kiedyś wydawało. Bo ty sama się zmieniasz. Patrzysz na stare sprawy innymi oczami i one nie są już takie jak kiedyś.

Lettice Deverel przyjechała do nich na herbatę. Zajechała pod dom swoim starym samochodem, z papugą na tylnym siedzeniu. Ptak był bardzo kłopotliwym pasażerem, wrzeszczał przez większość drogi, ale dał się po przyjeździe ułaskawić kawałkiem jabłka. Lettice powiedziała, że papuga przeżyje ją najprawdopodobniej o sześćdziesiąt lat, więc musi znaleźć jakąś miłą interesującą osobę, która zaopiekowałaby się ptakiem po jej śmierci. James, oczarowany opanowaniem i poczuciem humoru papugi oraz jej małymi pazurkami trzymającymi jabłko, zaczął sobie wyobrażać, że to może on właśnie będzie tym miłym i interesującym opiekunem. Wpatrywał się płomiennym wzrokiem

w Lettice, próbując zwrócić na siebie jej uwagę.

– Margot Unwin chciałyby się z panią zobaczyć – powiedziała Lettice.

– O Boże...

– Ona naprawdę tego potrzebuje. To żalosne widzieć ją tak smutną i zagubioną; zawsze była osobą niezwykle sensowną. Nie może oczywiście porozmawiać z Ralphem, bo ona chce zrozumieć, a on nie może się na to zdobyć.

– To znaczy, że ona chce, żebym jej wyjaśnił a...

– Tak sądzę.

– O Boże – powtórzyła Alice.

– Pragnie, żeby pani przyjechała do Parku. – Lettice spojrzała na Alice. – Obawiam się, że Clodagh wraca do Ameryki.

– Spodziewałam się tego – powiedziała cicho Alice.

– Mam nadzieję, że to tylko chwilowy impuls.

– Myśli pani, że chce być w centrum, uwagi, że potrzebuje pociechy?

– Widzi pani, nikt jej nigdy przedtem nie zranił. Alice spojrzała na dzieci.

– Myślę, że dorosłemu człowiekowi trudniej przychodzi doznawanie pierwszych cierpień.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedziała Lettice. – W życiu nigdy się nie wie, które doświadczenie jest pożyteczne, a które szkodliwe. Czyż nie jest tak?

Po herbacie wyszły do szopy, gdzie Alice urządziła sobie pracownię. Sztalugi były już ustawione, a na stole stały fachowo rozmieszczone farby, butelki i słoiki na pędzle.

– Będę się sama utrzymywała. – powiedziała Alice. – Martin daje pieniądze na dzieci, ale ja sama na siebie zarobię. Najwyższy czas. – Wzięła do ręki rysunek. – Peter Morris zamówił obraz wnętrza kościoła w Pitcombe. Będę więc musiała jakoś tam się zakraść.

– Nigdzie nie będzie się pani zakradać – Lettice wzięła do ręki szkic. – Po co ten okropny dom? Kara za grzechy?

– Nie jest okropny. Jest prawdziwy. Niech pani poczeka, aż go

skończę. To dziwne, ale łatwiej jest mi to wszystko znosić. Jest mój. Częściowo dlatego pewnie, że nie jest tym, czego się ode mnie oczekuje. To nie przekora, tylko najlepszy sposób, by iść naprzód...

Przerwała. Lettice przyglądała jej się.

– Będzie się pani czuła samotna?

– Nie – odpowiedziała Alice. Wzięła od Lettice szkic i oparła go na sztaludze. – A pani jest samotna?

– Nie.

– No to pani rozumie...

– Tak – Lettice pomyślała o świecie, który wokół siebie stworzyła i który w zupełności jej wystarczał. – Tak, oczywiście, że rozumiem.

Sam przyjeżdżał prawie co weekend. Był cennym nabytkiem nie tylko ze względu na jego towarzystwo, ale także dlatego, że świetnie sobie radził z narzędziami. Był sam sobą zachwycony.

– Gdybyś powiedziała mi dziesięć lat temu, żebym zamontował drzwi, poszedłbym prosto do pubu. A teraz spójrz. Dalej, pchaj. Weszło idealnie. No, Jamie, podnieś młotek. Cóż to za pożytek z takiego ucznia, który nie nosi nawet moich narzędzi...

Nie żywił do Alice urazy, że nie chciała z nim zamieszkać. Z upływem czasu zaczął myśleć, że miała rację i że bardzo polubił swoje nowe podwójne życie: samotne w Reading i rodzinne we Wschodnim Domu. Zaczął też czuć najpierw litość, a potem sympatię dla Clodagh. Bez niej nigdy nie mógłby pełnić wszystkich tych wzbogacających go funkcji. Zrobił listę rzeczy, które należało wykonać w domu zimą: wymienić rynny, wyciąć zielsko za szopą, nazbierać drewna na opał, wymienić szyby w toalecie itd. , itp. Powiesił kartkę w kuchni i Elizabeth, która przyjechała niespodziewanie na dwa dni, czytała i czytała ją bez końca, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Dzieci uważały, że babcia jest dziwna, ale nieszkodliwa, ponieważ nie usiłowała być dla nich czuła. Wydawała się lubić Wschodni Dom i oświadczyła, że pomaluje ramy okienne, co potem robiła cierpliwie przez czterdzieści osiem godzin. Alice

zauważyła, że matka wzbraniała się przed jakąkolwiek rozmową na tematy osobiste, i tylko raz, gdy zmywały, a dzieci hałasowały w kuchni, powiedziała:

– No cóż, dużo czasu zajęło ci skończenie z całym tym nonsensem. Wybrałaś też bardzo dziwne rozwiązanie, ale zrobiłaś to. A to już niemało.

Wyjeżdżając przyznała się, że ma zamiar pracować w Biurze Doradztwa Personalnego i że wynajęła mieszkanie w centrum Colchester.

– Powinam była to zrobić dziesięć lat temu. Ann jest bardzo męczącą towarzyszką życia. Ale robię to teraz, póki jeszcze nie jest za późno. Nie przyjeżdżaj do mnie. To okropna podróż. Ja do was przyjadę.

Po jej wyjeździe James zapytał:

– Czy to była naprawdę babcia?

– Tak!

– O – powiedział. – A ja myślałem, że to pani nauczycielka.

Alice nie miała żadnych wiadomości od Cecily i Richarda. Cecily widywała się z dziećmi, kiedy były z Martinem i wracały do domu obładowane nowymi swetrami, książkami i słodyczami. Doprowadzało to Alice do wściekłości.

– Nie powinnaś się denerwować – uspokajał ją Sam. – To po prostu smutne symbole przegranej.

– Kochałam ją tak bardzo – odpowiedziała Alice. – A teraz nie mogę nawet o niej myśleć. Chciała mną całkowicie zawładnąć.

– A czy Clodagh nie chciała tego samego? Alice wyglądała na zrozpaczoną.

– Och, przestań... Samowi zrobiło się przykro.

– Nie chodzi mi o to, że były takie same. W żadnym razie. Och, Allie...

Ale Alice nie chciała więcej o tym mówić i po jakimś czasie ojciec usłyszał, jak płacze w sypialni.

– Dlaczego mamusia płacze? – zapytała Natasha.

– Bo tęskni za Clodagh.

Natasha pokiwała ze zrozumieniem głową.



– Mnie się też czasem chce z tego powodu płakać.

Wschodni Dom stał pół mili za miasteczkiem, które było dość dziwaczne. Nie miało sklepu ani pubu, a nabożeństwo w kościele odprawiano co trzy tygodnie. Pastor, młody, blady nachmurzony mężczyzna, czuł się głęboko zawiedziony przydzieleniem mu pięciu wiejskich kościołów zamiast parafii w mieście. Odwiedził pewnego dnia Alice i pijąc jedną herbatę za drugą opowiadał, że czuje się zupełnie do niczego. Przeżył jakiś kryzys – nie chciał wchodzić w szczegóły – i obecne życie miało pomóc mu powrócić do prawdziwego powołania. Nazywał się Mark Murphy. Alice polubiła go. Podczas jego drugiej wizyty – przyszedł na kolację i jadł tak samo łapczywie, jak przedtem pił herbatę – Alice powiedziała mu, chcąc go wypróbować, o Clodagh.

– Jakże strasznie trudno jest znaleźć miłość, prawda? – zauważył. – Trzeba ją chwytać, kiedy nadarza się okazja.

Plebania była małym nieciekawym budynkiem w sąsiednim miasteczku, o którym Murphy mówił, że ma duszę pudełka na buty. Czasami przychodził do Wschodniego Domu w soboty, żeby pomóc Samowi przy porządkowaniu ogrodu. Kiedyś Sam zapytał go, czy nie powinien być w tej chwili w domu z rodziną, na co pastor odpowiedział, że nie ma rodziny, gdyż jego żona opuściła go dwa lata temu i wróciła z dzieckiem do Newcastle.

– Przykro mi – powiedział Sam.

– Tak – westchnął Mark Murphy. – Mnie też. Powiedziała, że nie miała pojęcia, iż Bóg może okazać się drugą kobietą w życiu pastora.

Czasami na drodze prowadzącej do głównej trasy do Salisbusy Alice mijala blondynkę w starym citroenie z dziećmi na tylnym siedzeniu. Kilka razy przejeżdżały koło siebie obojętnie, a potem jednocześnie zaczęły się do siebie uśmiechać i machać ręką. Dziewczyna zostawiła Alice kartkę w drewnianej skrzynce na listy.

„Nazywam się Priscilla Mayne – pisała. – Mieszkam po drugiej stronie miasteczka w wiktoriańskiej ruderze, która wygląda jak szalas. Nie mamy jeszcze telefonu. Proszę mnie odwiedzić, jeśli

będzie pani miała ochotę”.

Alice pomyślała, że zrobi to już niedługo. Wkrótce przyszła pocztówka od Anthony’ego – natychmiast wrzuciła ją do pieca – i od Johna Murraya-Frencha, który pisał: „Nowi właściciele Grey House są przyzwoici i nudni. Proszę o mnie nie zapominać”. Alice poczuła wtedy, że w jakiś przedziwny sposób nie znana jej jeszcze Priscilla Mayne jest o wiele bardziej realna niż jej własna przeszłość, którą znała aż za dobrze. Sam powiedział, że na tym polega wolność i że powinna nauczyć się pić whisky.

– Dlaczego? – zapytała śmiejąc się.

– Robert Burns: „Wolność i whisky zawsze idą w parze”. Tak naprawdę wolność szybciej idzie do głowy, ale dlaczego nie cieszyć się z jednej za pomocą drugiej?

Było już prawie Boże Narodzenie, kiedy Juliet odwiedziła Alice we Wschodnim Domu. Przyjechała w deszczowy dzień, kiedy mieszkanie, nadal w trakcie gruntownego remontu, prezentowało się wyjątkowo przygnębiająco. Alice powitała ją stojącą przy samochodzie i wpatrującą się w olbrzymie buchające ognisko rozpalone w ramach planów porządkowych Sama.

– Allie...

Alice chwyciła ją za ramię.

– Wchodź. Wchodź, bo pada. Właśnie upiekłam chleb, który nie bardzo mi się udał.

W kuchni Juliet rozplakała się.

– Allie, to takie o k r o p n e...

– Nie, wcale nie. Podoba mi się tutaj.

– Nie o to mi chodzi. Mówię o życiu w Pitcombe.

– Nie bądź niemądra. Niemożliwe, żebyśmy zostawili po sobie aż taką pustkę...

– Zostawiliście ogromną pustkę – powiedziała Juliet pociągając nosem. – Ludzie nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Ze mną jest podobnie już od miesiący. Dlatego nie przychodziłam wcześniej.

– Więc nikt nie roztrząsa tego, co się stało?

– Oczywiście, że tak. To normalne w małym miasteczku. Martin widuje się z jakąś Sophie. Brak mi słów, żeby opowiedzieć

ci, jak do niego pasuje. Jeździ mini i ma spaniela. Allie, naprawdę cię nienawidzę.

– Tak – powiedziała Alice.

– Naprawdę. Jak mogłaś tak nas zostawić? Henry zrobił się tak nadęty, że chyba będę musiała go zabić. Na razie nazywam go Eustachym, więc podejrzewam, że to on pierwszy mnie zadźga. Allie... – zaczęła znów płakać. – To taka ulga znów cię widzieć, chociaż uważam twoje zachowanie za wyjątkowo skandaliczne.

Alice naląła wina do dwóch kieliszków.

– Odbieram dziś dzieci ze szkoły – zaprotestowała Juliet. – Naprawdę nie powinnam pić. Płacz i alkohol sprawiają, że jeszcze więcej płaczę i jeszcze więcej piję. Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Ogromnie.

– Masz nowych przyjaciół?

– Jednego. Mam też w planie drugiego.

– Już ich nie lubię.

– To niezbyt miłe z twojej strony.

– Nie chcę być miła. Marzę nieprzytomnie, by cię ukarać.

Alice oprowadziła Juliet po całym domu i wyjaśniła jej, co chce w nim zrobić. Juliet stwierdziła, że nie jest tego wart.

– To nie jest po prostu dom – odpowiedziała Alice. Juliet przyznała jej rację. Obudziły Charliego, zniosły go na dół do kuchni i posadziły na jego krzeselku. Siedział zaspany, ziewając nad lunchem. Alice dołąła Juliet wina i zrobiła omlet. Rozmawiały o Cecyli, Martinie i Unwinach, a potem Juliet powiedziała, że naprawdę musi już iść, objęła Alice i pocałowała ją – rzecz, której nigdy prawie nie robiła w przeszłości. Potem odjechała w strugach deszczu, nie przestając machać na pożegnanie.

Alice zaniósła Charliego do bawialni i posadziła go na ziemi razem z jego samochodzikami i stacją benzynową, którą zrobiła dla niego z kartonowego pudła. Potem przyniosła węgiel, drewno i gazety, by rozpalić w kominku, zanim dzieci wrócą ze szkoły. Uklękła przy Charliem, dmuchając na drewno. Kiedy zajęło się ogniem, usiadła na piętach i zaczęła przyglądać się płomieniom. Charlie wczołgał się jej na kolana, ofiarowując swój samochód

policyjny. Objęła synka ramieniem i oparła policzek na jego ciepłej główce. Czowała obecność Clodagh, lecącej teraz samotnie ponad szarymi bezlitosnymi chmurami do Nowego Jorku. Zamknęła oczy. Clodagh. Pamięć o niej, pełna bólu i wdzięczności, pozostanie na zawsze w jej sercu.